

Sobiesław Zasada:
Fiat 126p to był dobry wóz**Andrzej Rozenek:**
Zemsta na byłych funkcjonariuszach**Andrzej Pągowski:**
Cenzury jest dziś pełno**Niemiecka karta**
Kaczyńskiego

KTO UKRADŁ DZIECIOM KOŁONIE



W 1975 roku z wypoczynku zorganizowanego
skorzystało 7,6 mln dzieci

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115



9 771509 311201

30 >



**TEATR
ATELIER**

IM. AGNIESZKI OSIECKIEJ

29. LATO TEATRALNE

2022

Katarzyna Groniec

„Niektóre sytuacje”

30-31.07.2022 r. godz. 19:30

Foto: Janek Roszczyński

**André
Ochodlo**

& THE KLEZMER COMPANY

SHALOM LEOLAM /
MODLITWA DLA POKOJU

21-24.07.2022 r. godz. 19:30

Foto: Piotr Jędrak

Hanna Banaszak

**„RECITAL
HANNY
BANASZAK”**

03-04.08.2022 r. godz. 19:30

Foto: Agnieszka Rępa

Mirosław i Magdalena
Czyżykiewiczowie
„Bez tytułu”

05.08.2022 r. godz. 19:30

06.08.2022 r. godz. 18:30

Foto: Tomasz Skósz / Mirosław i Magdalena Czyżykiewicz



Kto ukradł dzieciom kolonie

Ledwo co zakończyła się okrutna wojna. Kraj był potwornie zniszczony. Trwała wędrówka ludów na Ziemię Odzyskaną. Kto miał wtedy głowę do zajmowania się wypoczynkiem dzieci? A jednak już w latach 1946-1947 na różne formy kolonii i obozów wysłano ponad 700 tys. dzieci. Opłaty za trzytygodniowe turnusy były symboliczne. Nie przekraczały możliwości finansowych przeciętnej rodziny. Rekord w PRL to rok 1975, gdy z kolonii skorzystało 7,6 mln dzieci. Takie są fakty. Wymazywane z historii przez zawodowych kłamców.

Oglupianie kolejnych młodych pokoleń ma legitymizować rządy, które brak kompetencji nadrabiają czarną propagandą o PRL. Do czasu. Bo tak jak po latach kłamstw do młodych przebiła się wiedza o budownictwie mieszkaniowym w PRL, przyszła też pora na prawdę o masowych koloniach i obozach, które były organizowane do 1989 r. Tak jak mieszkanie jest prawem, a nie towarem, tak prawem dzieci i młodzieży jest wyjazd na wakacje. Skoro są pieniądze na wszystko, to dlaczego z tej listy wypadły dzieci? Na dzieci nie ma, gdy tyle miliardów się marnotrawi, czego

koronnym przykładem jest budowa pałacu Saskiego. Gdy codziennie płacimy kary za łamanie prawa unijnego. Pozostawienie milionów dzieci samym sobie jest hańbą władzy. Baza przecież jest, bo wiele ośrodków stoi pustych z braku turystów. Ludziom zaczęło brakować pieniędzy na wyjazdy urlopowe. A kapitalizm w polskim wydaniu nie ma w budżetach dotowania tego, co nie przynosi zysku. Jakież mogą być profity z wyjazdu dzieci z uboższych rodzin na kolonie czy obozy? Państwo wysiliło się na bon turystyczny. Dobrze i to. Ale jak się porówna te parę złotych z tym, co robiła Polska Ludowa, to widać przepaść w traktowaniu najmłodszych obywateli. Dziś dzieci z rodzin o zarobkach poniżej średniej, a takich jest w Polsce większość, muszą zapomnieć o jakichkolwiek wyjazdach. Że nie jest to żaden problem dla partii prawicowych, wiemy. Ale gdzie jest lewica?

Nic się nie zmienia, jeśli rodzice dzieci w wieku szkolnym nie zaprotestują. Tylko ich presja i twarde żądania mogą obudzić świat polityki. W tej sprawie warto być stanowczym.

Wakacje z E-PRENUMERATĄ PRZEGLĄDU

Teraz tylko ~~49,90 zł~~ **20 zł** sklep.tygodnikprzeglad.pl

Promocja ważna do 31.08.2022

Aż 60% rabatu na e-prenumeratę kwartalną:

- dostęp do 12 e-wydań tygodnika
- e-book „Oko smoka” w prezencie
- czytasz, gdziekolwiek jesteś



BAKOWSKI



e-booki PRZEGLĄDU

na lato już od **9,90 zł**



P **czytasz TANIEJ wiesz WIĘCEJ**

zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl

Promocja ważna do 31.08.2022

KRAJ

- 8 To jest zemsta. Tylko czyja?**
– rozmowa z Andrzejem Rozenkiem
- 16 Wielki kopista**
Tusk podkrađa hasła lewicy
- 18 Za potrzebą ścieżką przy dębie i w lewo za kamieniem**
Własne WC nie dla każdego
- 20 Wakacje (kredytowe) tuż-tuż**
Wsparcie czy pułapka
- 24 Młodzi, wykształceni, stęsknieni**
Ukraińcy: wracać czy zostać w Polsce
- 44 Masońskie muzeum**
– rozmowa
z Bożeną M. Dołęgowską-Wysocką

HISTORIA

- 12 Polska kolonistów**
PRL to masowe wyjazdy dzieci na wakacje
- 54 Słowianie napłynęli ze wschodu**
Siermiężne początki na polskich ziemiach

ZDROWIE

- 27 Siódma fala pandemii puka do drzwi**
A my znów nieprzygotowani

ZAGRANICA

- 28 Sąd nad Ameryką**
Sąd Najwyższy kontra demokracja
- 32 Kulawa demokracja**
Kryzys rządowy w Izraelu
- 34 Silna armia, której „nie ma”**
Japonia żegna się z pacyfizmem

OPINIE

- 36 Paweł Siergiejczyk**
Kolejna „wojna” z Niemcami

KULTURA

- 40 Rozmowa to moje paliwo**
– rozmowa z Andrzejem Pągowskim
- 46 Kulturalia**
- 66 Ciałobrazy Natalii Miedziak-Skoniecznej**

SPORT

- 47 Na Wimbledonie dominuje technika**
– rozmowa z Tomaszem Iwańskim

OBSERWACJE

- 50 Maluchem wnuka do Turynu**
– rozmowa z Sobięsławem Zasadą

EKOLOGIA

- 58 Nie ma już dzikich plaż**
Bałtyckie piaski to gigantyczna pralka

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Kto ukradł dzieciom kolonie
- 23 Jan Widacki**
Ot tam siedzą prawnicy...
- 31 Andrzej Romanowski**
Precz z medycyną?
- 39 Roman Kurkiewicz**
Kupa wilka, mejle Dworczyka
- 53 Tomasz Jastrun**
Zakopane z Łapickim pod rękę
- 57 Wojciech Kuczok**
Abecadło

18

KRAJ



**ZA POTRZEBĄ ŚCIEŻKĄ PRZY DĘBIE
I W LEWO ZA KAMIENIEM**
Własne WC nie dla każdego



47

SPORT

**NA WIMBLEDONIE
DOMINUJE TECHNIKA**
– rozmowa
z Tomaszem Iwańskim

58

EKOLOGIA



NIE MA JUŻ DZIKICH PLAŻ
Bałtyckie piaski to gigantyczna pralka

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. ANDRZEJ MARZEC/EAST NEWS



f Z Tuskiem czy osobno

Niestety, lewica tak długo starała się upodobnić do Platformy Obywatelskiej, że wreszcie jej się udało.

Andrzej Młynarczyk



A jednak lewica jest dla mnie ugrupowaniem pierwszego wyboru. Tak mi nakazują moje własne przemyślenia, znajomość historii, filozofii społecznej, obserwacje osobiste w bardzo wielu krajach, łącznie z antypodami – w krajach biednych i bogatych. Lewica w Polsce po zmianie ustroju rządziła w okresach kryzysowych, kiedy gospodarkę trzeba było wyciągać z dna, nie mogło to być łatwe. Zrobiła to skutecznie. Moje pretensje do niej wynikają z rozmycia pryncypiów ideowych i światopoglądowych, także politycznych, nie ekonomicznych. Będę głosować na partię lewicową z nieśmiałą nadzieją, że pójdą do wyborów razem. Bez Tuska.

Ewa Wesółowska

Jeśli ktoś z lewicowych wyborców głosuje na PO, to znaczy, że nigdy tak naprawdę nie był lewicowcem. Głosowanie

na konserwatywną, antypracowniczą prawicę z PO to kompromitacja.

Paweł Maćkowski

f Chleba naszego powszedniego

Polska ma system kontroli granicznej zbóż paszowych i wykonuje te kontrole nie PIORiN, tylko Inspekcja Weterynaryjna. Elementem tych kontroli jest badanie pod kątem zawartości GMO czy pozostałości substancji szkodliwych. Natomiast zgodnie z prawem Unia Europejska nie ma obowiązku prowadzenia takich systematycznych kontroli na granicy zewnętrznej, więc i tak nadzór na polskim odcinku granicy UE jest bardziej restrykcyjny niż gdzie indziej. Kontrole prowadzi także sam producent pasz w ramach nadzoru właścicielskiego. Kwestia zniesienia celu to jedno, a kwestia kontroli urzędowych to zupełnie inna sprawa.

Zuzanna Barbara



✉ Fromborskie legendy odżywają na nowo

W nawiązaniu do artykułu „Fromborskie legendy odżywają na nowo” (PRZEGLĄD nr 28) kilka moich wspomnień.

W 1971 r. Wojewódzka Rada Narodowa w Bydgoszczy zorganizowała dla dzieci pracowników wakacyjny obóz. I etap – tzw. małpi gaj nad Wisłą w Toruniu.

Tam zrobiono z nas na siłę harcerzy, przebijając w stare mundurki, często bez guzików, podzielono na zastępy, kazano zrobić totemy (A co to jest? – pytaliśmy). Musztra, apele, nocne warty. Spaliśmy w namiotach beczkach z demobilu na polowych łózkach, korzystaliśmy z latryn w towarzystwie szczurów. Obóz był mieszany. Miałam 13 lat i byłam najmłodszą, najstarszy druh miał lat 20.

II etap – obozowisko pod Fromborkiem, warunki podobne. Owszem, bywało wesoło, bo z trudem poddawaliśmy się harcersko-wojskowej dyscyplinie. Nie pracowałam w mieście, bo dostałam karną służbę w kuchni polowej, miałam obierać dla obozowiczów ziemniaki. Dzięki litości żołnierzy, którzy ją obsługiwali, nie miałam tak źle jak „paniczyki z ogólniaków”.

W Operacji 1001 Frombork brali więc udział nie tylko członkowie ZHP, ale także przypadkowi pseudoharczerze (bez nagród i medali)!

Lidia Pałubicka, Bydgoszcz



ZDJĘCIE TYGODNIA



30 lat temu, 16 lipca 1992 r., prof. Henryk Skarżyński przeprowadził pierwszą operację wszczepienia implantu ślimakowego. N. pierwszy pacjent w czasie ostatnich ustaleń przedoperacyjnych.

W Narodowym Dniu Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów (11 lipca) rodziny ofiar nie usłyszały od prezydenta Andrzeja Dudy niczego, co by oznaczało nawet skromny przełom w sprawie godnego upamiętnienia ofiar rzezi wołyńskiej. Ciągłe nie ma nawet grobów. **Od 10 lat na Ukrainie obowiązuje zakaz ekshumacji i pochówku ofiar.**

Żegnamy zmarłego 9 lipca **Stefana Wilkanowicza**, działacza katolickiego, publicystę i byłego redaktora naczelnego miesięcznika „Znak”. **Autora kompromisowej preambuły do konstytucji:** „My, naród polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga będącego źródłem prawdy, sprawiedliwości, dobra i piękna, jak i niepodzielający tej wiary, a te uniwersalne wartości wywodzący z innych źródeł...”.

Sejm dostał sprawozdanie Instytutu Pamięci Narodowej za 2021 r. Wiele ono mówi o ego prezesa Karola Nawrockiego i jego zastępców. Nawrocki jest na 64 z 300 zamieszczonych w sprawozdaniu zdjęć. W pełnym kolorze! A jego dwaj zastępcy na ok. 30. Były prezes IPN Jarosław Szarek, który teraz jest wicedyrektorem w Biurze Edukacji Narodowej, też się załapał na jakieś 20 zdjęć.

W 2021 r. w 19 zakonach nie było ani jednego nowego kandydata. A w tym roku akademickim nie było zgłoszeń do seminariów diecezjalnych w Bydgoszczy, Drohiczyń, Elblągu i Łowiczu.

Jak Uber, firma z Kalifornii, zdobył pozycję globalnego

przewoźnika? Setki milionów dolarów na lobbging w kilkudziesięciu krajach, prowokowanie protestów taksówkarzy, bo „przemoc gwarantuje sukces”, i zero refleksji na temat tych praktyk („Guardian”).

Małgorzata Lebda, poetka i ultramaratonka, autorka tomu „Mer de Glace”, otrzymała Nagrodę im. Szymanowskiej za najlepszą książkę poetycką 2021 r. **Wojciecha Charchalisa** nagrodzono za najlepsze tłumaczenie tomu poetyckiego na język polski, czyli za przekład wierszy Fernanda Pessoa, najwybitniejszego poety portugalskiego XX w.

Raków Częstochowa, prowadzony przez Marka Papszuna, wygrał 2:0 z Lechem Poznań na jego stadionie i zdobył Superpuchar Polski. Po raz drugi z rzędu.

Grzegorz Krychowiak, piłkarz FK Krasnodar, nie chce grać w Rosji, bo napadła na Ukrainę i giną ludzie. Będzie więc grał w Arabii Saudyjskiej, która ma na sumieniu wojnę w Jemenie, w której od 2015 r. zginęło 400 tys. ludzi. Może PZPN powie, jaka to różnica?

Kto tam puka spod dna? Joachim Brudziński, europoseł PiS, jeden z kandydatów na premiera. Cytujemy dosłownie: „Dzisiaj Niemcy próbują od Polski wymusić dzielenie się z nimi gazem, bo oni dzielili się z nami swoim gazem podczas II wojny światowej”.

Od 25 lat działa w Polsce ustawa o świadczeniu koronnym. W tym czasie programem objęto ok. 90 osób. Wraz z rodzinami z ochrony korzysta 250-300 osób, a roczny koszt jednej ochrony to ok. 250 tys. zł („Polityka”).

PRZEBŁYSKI

Misiewicz pokaże, jak pruć sejfy

Po zapowiedzi Tuska, że po wyborach pogoni Glapińskiego i Przylębską, w historyczne tony uderzył Tomasz Sakiewicz. Właściciel m.in. „Gazety Polskiej” załkał, że „jakieś bliżej niezorganizowane bandy zbirów napadną i wyprowadzą siłą prezysów”. I że trzeba „ochronić ludzi oraz poufne i tajne dokumenty”.

Zapomniał wół, jak cieleciem był. Sakiewiczowi pamięć może odświeżyć Macierewicz. Bo to on kazał Bartłomiejowi Misiewiczowi, by 18 grudnia 2015 r. zrobił najazd na Centrum Eksperckie Kontrwywiadu NATO (CEK) przy ul. Oczki w Warszawie. I Misiewicz w nocy pruć sejfy NATO (mimo że były klucze). Przeglądał supertajne dokumenty i zrobił wiele innych kretyńskich rzeczy. Czy w ten sposób Misiewicz przetarł drogę następcom?



Lewandowski za kurtyną

Nie za bystrość umysłu kibice kochają Lewandowskiego. Jak mówił klasyk: u wielu piłkarzy inteligencja ulokowała się w nogach i wyżej nie powędrowała. Lewandowski w mediach i Lewandowski na co dzień to nie to samo.

Jego były menedżer Cezary Kucharski przypomina („Super Express”), jak to było, gdy Lewandowski grał w Lechu Poznań. Nie podobały mu się treningi Jacka Zielińskiego i dyrektor klubu dzwonił do Kucharskiego: „Porozmawiaj z »Lewym«, bo znowu ma focha, manifestuje niezadowolenie i coś mu odbiło”. Podobne doświadczenia mieli z nim Fornalik, Brzęczek i wielu innych trenerów. Aż dziw, że ten balon jeszcze nie pękł.



Kto za tym stoi?

Kto to zaczął? Kto wpadł na pomysł, by naszych rolników rzucić na pożarcie francuskim bankom? Choć wiadomo, że francuskie rolnictwo jest wobec naszego mocno konkurencyjne. To głupota, że Francuzi przez wywiadowanie bankowe dostają pełną wiedzę o Polakach. Wy-

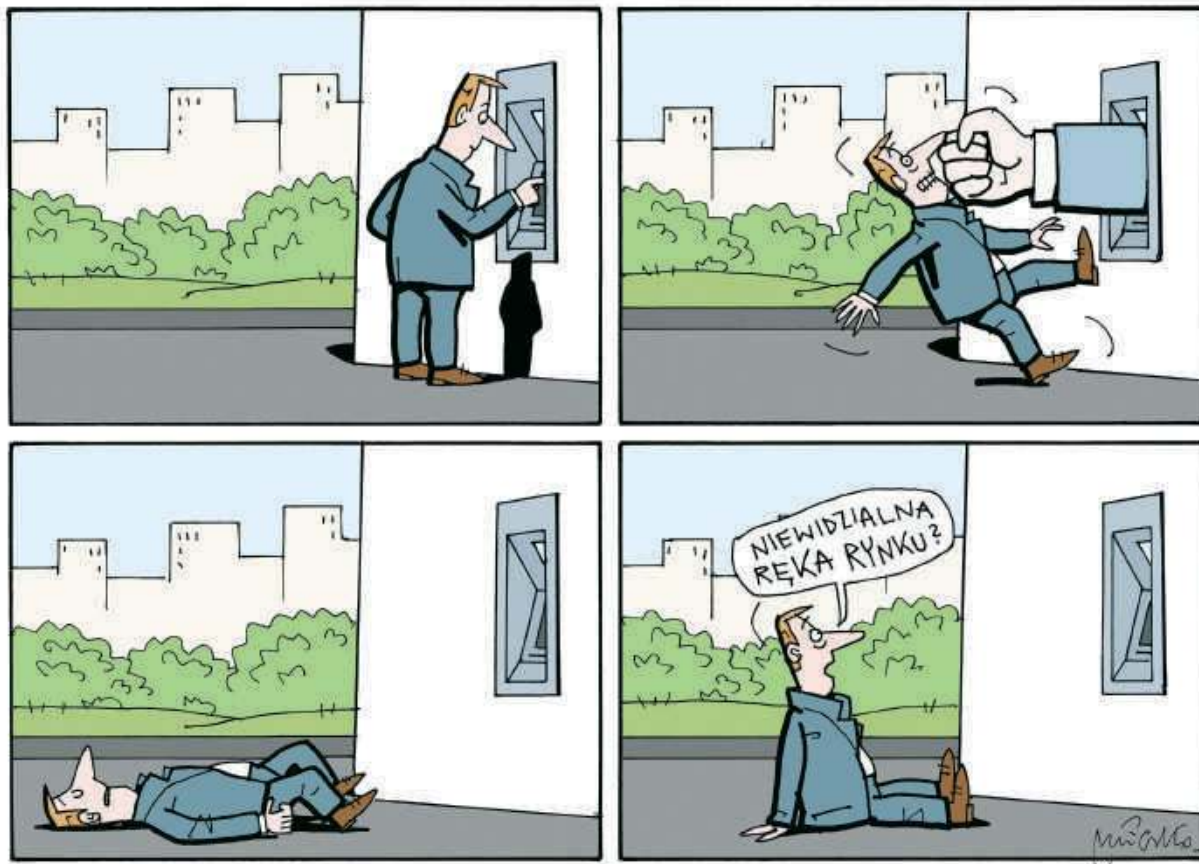
starczy zobaczyć, jak szczegółowe są rubryki wniosków kredytowych, które trzeba wypełniać w BNP Paribas. Kto na to pozwala? Co później z tą wiedzą się dzieje?

Francuzi robią z polskimi rolnikami, co chcą, bo mogą. Zwłaszcza od czasu, gdy odwołano ministra Ardanowskiego. Z wicepremiera Kowalczyka tylko się śmieją.

Rejsik, jachcik i szpieg

Nawet stary jacht starego szpiega może dać zarobić. Wystarczy ktoś tak obrotny jak Filip Frąckowiak. Na ośmiorniczki już ma. Jako dyrektor muzeum im. Ryszarda Kuklińskiego. Ta wydumaska, która z muzeum ma tyle wspólnego, co wóz drabiniasty z wozem strażackim, dostaje takie dotacje, że wystarczyło na remont jachtu. I teraz Frąckowiak będzie fundował rejsiki znajomym. Po uważaniu. Z bajką, jak to płynący jachtem „Legia” Kukliński nawiązywał kontakty z oficerami CIA. Nie był to co prawda Kanał Kiloński, lecz Wietnam, ale kogo jeszcze ten Kukliński interesuje?





PYTANIE TYGODNIA

Z kim musi się liczyć Jarosław Kaczyński?

DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA,
politolożka, Uniwersytet Warszawski

Jest już w takiej sytuacji, że chyba łatwiej byłoby wymienić tych, z którymi nie musi się liczyć. Prezes Kaczyński musi nieustannie gasić pożary nie tylko w PiS, ale także w koalicji, uspokajając poszczególne frakcje i dbając, by rząd nie utracił większości sejmowej. Ponadto musi jeździć po kraju i umacniać poparcie dla swojej partii, w czym nie jest mistrzem. Przede wszystkim jednak musi się liczyć z Donaldem Tuskiem, który jest jego największym konkurentem wśród całej opozycji i osobą, która potrafi z nim się fechtować.

DR ANDRZEJ ANUSZ,
współzałożyciel Porozumienia Centrum, historyk, socjolog

Przede wszystkim ze swoją partią. Na ten temat nawet napisałem książkę „Osobista historia Porozumienia Centrum”, w której stawiam tezę, że najważniejszą

sprawą w działalności prezesa Kaczyńskiego zawsze było utrzymywanie kontroli nad partią jako narzędziem uprawiania polityki. Dla Jarosława Kaczyńskiego własna partia jest podstawą funkcjonowania w życiu publicznym; inne kwestie wbrew pozorom mają dla niego moim zdaniem drugorzędne znaczenie.

ROBERT KWIATKOWSKI,
poseł koła parlamentarnego PPS

Myślę, że przede wszystkim z opozycją we własnych szeregach, np. ze Zbigniewem Ziobrą, którego, jak widać, nie jest w stanie się pozbyć. Musi też się liczyć z czynnikami, które trudno ująć w kategoriach personalnych, a które jemu i jego formacji wymknęły się spod kontroli i mogą go szybko pozbawić władzy, takimi jak wzrost cen, zwłaszcza nośników energii, oraz inflacja. Powstaje jedynie pytanie, w jaki sposób Kaczyński miałby się liczyć z czymś, na co nie ma i nie będzie miał wpływu (choć

w dłuższym okresie pewnie mógłby mieć, gdyby jego formacja nie popełniła tylu błędów makroekonomicznych).

Czytelnicy PRZEGLĄDU
JAN KOCHANOWSKI
Z szafą Ziobry.

MICHAŁ CZARNOWSKI

Musi się liczyć z tymi, którzy dają mu przewagę w parlamencie, np. z niejakim ministrem Zero, Ziobrą. Dlatego ciągle mamy to majstrowanie przy sądownictwie i mataczenie w sprawie funduszy naprawczych.

BOGUMIŁ WOŹNIAKOWSKI

Jarosław Kaczyński liczy się tylko z Jarosławem Kaczyńskim i uznaje rację wyłącznie Jarosława Kaczyńskiego, bo Jarosław Kaczyński jest nieomylny i zawsze ma rację.

Not. Michał Sobczyk

To jest zemsta. Tylko czyja?

Byli funkcjonariusze odzyskują w sądach emerytury.
Długo to trwa

Rozmawia Robert Walenciak

Emerytury byłych funkcjonariuszy... Ile to już lat ta sprawa się toczy?

– Sprawa emerytur mundurowych toczy się tak naprawdę od roku 2009. Wtedy Platforma z PSL wprowadziły ustawę, która wyznaczała nowy, niski przelicznik emerytur dla byłych funkcjonariuszy za czas służby w Polsce Ludowej. A potem, w grudniu 2016 r., głosami PiS przyjęta została druga ustawa represyjna. Ta pierwsza odbierała emerytury wysłużone przed rokiem 1990 i stosunkowo niewielkiej grupie mundurowych. Ta druga krzywdzi znacznie szerzej – odbiera również te emerytury, które wysłużyli po roku 1990.

Funkcjonariusze odwołali się do sądu w tej sprawie?

– Niestety, nie wszyscy. Odwołało się mniej więcej dwie trzecie osób poszkodowanych. Ale jedna trzecia – nie. Mówili, że to nie ma sensu, że sądy nic nie pomogą, że rozstrzygnięcia nie dożyją itd. Teraz są w fatalnej sytuacji, bo znikąd nie mają pomocy.

Nie mogą już się odwołać?

– Już nie. Terminy zapadły, nie da się ich przywrócić. Dla nich jest



jak mówi ustawa, „służbę na rzecz państwa totalitarnego”. I dotyczy to w zasadzie wszystkich, którzy służyli w MSW lub w organach podległych MSW przed rokiem 1990.

O ile ustawa zmniejszyła emerytury?

– Ustawa weszła w życie w październiku 2017 r. I ucinęła wszystkie

ANDRZEJ ROZENEK

– poseł Polskiej Partii Socjalistycznej

z renty inwalidzkiej, z jakichś innych świadczeń, i po ich obcięciu miały jeszcze mniej.

Największa fala samobójstw

Dla części osób taka informacja była jak wyrok śmierci.

– Największa fala samobójstw i tragedii związanych z tą ustawą dotyczyła lat 2016 i 2017. Bo to był ten pierwszy szok. Mamy potwierdzone 64 zgony w wyniku wprowadzenia tej ustawy. Większość to samobójstwa, są również zawały, udary. Ktoś może powiedzieć: dostał udaru, bo był stary. Otóż nie! My mówimy o sytuacji, kiedy człowiek dostawał list z Zakładu

Ustawą z grudnia 2016 r. zostało objętych 42-43 tys. osób.
Z rodzinami to dotyczy mniej więcej 150-200 tys. Polaków.

tylko jedna droga ratunku – poprzez zmianę ustawy w parlamencie.

Jakiej grupy ludzi to dotyczy?

Jak dużej?

– Tą drugą ustawą, z grudnia 2016 r., zostało objętych 42-43 tys. osób. Z rodzinami to dotyka mniej więcej 150-200 tys. Polaków. To są ludzie, którzy w życiu mają,

emerytury powyżej 1716 zł. Nikt nie mógł dostać ani złotówki więcej. Teraz, po rewaloryzacjach, różnych dodatkach, można dostać ponad 2 tys. zł. Ale były też takie sytuacje, że ludzie dostawali poniżej 854 zł. Wzięło się to stąd, że jest to najniższa emerytura zapisana w systemie. Były jednak osoby, które żyły

Emerytalno-Rentowego, tzw. list śmierci, otwierał kopertę, czytał, że mu zabrano emeryturę, i w tym momencie dostawał udaru. Umierał na miejscu albo trafiał do szpitala i tam umierał. Każda z tych sytuacji jest precyzyjnie opisana, zbadana. Mamy udowodnione 64 przypadki śmierci. A na pewno jest ich więcej.

Skąd to przekonanie?

– Nie do wszystkich Federacja Stowarzyszeń Służb Mundurowych dotarła. Często rodziny ukrywały takie przypadki. Pamiętam historię emeryta mundurowego z województwa kujawsko-pomorskiego, który dorabiał sobie w sklepiu szkolnym.

Dwie trzecie osób poszkodowanych się odwołało. Ale jedna trzecia – nie. Teraz są w fatalnej sytuacji.

Jak otrzymał decyzję z ZER, to w tym sklepiu się powiesił. Na początku dostaliśmy informację, że ta śmierć to skutek ustawy. Ale potem rodzina nas błagała, żeby tego nigdzie nie nagłaśniać, bo syn tego człowieka służy w policji. I jak jego przełożeni o ojcu się dowiedzieli, to już chcieli go zwalniać.

Na liście osób, którym odebrano emerytury, jest cała masa ludzi, którzy znaleźli się tam właściwie przypadkowo.

– Każdy jest na tej liście przypadkowo. Wobec nikogo w państwie nie powinna być stosowana odpowiedzialność zbiorowa i nikomu w państwie polskim nie powinno się odbierać praw nabytych. Jeżeli ktoś zrobił coś złego, od tego są sądy i prokuratura. I naprawdę można te sprawy, przy tak rozrośniętym IPN i jego pionie śledczym, wyjaśnić.

Na zasadzie: popełniłeś przestępstwo, złamałeś prawo, są w tej sprawie ślady w dokumentach, za to odpowiadasz?

– A tu mamy odpowiedzialność zbiorową i kradzież praw nabytych. Także tych uzyskanych w III RP. Grażyna Biskupska była szefową wydziału antyterrorystycznego policji i pamiętamy jej wielkie zasługi, gdy rozbijano mafię. Tak samo pamiętamy o Gromosławie Czempińskim i jego dokonaniach, o operacji

„Samum” i wielu innych. A Piotr Wróbel, najstłanniejszy w Polsce przykrywkowiec, który wniknął w szeregi mafii pruszkowskiej i ją rozpracował? Dariusz Jasiński z Radomia, który odszedł z ABW w roku 2017 i przez kolegów określany jest jako jeden z najlepszych werbowników w historii polskiego kontrwywiadu... Takich ludzi, zasłużonych dla III RP, których PiS ukarało, jest wielu. Emerytury zabrano też sportowcom, którzy podpadli tym, że byli zawodnikami klubów gwardyjskich. To wystarczyło, by ich zakwalifikować jako zbrodniarzy przeciwko narodowi polskiemu.

Zemsta za III RP

Dla mnie uderzające jest to, że tym ludziom zabrano emeryturę za czas pracy w III RP. Każdy z nich, gdyby w roku 1990 poszedł pracować do biznesu, do prywaciarza, miałby normalną emeryturę, a nie jakieś ogryzki.

– Tak jest, gdyby ci ludzie w roku 1990 odeszli ze służby, mieliby dziś porządne ZUS-owskie emerytury. **Gromosław Czempiński miał w roku 1990 dogadaną nową pracę, miał być przedstawicielem Seata. Ale po namowach został w służbie.**

– Całą swoją wiedzę, kompetencję, doświadczenie oddał Polsce. A jak PiS przyszło do władzy, to mu emeryturę ukradło. Nie muszę dodawać, w jakiej sytuacji jest generał. **Słyszałem, że Amerykanie proponowali mu, w imię dawnych wspólnych akcji, osobną wypłatę. A on podziękował, bo albo wszyscy dostają z powrotem emeryturę, albo nikt.**

– Interwencje w jego sprawie były, ale on od tego się odżegnywał, mówił, że chce, by wszystkim oddano emerytury, nie tylko jemu. To bohaterska postawa.

Przed uchwaleniem przez PiS ustawy represyjnej do kilku oficerów, m.in. do generałów Jasika i Kapkowskiego, przyszły anonimy.

Było w nich napisane, że ponieważ zdradzili radzieckich towarzyszy, przeszli na drugą stronę, dosięgnie ich zemsta, zostaną pozbawieni emerytur.

– Rozmawiałem z gen. Kapkowskim i z gen. Jasikiem na ten temat. Ani jeden, ani drugi nie należy do osób, które fantazjują, więc należy śmiertelnie poważnie potraktować tę sprawę. Czy Rosjanie rzeczywiście mogli mieć pretensje do naszych służb? Mogli, dlatego że rozmowy z CIA zostały podjęte w tym samym momencie, kiedy było wiadomo, że władza PZPR siada do stołu z Solidarnością. Już wtedy odbyło się pierwsze spotkanie w Lizbonie, na które polecieli przedstawiciele polskiego wywiadu. Na tym spotkaniu doszło do pierwszych ustaleń, zawarto rodzaj paktu o nieagresji. Rosjanie mogli to poczytać za zdradę. W listach było napisane: za to, że zdradziliście, że poszliście na współpracę z jankesami, odbierzemy wam emerytury. I chwilę potem to się stało.

Te listy można by uznać za słaby dowcip, gdyby nie to, że były podpisane nazwiskami, pseudonimami oficerów rosyjskich służb, które znało tylko parę osób.

– Jeżeli w tych listach padają nazwiska operacyjne albo osób, które były nielegalami, ktoś, kto je pisał, musiał znać tajne sprawy. To uwiarygadnia te listy.

A uderzenie było bardzo precyzyjne, bo wymierzone w tych oficerów służb z czasów PRL, którzy podjęli pracę dla III RP. Bo za III RP ich ukarano.



- – Musielibyśmy zatem pójść o krok dalej i zadać pytanie wprost: jakim to cudem Rosjanie mogli zrealizować w Polsce plan wprowadzenia jakiejś ustawy, przeprowadzić ją przez Sejm, żeby tą ustawą zniszczyć jakąś konkretną grupę ludzi? Odpowiedź na to pytanie jest w zasadzie

Po 1990 r. nasze służby nie ujawniły ani jednej osoby z Solidarności, która zostałaby zwerbowana przez wywiad radziecki. A one zapewne nadal funkcjonują. I być może są czynne politycznie.

tylko jedna: poprzez agenturę. Gdzie ta agentura musiałaby być umieszczona? Na szczytach władzy.

To pytanie do kontrwywiadu.

– Dodam więc tylko, że od lat przechodzę w głowę, jak to jest, że po roku 1990 nasze służby nie ujawniły ani jednej osoby z Solidarności, która zostałaby zwerbowana przez wywiad radziecki. A jest dla mnie absolutnie niemożliwe, żeby radzieccy nie interesowali się Solidarnością. Bo kim mieli się interesować? Skoro ich nigdy nie ujawniono, to te osoby zapewne nadal funkcjonują. I być może są czynne politycznie.

W sądzie bywa różnie

A może odebranie emerytur to zemsta Kaczyńskiego? Wiadomo, że na początku lat 90. Kaczyński, jeszcze jako szef kancelarii prezydenta Wałęsy, próbował wejść w środowisko służb

specjalnych. I to mu się kompletnie nie udało – więc teraz się mści.

– Nie wierzę w to. Kaczyński nie jest tak finezyjny. Choć operacja z zabranie emerytur to rzeczywiście zemsta. Elektorat PiS to kupił, cieszył się, że rozliczyli esbeków! Że odebrano im emerytury! Brawo! A co do zemsty osobistej – Kaczyński przecież wie, że w służbach są różni ludzie i nawet jak z jednymi się nie dogadał, to z drugimi poszło mu lepiej. I dogaduje się z nimi do dzisiaj.

Gdy PiS zabrało emerytury, funkcjonariusze poszli do sądu.

– Ich główna argumentacja oparła się na trzech filarach. Pierwszy – odpowiedzialność zbiorowa. W państwie demokratycznym nie można stosować odpowiedzialności zbiorowej. Drugi filar to prawa nabyte. To są prawa, których powinno się w każdym państwie przestrzegać. No i trzeci – nie zrobiłem nic złego. Bo jeżeli już kogoś za coś karać, to najpierw trzeba udowodnić winę. Funkcjonariusze przedstawiają więc przed sądem swoje akta personalne, pokazują, co robili przed rokiem 1990 i później. Sędziowie temu wszystkiemu dosyć wnikliwie się przyglądają i w większości przypadków podzielają opinie odwołujących się. I przywracają im emerytury. Również w apelacji.

W ten sposób swoje sprawy wygrali m.in. Grażyna Biskupska i Andrzej Kapkowski.

– Tych wygranych jest coraz więcej. Ale dochodzimy do kolejnego skandalu – sumy, które wypłaca

ZER, zostają natychmiast objęte najwyższym progiem podatkowym. Jak się zebrały kwoty z trzech-czterech lat, to wpada się w 40%. Państwo jedną ręką daje, a drugą zabiera. Drugie draństwo – kwoty te są zwracane bez odsetek. Pieniądże, które kiedyś były warte X, dzisiaj są warte X minus inflacja. Mimo wszystko cieszę się szczęściem każdej osoby, która odzyskała emeryturę, bo stać ich wreszcie, żeby iść do lekarza, żeby spłacić długi. Ale trzeba pamiętać o tych, którzy się nie odwołali. I o tych, którzy sprawy przegrywają – są takie sądy w Polsce, prym wiedzie Szczecin, gdzie przegrywają, i to nagminnie.

Sądy nie stosują się do jednej wykładni?

– Byłoby pięknie, gdyby tak było, wówczas można by mówić, że linia orzecznicza się utarła. Niestety, tak nie jest. Są sędziowie, którzy potrafią odrzucić odwołanie człowieka, który absolutnie nigdy nie miał nic wspólnego z działaniami operacyjnymi. Był gdzieś z boku albo pełnił funkcje techniczne. Jeżeli więc źle się trafi na sędziego, można przegrać.

Kto by nie żałował?

Rozmawiał pan z ludźmi, którzy w 1990 r. dokonali wyboru. Mogli iść do biznesu, gdziekolwiek, a zostali w służbach. Żałują tego?

– Pewnie, że żałują. Przecież widzą, że dawni koledzy, którzy poszli inną drogą, np. biznesu, dziś opływają w luksusy. A oni przez kilkanaście lat, czasami kilkadziesiąt, służyli Polsce, niejednokrotnie ryzykując zdrowiem i życiem. Kto by nie żałował? A prawda jest taka, że gdyby to grono najbardziej doświadczonych opuściło wtedy służbę, to z mafią prawdopodobnie walczylibyśmy nie 10 lat, ale do dzisiaj. Młodszy tego nie pamiętają, a przecież w latach 90. w Polsce dochodziło do zamachów bombowych, do strzelanin na ulicach, a mafia tak naprawdę rządziła państwem. Ktoś musiał nad tym zapanować.

Ktoś też musiał zbudować wywiad i kontrwywiad.

W najnowszym numerze tygodnika „NIE”: Życie erotyczne oficerów Służby Więziennej.



– To byli ludzie, od których uczyły się pokolenia. Widać to po autorytecie, jakim cieszą się w służbach do dziś. No i zaszli Rosjanom za skórę. Chociażby dlatego, że znali ich sposoby działania, procedury. Mało kto wie, że słynna rakietą Piorun, która jest naszym hitem w wojnie ukraińskiej, sięga korzeniami starych radzieckich rakiet Igła i Strzała, których plany zostały wykradzione Rosjanom przez nasz wywiad. Jeden z tych, którzy wykradali, również jest objęty ustawą. Potem zostało to przepracowane przez naszych inżynierów, zbudowano raketę Grom, a następną generacją jest Piorun. A najbardziej zaimponowała mi historia, że w latach 80. mieliśmy jednostkę, która nocami wchodziła do zachodnich ambasad. Udało im się wejść m.in. do ambasady Hiszpanii, otworzyć sejf w tej ambasadzie i wydobyć listę ludzi z Solidarności i wypłat, które otrzymywali od hiszpańskich służb. Nazwisko, suma, data... W tych akcjach brał udział wspomniany Andrzej Kapkowski.

Większość z tych ludzi już nie żyje, do otwierania sejfów używano materiałów promieniotwórczych.

Ustawa odebrała też rentę wdowie i dzieciom po gen. Petelickim.

– Wdów i sierot po mundurowych jest wiele. Jarosław Kaczyński zadziałał po całości. Zaatakował byłych funkcjonariuszy, wdowy po nich i ich dzieci. Czym te dzieci zasłużyły na taki los?

Czy służby mundurowe organizują im adwokatów?

– Federacja Stowarzyszeń Służb Mundurowych w pierwszym etapie sporządziła wzory pism odwoławczych i z tych wzorów większość mundurowych skorzystała. Okazały się nadzwyczaj skutecznie – ci, którzy skorzystali, zazwyczaj wygrywają. W szczególnych przypadkach federacja obejmowała nadzorem takie postępowania lub prosiła o nadzór rzecznika praw obywatelskich. Warto podkreślić, że bardzo intensywnie działali Adam Bodnar i jego zastępca do tych spraw Tomasz Oklejak. Federacja utrzymywała poza tym linię

telefoniczną, przy której zorganizowane były dyżury psychologów. Wielu osobom uratowało to życie, więc chwala Zdzisławowi Czarneckiemu, szefowi federacji, za te działania i za to, że doprowadził do konsolidacji środowiska. A przede wszystkim za to, że udało mu się w 2018 r. wnieść do Sejmu obywatelski projekt ustawy przywracającej emerytury. Niedawno mieliśmy do czynienia z podobnym projektem, na tej samej zasadzie przeprowadzonym, dotyczącym prawa do aborcji. 200 tys. ludzi podpisało się pod tym projektem. Dla porównania – po to, żeby ubekom i esbekom oddać emerytury, podpisało się 250 tys.! Wystarczyło 100 tys., a my mieliśmy 250 tys. pozbiieranych i uporządkowanych podpisów. W trzy miesiące. Oczywiście ustawa została odrzucona głosami PiS. Trudno... Po wyborach przedstawimy nową.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Będą wybory albo nie

Redaktor naczelny napisał w PRZEGŁADZIE, że dobrze, iż są jakieś programy pomocowe, które rząd kieruje do osób (przynajmniej do części) najbardziej odczuwających rosnące koszty życia. Ślusznie też zauważa, że odpowiedź liberałów – gdyby rządzieli – byłaby taka, że pieniędzy nie ma i nie będzie. Jaką zatem propozycję mają liberałowie na obecną inflację?

Niedawno prof. Marek Belka zaproponował jako walkę z inflacją, czyli walkę ze wzrostem cen, zwiększenie VAT do 25%. Moim zdaniem jeśli VAT wzrośnie z 23% do 25%, wzrosną też ceny.

Wiem, że taka decyzja ma sens, jeżeli trzeba ograniczyć popyt, ale przecież obecna inflacja jest spowodowana nie nadmiernym popytem, ale rosnącymi kosztami przedsiębiorstw, które na skutek wzrostu cen energii podnoszą ceny towarów i usług (jeśli mnie pamięć nie myli, to o wzrostach cen energii dla przedsiębiorstw już na rok 2021 mówiono dwa lata temu).

Czyli według mnie raczej obniżka VAT miałaby sens, bo zmniejszyłaby ceny, a i pieniądz nie traciłby na wartości. A dzięki temu nie zmalałby za bardzo popyt, co może przecież grozić stagflacją. Obniżenie popytu może skutkować tym, że producenci i usługodawcy dalej będą podnosili ceny, bo przecież ich koszty się nie zmniejszą,

ale dochody, zarobki wynikające z osłabienia popytu – i owszem. Obniżenie VAT nie będzie skutkowało zmniejszonymi wpływami do budżetu państwa, bo większy popyt spowoduje, że te wpływy też wzrosną.

Druga sprawa to pomysł Jarosława Kaczyńskiego postraszenia banków podatkiem od nadmiernych zysków (jakie to są nadmierne zyski?), jeśli nie podniosą oprocentowania lokat. I nie musiałoby to być oprocentowanie zbliżone do inflacji! Według mnie to tylko zagrażenie pod publiczność, bo po co straszyć banksterów jakimś podatkiem? Gdyby jakkolwiek większość sejmowa dbała o interes obywateli (tzw. szarego człowieka w szczególności), to mogłaby przecież przegłosować ustawę, w której opisana by została zależność wysokości lokat od inflacji czy różnych stóp procentowych ustalanych przez Radę Polityki Pieniężnej. I jeśli już niektórzy ekonomiści chcą zmniejszyć podaż pieniądza na rynku, to podwyższenie oprocentowania lokat mogłoby dać taki efekt. Część osób, które zabrały (lub chcą zabrać) fundusze z banków, aby w coś zainwestować albo kupić jakieś dobra, wpłaciłaby je wtedy z powrotem na już sensownie oprocentowane lokaty.



Piotr Robecki

Polska kolonistów

**Nawet najwięksi przeciwnicy PRL
nie mogą zakwestionować ogromnej skali wypoczynku
dzieci i młodzieży**



Harcerze z hufca Nowe Piekuty (woj. łomżyńskie) na obozie wędrownym w Nowosądeckiem. 1978 r.

Jacek Cezary Kamiński

„Wyjechali na wakacje wszyscy nasi podopieczni”, śpiewał z ulgą Kazik Staszewski w przeboju z końca lat 90. Dziś co prawda nie wszystkich rodziców stać na luksus wysłania dzieci na kolonie, ale wciąż taka forma wypoczynku pozostaje oczywistym pomysłem na wakacje dla najmłodszych. To dziedzictwo wyklętych obecnie czasów PRL.

Co ciekawe, mimo czarnej legendy Polski Ludowej akurat temat wakacyjnego wypoczynku dzieci i młodzieży wspominany jest powszechnie z sentymentem. Nawet niechętnie PRL media piszą o ówczesnych koloniach z łezką w oku, ciepłe wspomnienia dominują na forach dyskusyjnych i w mediach

społecznościowych. Wszyscy są zgodni, że dla Polaków urodzonych w latach 50., 60. i 70. XX w. udział w kolonijnych wyjazdach, a w przypadku starszych roczników w różnego rodzaju obozach młodzieżowych, był doświadczeniem pokoleniowym.

Potwierdzają to liczby. W 1975 r., gdy organizowany przez państwo wypoczynek kolonijny osiągnął apogeum, skorzystało z niego 7,6 mln dzieci, a więc zdecydowana większość nieletniej populacji kraju. Droga do tak masowej skali była długa – zniszczony wojną kraj borykał się z pilniejszymi potrzebami, poza tym startowano właściwie od zera, bo w przedwojennej Polsce zorganizowany wypoczynek dzieci i młodzieży istniał w niewielkim zakresie. W początkach okresu międzywojennego

obejmował on ok. 40 tys. dzieci, by pod koniec lat 30. przekroczyć 400 tys. Z uroków kolonii i obozów letnich w II RP korzystali głównie młodzi ludzie wywodzący się z zamieszanych rodzin, choć w niewielkim zakresie dostępne były także wyjazdy zdrowotne dla dzieci pochodzenia robotniczego.

Inna skala

Powojenna odłona to inna skala. Już w latach 1946-1947 różne formy dziecięcego wypoczynku letniego objęły ponad 700 tys. osób, w roku 1948 ponad 460 tys., a w 1965 r. na kolonie i obozy wyjechało ponad 1,1 mln dzieci. Postęp w tej dziedzinie był oczywiście kwestią motywowaną ideologicznie i politycznie. Nowa Polska miała być państwem



Przy obiedzie nie wypadło grymasić. Kolonie w Rozalinie, 1961 r.

na względzie obniżenie kosztów uczestnictwa dzieci i młodzieży w wypoczynku letnim i zimowym, kombinat partycypował w kosztach budowy różnych obiektów szkolnych, m.in. w Świnoujściu, Dziemianach, Piwnicznej, Białce Tatrzańskiej, gdzie w okresie letnim wypoczywały dzieci hutników. Korzystano także z obcej infrastruktury w Sopocie, gdzie położone tuż przy moło budynki wynajmowano od LZS. W 1960 r. było to 220 miejsc w 2- i 4-osobowych chatkach, wyliczała na łamach „Rocznika Prasy Polskiej” prof. Agnieszka Chłosta-Sikorska.

zorientowanym socjalnie, dlatego letni, a stopniowo także zimowy wypoczynek młodego pokolenia socjalistycznej ojczyzny musiał być przede wszystkim tani i ogólnodostępny. Krakowska historyk Agnieszka Chłosta-Sikorska podkreśla, że ta linia polityczna wynikała też z założeń konstytucyjnych: „Artykuł 59 Konstytucji PRL zagwarantował obywatelom prawo do zdrowego i kulturalnego wypoczynku. Propagandowo było to kolejne, po likwidacji analfabetyzmu, znaczące osiągnięcie władzy”.

Wysokość opłat za pobyt na koloniach zmieniała się, na ogół jednak były jeśli nie symboliczne, to dostępne dla przeciętnego robotnika. W latach 60. opłaty za skierowania na wczasy zależały od miesięcznego wynagrodzenia

Już w latach 1946-1947 różne formy dziecięcego wypoczynku letniego objęły ponad 700 tys. osób.

starali się wysyłać dzieci na wakacyjny wyjazd dwukrotnie, np. oprócz kolonii z zakładu pracy także na obóz harcerski. Nie licząc rzecz jasna rodzinnych wczasów zakładowych.

W ciągu kilku dekad kolonijne wyjazdy bardzo się zmieniały. Początkowo ciężar ich organizacji spoczywał bezpośrednio na barkach instytucji państwa. Kolonie organizowane były przez kuratoria bądź takie organizacje społeczne jak Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, finansowane z budżetu państwa. Stopniowo jednak rosła aktywność na tym polu zakładów pracy. Pod koniec Polski Ludowej to kolonie zakładowe

Pod namiotem i w dworku

Nawiasem mówiąc, taki system, w którym część świadczeń społecznych, w tym letni wypoczynek dzieci pracowników, przejmowały zakłady pracy, miał swoje złe strony. Ponieważ poszczególne przedsiębiorstwa dysponowały różnymi możliwościami, nie było to rozwiązanie do końca egalitarne. „Fakt, że spora część świadczeń była przenoszona na poszczególne zakłady pracy, sprawiał, że pogorszenie ich wyników oznaczało obniżenie jakości usług socjalnych. W ten sposób polityka społeczna uzależniała poziom świadczeń od kryteriów związanych z siłą poszczególnych przedsiębiorstw”, pisał w książce „PRL bez uprzedzeń” Piotr Szumlewicz. Historyk Włodzimierz Mędrzecki oceniał na łamach „Roczników Dziejów Społecznych i Gospodarczych”, że taka sytuacja faktycznie wpływała na zróżnicowanie warunków pobytu kolonijnego: „Poza krótkim okresem stalinizmu, kiedy to niemal wszystko spoczywało na barkach administracji państwowej, ważną rolę jako organizatorzy i mecenas odgrywały zakłady pracy. Niektóre z nich dysponowały dużą gotówką i własnym zapleczem ▶

W 1975 r. z wypoczynku kolonijnego skorzystało 7,6 mln dzieci.

brutto pracownika i wynosiły ok. 12-16% miesięcznej pensji, podobnie było w przypadku kolonii. Natomiast w 1972 r. pobyt dziecka na 26-dniowym turnusie kosztował średnio 1,3 tys. zł, przy czym dotacja z budżetu państwa wynosiła 860 zł, resztę dopłacali rodzice (średnia płaca wynosiła wówczas 2509 zł).

Turnusy kolonijne były też dłuższe niż obecnie – zwykle trzytygodniowe. Zresztą rodzice często

stały się standardem. Poszczególne przedsiębiorstwa dokładały zresztą starań, żeby zapewnić progeniturze pracowników jak najlepsze warunki wakacyjnego wypoczynku, korzystając ze swoich możliwości inwestycyjnych. Zakładowe ośrodki kolonijne trafiały się rzadziej niż wczasowe, ale sięgano po różne rozwiązania. Na przykład Huta im. Lenina wspomagała budowę szkół w miejscowościach letniskowych. „Mając

► socjalnym, inne liczyły każdy grosz i wynajmowały miejsca w internatach, szkołach, a niekiedy w kwadrach prywatnych”.

Właśnie warunki pobytu na turnusach kolonijnych pozostają ulubionym przedmiotem drwin współczesnych liberalnych mediów. „W skontrolowanym przez NIK budynku kolonii letniej w Pińczowie na 24 ubikacje w 18 brakowało sedesów. W Podgrodziu pod Szczecinem w sypialniach panowała wilgoć, ściany pokrywał grzyb, brakowało urządzeń sanitarnych. W innych placówkach nie było ciepłej bieżącej wody, natrysków, brakowało mebli, pościeli, sprzętu do zajęć plastycznych i sportowych. NIK z satysfakcją

Turnusy kolonijne były zwykle trzytygodniowe.

odnotował za to, że wszystkie placówki miały telewizor”, dworował sobie na łamach „Gazety Wyborczej” Jacek Hołub. Oczywiście jest, że wobec masowej skali tej formy wypoczynku kolonijne realia dalekie były od luksusów. Podstawową bazą kolonii letnich były budynki szkolne, ale wykorzystywano także inne obiekty. Autor tych słów jako weteran kolonii i zimowisk lat 70. zaliczył m.in. noclegi w sali lekcyjnej szkoły podstawowej w Węgrowie, namiocie harcerskim w nadmorskiej Białogórze (w ramach zwykłych kolonii), pokoju dworku w Sępochowie pod Otwockiem, ale i w specjalnym ośrodku kolonijnym w Rzecze w Górach Sowich, który do dziś, po modernizacji, służy jako kompleks wypoczynkowy.

Na tej liście są, jak widać, miejsca rozrzucone po całym kraju – kolonie miały bowiem służyć nie tylko wypoczynkowi po trudach roku szkolnego, ale także celom edukacyjnym, głównie poznawaniu ojczystego kraju. Dlatego obowiązkowym punktem wyjazdów kolonijnych były wycieczki. Dla dzieci z prowincji główny cel stanowiła rzecz jasna Warszawa. Jednak wymiar wychowawczy kolonii nie ograniczał się do turystyki. „Już w okresie międzywojennym kolonie, obozy czy zorganizowany



Kolonie dla dzieci w Krzewicy, 1966 r.

sposób spędzania czasu wolnego w miejscu zamieszkania były postrzegane jako szansa na realizowanie rozmaitych działań wychowawczych i programów ideowych. Aż do lat 70. XX w. kolonie i obozy były miejscami, w których wiele dzieci po raz pierwszy stykało się z zasadami nowoczesnej higieny, zdobywało podstawowe kompetencje w zakresie współdziałania w grupie, poznawało osiągnięcia nowoczesnej techniki i cywilizacji”, zauważał Włodzimierz Mędrzecki.

Bez wsi

Mimo niewątpliwych sukcesów peerelowski program „kolonizacji” poniósł fiasko w jednym punkcie – powszechna akcja kolonijna, nawet

kolonijnego wypoczynku korzystały właściwie jedynie dzieci pracowników państwowych gospodarstw rolnych.

Władze nie traciły natomiast z pola widzenia nieco starszych roczników młodego pokolenia. Standardem były obozy harcerskie i organizacji młodzieżowych: Związku Młodzieży Socjalistycznej i Związku Młodzieży Wiejskiej, a później Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, ale wakacyjna oferta dla młodzieży wiązała się także z możliwością pracy zarobkowej. Była to atrakcyjna forma spędzania wakacji przez młodych ludzi zwłaszcza w pierwszych latach Polski Ludowej, okresie wszechobecnej biedy. A dla gospodarki – szansa na sezonowy dopływ siły roboczej, której w PRL zawsze brakowało.

Kolonie miały służyć nie tylko wypoczynkowi, ale także celom edukacyjnym – głównie poznawaniu ojczystego kraju. Dlatego obowiązkowym punktem były wycieczki.

w okresie największego zasięgu, nie objęła wsi. Szacuje się, że aż 95% dzieci z obszarów wiejskich nigdzie nie wyjeżdżało na wakacje. W indywidualnych, czy raczej rodzinnych, gospodarstwach rolnych ich pomoc była niezbędna przy żniwach i innych pracach polowych. Z możliwości

Początkowo wakacyjne brygady organizowała pamiętna z czasów stalinowskich Powszechna Organizacja Służba Polsce. Udział w takich eskapadach pozostawił różne wrażenia w pamięci uczestników. Piotr Nesterowicz w książce „Każdy został człowiekiem” przytacza



istniejące do dziś Ochotnicze Hufce Pracy. W 1960 r. liczba uczestników hufców sezonowych (głównie wakacyjnych) wynosiła zaledwie 22 tys., ale w roku 1964 już 364 tys. W latach 70. sięgnęła nawet pół miliona rocznie. Od 1975 r. organizowano także zagraniczne obozy OHP dla młodzieży szkolnej i studenckiej w państwach bloku socjalistycznego. W okresie największego rozwoju tej działalności za granicę wyjeżdżało kilkadziesiąt tysięcy młodych Polaków, a w kraju przyjmowano kilka tysięcy osób z zagranicy. Uczestniczką takich wypraw zagranicznych była Bożena Fink, która dziś prowadzi w Warszawie biuro turystyczne. Studenckie wakacje 1980 r. spędziła w ten sposób w Bułgarii. „Byłam przodownicą pracy z linii pakowania na akord kurczaka w rosole z papryką do 0,7-litrowej puszki! – żartuje. – Na zdjęciach

Wszystkie formy wakacyjne wypoczynku dzieci i młodzieży organizowanego przez państwo i zakłady pracy apogeum osiągnęły w latach 70., co zresztą nie dziwi, bo odzwierciedla dynamikę rozwoju gospodarczego PRL. Włodzimierz Mędrzecki oceniał, że coraz mniejszy udział podmiotów państwowych miał dwie przyczyny: narastające problemy gospodarcze, ale także zmniejszające się zainteresowanie społeczne – „wzrastała liczba osób, które wołały spędzać wolny czas z rodziną lub w grupie przyjacielskiej”. Lukę po państwie zaczęły też w coraz większym stopniu wypełniać inicjatywy kościelne. Zwłaszcza w latach 80. częsty był widok na wakacyjnych szlakach rozśpiewanych grup oazowych.

Po 1989 r. organizacja kolonii letnich, podobnie jak inne dziedziny życia społecznego, uległa prywatyzacji i stała się jedną z aren działalności biznesowej. Dla osób z grona nauczycielskiego, które podejmowały się organizowania wyjazdów, stało się to świetną okazją, aby dorobić sobie do skromnych wynagrodzeń, ale dla wielu rodziców brak państwowych dotacji okazał się barierą nie do przejścia. Według danych MEN w 2019 r., który był ostatnim sezonem wakacyjnym przed pandemią COVID-19, na obozy i kolonie letnie wyjechało 773 243 dzieci.

Jacek Cezary Kamiński

Według danych MEN w 2019 r. na obozy i kolonie letnie wyjechało 773 243 dzieci.

skrajnie odmienne wspomnienia. „Tam zrozumiałam, że jestem pełnowartościową obywatelką Polski – oceniała zadowolona Basia. – W Olecku dali nam gorącą kolację, wykąpałyśmy się solidnie, każda dostała nowiutki mundur junacki na święto, spodnie plus buty do pracy. Rano przyjeżdżały samochody z PGR-ów i zabierały nas do pracy. (...) Po obiedzie miałyśmy zajęcia w świetlicy: czytanie książek, pisanie listów, nauka piosenek. (...) Co dwa tygodnie badał nas też lekarz. I chociaż każda była z innej wsi czy miasta, to w krótkim czasie żyłyśmy się jak przyjaciółki”. Diametralnie inaczej zapamiętała pobyt w brygadzie wakacyjnej Dorota: „Ich jednostka mieści się nad morzem, więc karmią je na przemian śledziami i dorszami, chociaż w raportach podają inny, bogatszy jadłospis. Gdy dwie dziewczyny uciekają, za karę przez trzy dni wszystkie dostają gorzką kawę. – Nie przyjechałyście tu na wczasy, tylko do roboty. Darmo nie będziecie żreć państwowego chleba! – wykrzykuje komendant”.

Od lat 60. wakacyjną pracę uczącej się młodzieży organizowały

nie widać, jak wyglądały nasze ręce, bo przecież to drobiazg. To był nasz pomysł na własne pieniądze. Wypłata po 1400 zł za miesiąc, po przeliczeniu z lewów, ale 400 zł można było zostawić na własnym koncie dewizowym w bonach PeKaO, czyli dokładając OHP w NRD (klęska urodzaju buraka pastewnego, pamiętam), miałam razem 120 dol. np. na Paryż, Yardleya dla taty i maskarę dla mamy”.

**DWA TOMY TEKSTÓW
ZNAKOMITYCH AUTORÓW**

Andrzej Walicki,
Bronisław Łagowski, Ludwik Stomma,
Andrzej Werblan, Dariusz Jarosz,
Lech Mażewski, Dariusz Łukasiewicz,
Krzysztof Wasilewski

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7, **Darmowa wysyłka**
listem nierejestrowanym Poczta Polska.

PAKIET
85 zł
59 zł

42 zł
32 zł

43 zł
33 zł

Jakub Dymek

Jak wygląda polityczne prawo dżungli w praktyce? Silniejszemu – niemal zawsze – wolno więcej. Także gdy chodzi o zawłaszczanie cudzych idei czy haseł, okradanie innych z pomysłów.

Dziś Donald Tusk, polityk bez wątplenia sprawniejszy i bardziej dalekowszroczny niż jego partyjne zaplecze i medialni wielbiciele, zaczyna kampanię, opierając się na postulatach nie doktrynalnego neoliberalizmu, ale nowoczesnej socjaldemokracji. Podkreśla konieczność zielonej transformacji, krytykuje banki i instytucje finansowe. Opowiada się za uregulowaniem rat kredytów i uderzeniem w zyski koncernów paliwowych – a to tym łatwiejsze, że na naszym rynku chodzi przede wszystkim o Orlen. Dalej: mówi, że „mieszkanie jest prawem człowieka”, a móc mieszkać w godnych warunkach „to nie jest jakiś przywilej, to nie może być marzenie i dorobek całego życia”. Więcej nawet! W ostatnich dniach szef Platformy zaszokował swoją publicznością, ogłaszając poparcie dla skrócenia czasu pracy.

Tusk po roku od powrotu do polskiej polityki zrozumiał to, czego wciąż nie pojmuje część jego sympatyków – że w realiach kryzysu i wojny obywatele oczekują od polityków odpowiedzi na zagrożenia. Przede wszystkim te związane z drożyzną, ryzykiem zbiednienia, lękiem przed utratą dachu nad głową. Dlatego język górnolotnych wezwań o ochronę takich wartości jak praworządność,

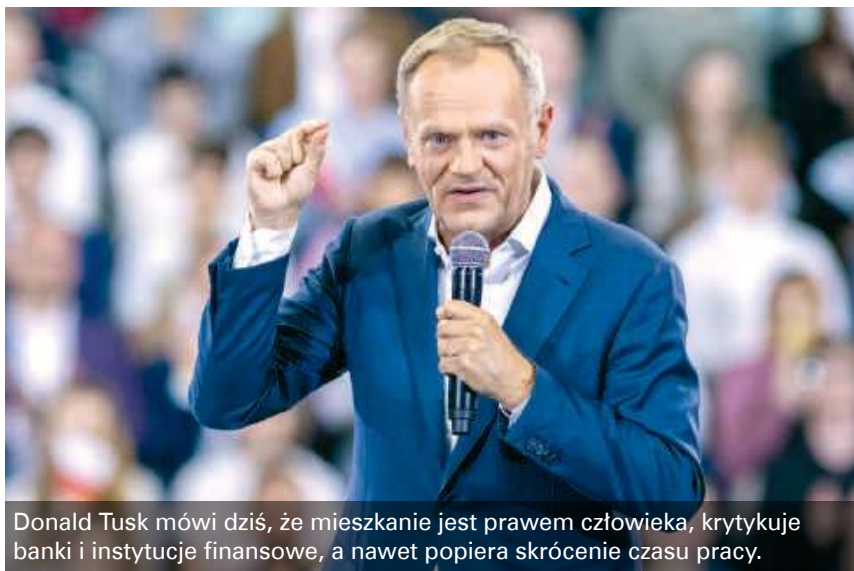
Tusk zrozumiał to, czego wciąż nie pojmuje część jego sympatyków – że w realiach kryzysu i wojny obywatele oczekują od polityków odpowiedzi na zagrożenia.

europejskie standardy i demokracja ustępuje hasłom dotyczącym praw socjalnych i konieczności pomocy gospodarstwom domowym w obliczu kryzysu.

Wszystkie te postulaty, oprócz faktu, że kampanię robi teraz przy ich użyciu Tusk, mają jeszcze jedną wspólną cechę. Pojawiły się w obiegu publicznym dzięki dziennikarzom,

Wielki kopista

Donald Tusk podkrada pomysły lewicy. Cieszyć się?



Donald Tusk mówi dziś, że mieszkanie jest prawem człowieka, krytykuje banki i instytucje finansowe, a nawet popiera skrócenie czasu pracy.

ekspertkom, środowisku aktywistów i politykom związanym z lewicą. Czasami także dzięki ludziom, którymi polityczny i medialny mainstream na co dzień gardzi i których wyśmiewa.

Nowe porządki

Trudno w świecie amoralnej polityki na to się oburzać. Tusk (ani żaden inny polityk) nie musi szanować praw autorskich do cudzych idei – szczególnie jeśli z dowolnego powodu uznał, że dzisiaj to również jego idee.

Warto jednak temu trendowi przyrzeć się dokładniej.

Przynajmniej od początku pandemii pomysły na gospodarkę, działania antykryzysowe i zapewnienie odporności państwa – modne ostatnio w debacie międzynarodowej pojęcie *resilience* – płyną z lewej strony do centrum. Nie tylko w Polsce, to tendencja obecna w całym świecie

zachodnim. „W trakcie pandemii wszyscy są socjalistami”, ironizował na stronach „New York Timesa” publicysta Farhad Manjoo. Adam Tooze, globalnej sławy historyk ekonomii, kolejny już rok przekonuje, że kryzysy ostatnich lat obudziły zapomniane już recepty (keynesizm wojenny), a obowiązujące paradygmaty zostały odesłane w niebyt. W książce „Shutdown” – o koronakryzysie właśnie – Tooze pisał, że i tak państwa zadłużają się na potęgę, i tak finansują olbrzymie wydatki publiczne i ingerują w życie gospodarcze na niespotykaną od dekad skalę. Po co więc udawać, że dalej żyjemy w gorszej shtetynach reguł i niepisanych świętych zasad ekonomii, skoro wszyscy i tak działają obok dawnych porządków lub zupełnie wbrew nim?

W polskim kontekście na te same rzeczy zwracały uwagę książki Edwina Bendyka, Piotra Araka czy manifest „Regeneracja zamiast tarczy!” z 2020 r. zainicjowany przez środowisko młodych ekonomistów zrzeszonych dziś w Polskiej Sieci Ekonomii. Na ile to merytoryczne podejście naprawdę zakorzeniło się w myśleniu

klasy politycznej, to osobna kwestia. Faktem jest, że politycy tacy jak Tusk posługują się hasłami, postulatami i programami, które wcześniej przygotował ktoś inny. Najczęściej z lewej strony. Oto przykłady.

Katalog łupów

Pamiętacie państwo kwestię zamrożenia wskaźnika WIBOR, czyli stawki pożyczek międzybankowych, która wraz z rosnącymi stopami procentowymi odpowiada za coraz wyższe raty kredytów hipotecznych? Zimą projekt zamrożenia tego wskaźnika lub cofnięcia go do poziomów z 2021 r. (czyli wymuszenia obniżki rat kredytów przez banki) postulował ekonomista Marcin Wroński, a jego tezy promowali m.in. aktywista Jan Śpiewak i dziennikarz Grzegorz Sroczyński. Pod pomysłem podpisały się partia Razem i klub Nowej Lewicy. Wtedy jednak uchodził on za radykalny. Izabela Leszczyna – jak się mówi, kandydatka PO na ministra gospodarki w ewentualnym przyszłym rządzie – nazwała go na antenie radia

Hasło „mieszkanie prawem, nie towarem” było wyśmiewane. Aż w czerwcu Donald Tusk powiedział, że uważa mieszkanie za prawo człowieka.

TOK FM „złym, populistycznym i głupim”. Nie dalej jak miesiąc później PO złożyła własny projekt... obniżający raty kredytów do poziomu z grudnia 2021 r. A teraz politycy PO atakują w mediach premiera Morawieckiego – całkiem słusznie zresztą – jako „kumpla bankierów”, co wcześniej było wyłącznie domeną polityków Lewicy. Ten sam Morawiecki był przecież, o czym Leszczyna udaje, że nie pamięta, doradcą Tuska w czasach rządów jej partii.

Dokładnie tak samo było w kwestii mieszkalnictwa i skrócenia czasu pracy. Gdy w tym roku znów rozgorzał międzypokoleniowy spór o mieszkanie, lewicowi aktywiści i politycy byli w głównym nurcie wyśmiewani za hasło „mieszkanie prawem, nie towarem”. Porównywano je oczywiście do komunistycznych programów wywłaszczenia i sugerowano, że Lewica chce zabrać ludziom ich dobytek

i rozdać go innym (a najchętniej leniwym 20-latkom). W czerwcu jednak Donald Tusk powiedział, że sam uważa mieszkanie za prawo człowieka, i jego zwolennicy w sympatyzujących z PO mediach prędko wyciszyli swoją krytykę publicznych inwestycji w mieszkalnictwo.

Dziś politycy tacy jak Tusk posługują się postulatami i programami, które wcześniej przygotował ktoś inny. Najczęściej z lewej strony.

Z kolei program skrócenia czasu pracy do 35 godzin lub czterech dni w tygodniu jest jedną z inicjatyw, które od lat – wzorem progresywnej lewicy zachodniej – promuje partia Razem. W 2018 r. (nieskutecznie) politycy tego ugrupowania zbierali podpisy pod inicjatywą ustawodawczą projektu skracającego czas pracy. „Ja proponuję siedem godzin pracy w tygodniu! Albo nie – w miesiącu. Będzie więcej czasu na rozwój osobisty i odpoczynek. Kto za?! Ekonomia, głupcze!”, szydził wtedy polityk PO Borys Budka. Dziś wprowadzenie

– pomysły w końcu znajdują drogę do niechętnego refleksji głównego nurtu debaty publicznej. Dla ekspertów czy aktywistów to również najlepsze potwierdzenie, że postulaty o które walczą, są tego warte. Jeśli politycy liczących się partii w końcu dostrzegają potrzebę lepszej ochrony

środowiska, prowadzenia mądrzejszej polityki mieszkaniowej czy reformy systemu podatków – to z korzyścią dla wszystkich.

Jednak, jak pokazują losy lewicy w wielu państwach Zachodu (a i perypetie Nowej Lewicy w Sejmie od 2019 r.), z punktu widzenia ugrupowań progresywnych stanowi to pewien problem. Nie ma politycznych nagród dla partii czy środowisk, które wypromują jakiś zasadny pomysł – nagrodę otrzymują wyłącznie ci, którzy ów pomysł zrealizują. Politolodzy zajmujący się nawykami wyborców doskonale znają ten mechanizm – obywatele często popierają gorliwie postulaty mniejszych partii, ale ostatecznie oddają głos na silniejszego. Bo nie ufają, że małe partie będą miały wpływ na rzeczywistość, a być może silniejsza w sondażach partia czy kandydat zrealizuje choć w części to, na co liczą. W USA Bernie Sanders kandydował bez sukcesu na urząd prezydenta z hasłami, które w dużo skromniejszej wersji wprowadza dziś bardziej umiarkowany Joe Biden.

W Polsce wyjątkowo pechowe położenie Lewicy polega na tym, że PO i PiS mogą ją z pomysłów okradać z obu stron. I wszystko wskazuje, że to jeszcze nie koniec.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

pilotażu czterodniowego tygodnia pracy zapowiada jego szef, a mówi się że Platforma może z podobnego programu uczynić jeden z głównych postulatów nadchodzącej kampanii.

Lista tematów społecznych, które przywędrowały z lewej flanki do głównego nurtu – prawo do przezywania ciąży, związki partnerskie, rozdział państwa od Kościoła – jest oczywiście dużo dłuższa.

Poza podium

Za każdym razem, gdy ma miejsce podobny transfer idei, pojawia się to samo pytanie. Czy dla środowisk znajdujących się poza głównym nurtem (lub zjadale z niego wypychanych) przejmowanie ich postulatów przez niegdyś przeciwników to dobry, czy zły znak?

Można się cieszyć, że dobre – przeważnie, bo przecież nie zawsze



Za potrzebą ścieżką przy dębie i w lewo za kamieniem

3,5 mln Polaków nie ma własnej łazienki, a 2,5 mln choćby ubikacji.
To wciąż tabu, bo brak toalety w domu to wstyd

Anna Stachowiak

„Cześć, mam delikatny problem i nie wiem, jak go rozwiązać. No więc... mieszkam w domu, w którym nie ma łazienki. Nie, że lepianka, ale łazienki nie ma. Jutro zapraszam po raz pierwszy do domu chłopaka i nie wiem, jak mu delikatnie powiedzieć, że nie mam łazienki. Wprost czy kombinować, że zajęta? Proszę o pomoc”, napisała Kasia na jednym z forów internetowych. Zamiast pomocy dostała szydercze komentarze zdziwionych internautów: „Powiedz mu wprost, że nie ma kibla w domu, a jak zapyta, gdzie może się odlać, powiedz: do kibla prosto tą ścieżką przy dębie i w lewo za kamieniem”, brzmi jedna z odpowiedzi. Inna: „To gdzie sikacie?”. Kolejna: „Nie wierzę, że w XXI w. można żyć bez łazienki”.

Ano można. Tak żyje ok. 3,5 mln osób, ubikacji nie ma 2,5 mln. Z danych Głównego Urzędu Statystycznego za rok 2020 wynika, że 1,2 mln gospodarstw domowych wciąż nie ma łazienki, a prawie 900 tys. – toalety. Co to znaczy? Że bez WC z bieżącą wodą żyje ponad 2 mln osób. Oznacza także wstyd, poczucie nieprzystawania do reszty i nierówne szanse. Nawet w tak odległych pozornie kwestiach jak życie uczuciowe.

– Ten temat jest na tyle intymny, że my rzeczywiście rzadko go poruszamy. O wielu wykluczeniach się słyszy, choćby o wykluczeniu cyfrowym czy społecznym, ale nie o braku dostępu do toalety. Dla wielu osób może to stanowić temat tabu, dla części to temat marginalny, dla jeszcze innych żenujący czy śmieszny. I myślę, że również z tych powodów ten problem jest wciąż w wielu miejscach nierozwiązany – mówi dr Konrad Maj, psycholog społeczny



z Uniwersytetu SWPS w Warszawie. Jest zaskoczony skalą problemu. – To szokujące, że w dzisiejszych, cywilizowanych przecież czasach tak wiele osób jest wykluczonych z dostępu do oczywistych, jak na współczesne warunki, możliwości sanitarnych. Bez wątpienia ci ludzie mogą się czuć wykluczeni, bo zdają sobie sprawę, że większość Polaków ma w domu ubikację. To z kolei może wpływać na niską samoocenę czy nawet na życie społeczne; myślę, że

wiele takich osób ma opory przed zaproszeniem znajomych do swojego domu – wyjaśnia. Dodaje jednak, że choć z perspektywy jego własnej, miejskiej bańki takie warunki życia mogą się wydawać szokujące, dla pewnej grupy ludzi, których rodziny tak żyły i którzy wcześniej nie mieszkali w domu z wanną, prysznicem czy toaletą, to jest pewna normalność, bo innej nie znają.

W kolejce do toalety

Choć posiadanie w domu miejsca, w którym można załatwić potrzeby fizjologiczne, wydaje się oczywiste, w Polsce wciąż są gminy, w których połowa mieszkań nie ma łazienki. Widać wyraźny podział na Polskę wschodnią i zachodnią – w infografikach opublikowanych przez serwis „Gazety Wyborczej” Big Data ściana wschodnia w niektórych miejscach gorzej czerwieni – to te miejscowości, w których łazienka jest w 50% domostw. A są i takie jak Strachówka (60 km na południowy wschód od Warszawy), gdzie łazienek nie ma

Najgorzej w Rumunii

Życie bez podstawowych wygód i wygódek to fragment nie tylko polskiej rzeczywistości. Jak wynika z danych Eurostatu, w całej Unii Europejskiej średnio 1,5% gospodarstw domowych nie ma toalety, prysznic czy wanny. Zwykle – żadnego z tych urządzeń. Niechlubny rekord pod tym względem należy do Rumunii, gdzie odsetek ten wynosi ponad 21%. W Bułgarii i na Łotwie takich domostw jest 7%, na Litwie 6,4%.

w 60% domów. Widać też ogromną różnicę między miastami i aglomeracjami a wsią. 95,7% miejskich mieszkań ma łazienki, wiejskich zaś – 83,5%. Wprawdzie w ciągu ostatnich dwóch dekad nastąpiła znaczna poprawa, bo w 2003 r. uśrednione dane wyglądały tak: 91,8% w miastach i 74,5% na wsi, ale nadal różnica między obszarami miejskimi i wiejskimi jest duża.

Zresztą nawet w Warszawie są mieszkania, których lokatorzy muszą się w misce za przepierzeniem, a załatwiać się albo poza domem, albo do nocnika. Ewentualnie – korzystać ze wspólnej dla wielu mieszkańców toalety, co może być wyzwaniem. Średni wskaźnik mieszkań z łazienką dla całej stolicy wynosi 99%, ale we Włochach (które do Warszawy zostały przyłączone w 1952 r.) czy Rembertowie (przyłączenie w 1957 r.) łazienki są w 94% mieszkań. Na Pradze Południe – w 86%.

Pęknięta Polska

Problem braku toalet wiąże się bezpośrednio z dostępem do sieci wodociągowej i kanalizacyjnej. Tu również widać rozziw między wschodnią i zachodnią Polską. O ile na zachodzie 85-100% mieszkań jest podłączonych do sieci, o tyle na wschodzie nie brakuje miejscowości, w których ten dostęp jest na poziomie ok. 14%. Niwelowanie różnic trwa, ale wciąż przebiega zbyt wolno.

– Jeśli popatrzymy na Polskę, to widać, że jest pęknięta w sensie gospodarczym i społecznym, co oczywiście wynika z historycznych zaszczości i zawirowań dziejowych. Część zachodnia, która była niemiecka, pod wieloma względami ma lepszą infrastrukturę. Tam już przed wojną nie było takich zaniedbań, jeśli chodzi o kanalizację czy wodociągi, a na terenie Polski wschodniej dominowały biedne wsie. Podobnie wygląda to w Niemczech, gdzie wciąż mimo 32 lat od zjednoczenia widać

dysproporcje ekonomiczne czy infrastrukturalne między wschodem i zachodem – mówi dr Maj. Zwraca uwagę na mechanizm społeczny polegający na powielaniu wzorców, które znamy: na naszej ścianie wschodniej, choć kierowane są tam duże środki finansowe, zwłaszcza unijne, na rozwój i edukację, wciąż dostęp do najnowszej wiedzy, a tym samym świadomość pewnych kwestii oraz innowacyjność może być bardziej ograniczona niż na zachodzie kraju. Ludzie w biedniejszych regionach często nie mają od kogo czerpać inspiracji, by wprowadzać nowe rozwiązania. – Normy, które

w 1988 r. takich mieszkań i domów było ok. 50%.

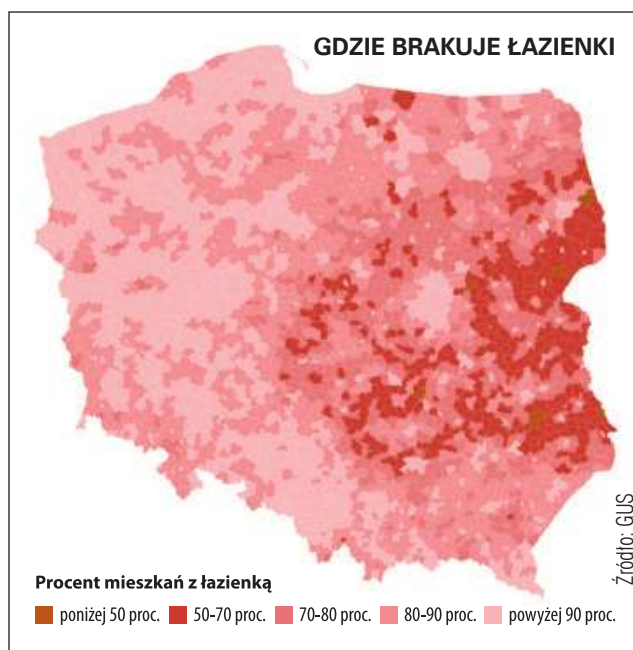
Luka mieszkaniowa

Złe warunki mieszkaniowe często wynikają z ciasnoty. Mieszkań w Polsce jest 14,8 mln (4,8 mln na wsi i 10 mln w miastach). Na 1000 mieszkańców przypadają 393 lokale, co daje nam 14. miejsce wśród 16 krajów europejskich ujętych w rankingu Deloitte Property Index 2021. W przepelnionych lokalach mieszka 38% Polaków, europejska średnia to 17%. Za lokal przepelniony uznaje się w Europie sytuację, w której np. osoba powyżej 18. roku życia nie ma własnego pokoju albo kiedy nie ma go żyjąca wspólnie para. Żebyśmy osiągnęli współczynnik 500 lokali na 1000 mieszkańców, należałoby dodatkowo wybudować 4,7 mln mieszkań. Ale na razie dobrych pomysłów, jak zasypać tę lukę mieszkaniową, nie ma.

Z tych 4,8 mln mieszkań na wsi 13%, czyli 630 tys., nie ma ustępu. Biorąc pod uwagę, że w jednym lokalu na wsi mieszka 3,16 osoby, niemal 2 mln osób musi załatwiać się poza domem. W miastach na te 10 mln mieszkań toalety nie ma 2,6%, czyli 260 tys. Skoro na jeden miejski lokal

przypada średnio 2,26 mieszkańca, to znaczy, że 587 tys. osób w miastach również nie ma ustępu. Razem toalety nie ma w domu 2,5 mln Polaków. Jeszcze gorzej jest z łazienkami. Brakuje ich w 16,5% mieszkań na wsi i 4,3% mieszkań w miastach. Oznacza to, że własnej łazienki nie ma ok. 3,5 mln Polaków – 990 tys. w miastach i 2,5 mln na wsi.

Mimo to raport GUS jest utrzymany w optymistycznym tonie. Podkreślono w nim, że warunki mieszkaniowe w Polsce wciąż się poprawiają. To faktycznie się dzieje, ale bardzo powoli. Zbyt wolno, by uchronić setki tysięcy ludzi przed wykluczeniem społecznym. I palącym wstydem. ■



są utrwalone, łatwo się powielają, od pokoleń następuje reprodukcja wzorców i zachowań. Dlatego ściana wschodnia cierpi i trudniej ten region pod wieloma względami zdynamizować. To czysta psychologia społeczna i dotyczy społeczności, w których następuje przekazywanie wzorców, zarażanie się sposobem i stylem myślenia. To działa trochę jak społeczny wirus, na który trudno znaleźć szczepionkę – dodaje ekspert.

Interesujące są historyczne dane GUS. W latach 50. w miastach łazienkę miało mniej niż 15% mieszkań. Pod koniec PRL wyposażonych w nią było już 80% mieszkań. Na wsi

Marek Czarkowski

20, 30, a nawet 60 tys. zł będą mogli okresowo zaoszczędzić posiadacze kredytów hipotecznych dzięki przyjętej przez Sejm 7 lipca br. Ustawie o finansowaniu społecznościowym dla przedsięwzięć gospodarczych i pomocy kredytobiorcom. Prezydent Andrzej Duda podpisał ją tydzień później. Ustawa wprowadza tzw. wakacje kredytowe w latach 2022-2023. W sumie będzie to osiem miesięcy. W III kwartale 2022 r. będzie można zawiesić spłatę rat w sierpniu i wrześniu, a w IV kwartale w październiku i listopadzie. W roku 2023 będzie można to zrobić w jednym miesiącu każdego kwartału. Nie oznacza to darowania rat. Trzeba będzie je spłacić w przyszłości, co oznacza wydłużenie o osiem miesięcy okresu kredytowania.

To wymierna ulga dla osób, które kupiły mieszkania na kredyt. Lecz jednocześnie – jak twierdzi Narodowy Bank Polski – wysoki koszt dla banków, rzędu 20 mld zł. W ocenie Związku Banków Polskich może to być nawet 22,6 mld zł.

Sprawa jest poważna. W końcu 2021 r. liczba kredytów mieszkaniowych przekroczyła 2,5 mln, a całkowity stan zadłużenia z tego tytułu wyniósł 511,3 mld zł.

Gdy jesienią zeszłego roku Rada Polityki Pieniężnej ruszyła z serią podwyżek stóp procentowych NBP, systematycznie zaczęły też rosnąć miesięczne raty kredytów hipotecznych. Między majem 2020 r. a wrześniem 2021 r., gdy stopy procentowe były rekordowo niskie, ok. 562 tys. osób zaciągnęło 345,5 tys. kredytów hipotecznych o łącznej wartości 106,7 mld zł.

Te osoby są dziś najbardziej zagrożone. W przeszłości ocena ich zdolności kredytowej była o wiele bardziej liberalna, wyższe były także przyznawane kredyty. Ktoś, kto dwa lata temu mógł liczyć na kredyt w wysokości 400 tys. zł, dziś pewnie otrzymałby 200 tys. I jeśli wtedy skorzystał z atrakcyjnej, jak się wydawało, oferty, to w tym roku jego miesięczna rata mogła



Wakacje (kredytowe) tuż-tuż...

Osoby, które skorzystają z ulgi, nie powinny liczyć w najbliższych latach na nowy kredyt

wzrosnąć nawet o 100%. Co jest złą wiadomością, zważywszy, że jako społeczeństwo do najbogatszych w Europie nie należymy. A nasze pensje mocno odstają od unijnych standardów.

Życie w kredycie

Tym bardziej dziwi, że na razie działające w Polsce banki nie mają większych problemów ze spłataniem zobowiązań przez kredytobiorców. Dotyczy to zwłaszcza kredytów hipotecznych. Ci, którzy zarabiają mało, przeklinają i płaczą. Ci lepiej zarabiający zaciskają pasa. Jedni i drudzy narzekają przed kamerami na drożyznę i pokazują puste portfele, lecz starają się spłacać kredyty.

Z sondażu agencji Streetcom dla portalu Forsal.pl wynika, że w przypadku ok. 25% ankietowanych miesięczna rata kredytu wzrosła

o ponad 900 zł. Dla 20% była to kwota w przedziale 600-899 zł. Jeśli chodzi o pozostałe 53%, wzrost nie przekroczył 599 zł.

Potwierdza to wynikający z innych badań wniosek – gospodarstwa domowe w naszym kraju nie są zbyt zadłużone. Według Eurostatu w roku 2020 ich zobowiązania, łącznie z kredytami hipotecznymi, w relacji do PKB wynosiły 44%. Co sytuowało nas w okolicach 20. miejsca na 27 krajów należących do Unii Europejskiej. Do dziś niewiele się zmieniło.

Najbardziej zadłużeni w Europie są mieszkańcy Danii, Holandii i Cypru. W odniesieniu do nich wspomniany wskaźnik dawno przekroczył 100% w relacji do PKB. Osobliwością jest Liechtenstein. Do małego, 38-tysięcznego księstwa ze stolicą w Vaduz należy absolutny cempionat w sztuce

życia na kredyt. Według szacunków Financial Management Association International w 2020 r. zadłużenie gospodarstw domowych odpowiadało tam 226% dochodu będącego do dyspozycji obywatela i 120% PKB, plasując Liechtenstein w gronie krajów o najwyższym zadłużeniu gospodarstw domowych w Europejskim Obszarze Gospodarczym.

W końcu 2021 r. liczba kredytów mieszkaniowych przekroczyła 2,5 mln, a zadłużenie z tego tytułu wyniosło 511,3 mld zł.

czym. Przed ponurymi konsekwencjami tego stanu 2 grudnia 2021 r. ostrzegała mieszkańców księstwa Europejska Rada ds. Ryzyka Systemowego na łamach Dziennika Urzędowego Unii Europejskiej. Jednak z PKB na głowę mieszkańca w wysokości 169 tys. dol. w roku 2021 (w Polsce w tym czasie 17,8 tys. dol.) rząd w Vaduz może nie przejmować się podobnymi opiniami. Bogaci obywatele Liechtensteinu są bardziej wiarygodnymi i pewniejszymi kredytobiorcami niż ubodzy Polacy. No i waluta, którą się posługuje, należy do najmniejszych – to frank szwajcarski.

Najlepszymi rozwiązaniami dotyczącymi kredytów hipotecznych może się pochwalić Dania, której gospodarstwa domowe są tylko drobinę mniej zadłużone niż te w Liechtensteinie. W styczniu 2021 r. bank Nordea zaoferował duńskim klientom kredyt na zakup nieruchomości na okres 20 lat ze stałym oprocentowaniem 0%. Przy czym nie była to żadna nowość. Identyczne rozwiązanie pojawiło się w ofercie tamtejszych banków już kilka lat temu. Nordea po prostu reanimowała stary produkt. Media informowały, że podobny krok miały rozważyć Grupa Nykredit – największy pożyczkodawca hipoteczny w Danii, oraz największy w tym kraju bank – Danske Bank.

Jak to możliwe? Bez nacisków ze strony polityków? Bez rozdierających szaty demonstrantów pytających retorycznie, jak żyć? Otóż w Danii od połowy XIX w. wykształcił się niezwykle efektywny model kredytowania hipotecznego

bazujący na emisji hipotecznych listów zastawnych. W uproszczeniu działa on tak – bank hipoteczny udziela klientom kredytów, jednocześnie sprzedając inwestorom papiery dłużne, które mają nieco niższą rentowność. Jeśli takie kredyty udzielane są na 20 lat, to zapadalność papierów dłużnych równa jest temu okresowi.

Podobne rozwiązania funkcjonują w Holandii i w Niemczech, choć duński system z kilku powodów wydaje się nie do powtórzenia w innych krajach. Po pierwsze, wymusiłby on redukcję marż instytucji kredytowych, zwłaszcza banków, co odbiłoby się na ich zyskach. W Danii w przypadku kredytów hipotecznych marża wynosi 0,5%, gdyż nie zysk jest dla banków najważniejszy. Po drugie, celem kolejnych duńskich rządów było zapewnienie krajowi jak najwyższego poziomu rozwoju społeczno-gospodarczego.

Między majem 2020 r. a wrześniem 2021 r., gdy stopy procentowe były rekordowo niskie, zaciągnięto 345,5 tys. kredytów hipotecznych o wartości 106,7 mld zł.

go, stabilności oraz dobrobytu. I taką politykę prowadzono przez dekady, bez względu na opcje polityczne. Po trzecie, Dania znajduje się w czołówce najbardziej innowacyjnych i prospołecznych gospodarek świata. W tym kraju PKB na głowę mieszkańca wynosi rocznie 63,8 tys. dol. Więcej niż w Wielkiej Brytanii (47,3 tys. dol.) i w Niemczech (50,8 tys. dol.).

Dlatego w Danii, Liechtensteinie czy Holandii nie są potrzebne żadne wakacje kredytowe. System pozyskiwania przez banki środków na kredyty hipoteczne jest sprawny, gospodarki silne, a obywatele bogaci. Dlatego spłata nisko oprocentowanego kredytu hipotecznego nie stanowi problemu. Czego nie da się powiedzieć o Polsce. Dlatego u nas,

gdy wybucha kryzys, potrzebne są nadzwyczajne działania, takie jak wakacje kredytowe, które mają nad Wisłą swoją historię.

Stary towar w nowym opakowaniu

Zawieszenie spłaty rat kredytu hipotecznego to żadna nowość. Identyczną możliwość przewidziano w przyjętej w roku 2020 tarczy antykryzysowej 4.0. I nawet tak samo się nazywała – wakacje kredytowe. Zgodnie z przyjętymi wtedy przez Sejm przepisami chroniącymi kredytobiorców osoba, która straciła główne źródło dochodu, mogła zawiesić spłatę swojego kredytu na trzy miesiące.

Zainteresowanie taką opcją ze strony tych, którzy sięgnęli po kredyty hipoteczne, było minimalne. Media nie nagłaśniały sprawy, a sytuacja gospodarcza i na rynku pracy w latach 2020-2021 nie była najgorsza. Także oprocentowanie kredytów, z powodu niskiej inflacji i bardzo niskich stóp procentowych NBP, było niewysokie. A ponieważ większość zawartych umów miała

zapisy o zmiennym oprocentowaniu rat – również one nie rosły. Dlatego nikt się nie skarżył.

Grozą powiało na początku 2022 r., gdy Rada Polityki Pieniężnej w związku z szybko rosnącą inflacją zaczęła znacząco podnosić stopy procentowe. Mało kto też pamiętał o rozwiązaniach z tarczy antykryzysowej 4.0. Dlatego dziś pomysł wakacji kredytowych wydaje się nowością, choć w rzeczywistości nią nie jest.

W przyjętej przez Sejm i podpisanej przez prezydenta ustawie są ograniczenia wykluczające z przyjętego rozwiązania osoby, które wzięły kredyt lub kredyty z myślą o zakupie mieszkań na wynajem. Na wakacje kredytowe nie mogą także liczyć ci, którzy wzięli kredyt w walucie innej ▶

► niż złotówki, czyli np. frankowicze. W trakcie prac legislacyjnych zostali oni wyłączeni spod działania ustawy. To ograniczenie dotknie ok. 500 tys. kredytobiorców.

Banki tłumaczyły wsparcie dla takiego rozwiązania nadmiernym obciążeniem sektora, w tym znacznymi inwestycjami w obligacje

spląty nastąpi automatycznie z chwilą złożenia tego dokumentu, choć bank będzie miał 21 dni na potwierdzenie jego przyjęcia. Dlatego warto dopilnować terminu. Złożenie wniosku 1 sierpnia oznacza, że będziemy musieli zapłacić ratę za ten miesiąc. I przypadnie nam jeden miesiąc wakacji.

Rząd Hiszpanii zapowiedział opodatkowanie sektora bankowego i dużych spółek energetycznych. Ma to przynieść 3 mld euro.

skarbu państwa, które z powodu inflacji nie przynoszą im dochodów. W ostatnich miesiącach utrzymała się również w sądach linia orzecznictwa, która zapewnia frankowiczom wygrane w procesach z bankami. W ponad 90% spraw zapadają korzystne dla nich wyroki sądowe. A składanych pozwów są dziesiątki tysięcy i ta liczba rośnie. Co może oznaczać, że w nadchodzących latach banki będą zmuszone zwrócić klientom liczone w miliardach złotych kwoty.

Z cytowanego sondażu agencji Streetcom wynika, że jedynie około jednej trzeciej zadłużonych zamierza skorzystać z wakacji kredytowych, co może się wydawać liczbą zaniżoną. Bo któż nie chciałby zaoszczędzić nawet kilkudziesięciu tysięcy złotych?

Przyjęta przez Sejm ustawa precyzuje, że obejmuje ona osoby, które zaciągnęły kredyt hipoteczny przed 1 lipca 2022 r. na zaspokojenie własnych potrzeb mieszkaniowych. Teoretycznie odpada więc kryterium dochodowe, zapisane w starszej ustawie o wsparciu kredytobiorców.

Zawieszenie rat odbywa się na wniosek kredytobiorcy, który może być złożony w postaci papierowej lub elektronicznej. Banki zapewniają, że będą gotowe na ich przyjęcie z dniem wejścia w życie nowego prawa, czyli 28 lipca. Zapewne dodadzą one odpowiednie opcje do internetowych kont bankowych kredytobiorców lub do aplikacji mobilnych.

W lipcu br. będą dwa dni, by złożyć wniosek, który pozwoli na dwukrotne skorzystanie z wakacji kredytowych w III kwartale. Zawieszenie

Jest w tej sprawie haczyk. Co prawda, przedstawiciele banków nie chcą się wypowiadać na ten temat, ale klienci, którzy skorzystają z wakacji kredytowych, nie powinni liczyć w najbliższych latach na otrzymanie jakiegoś nowego kredytu. Składając wniosek o zawieszenie spłat kredytu hipotecznego, sami bowiem przyznają, że z ich budżetami domowymi nie wszystko jest w porządku. Banki, badając w przyszłości ich zdolność kredytową, z pewnością zwrócą na to uwagę.

Osoby, które, mając kilka mieszkań na wynajem, chciałyby złożyć wniosek o wakacje kredytowe obejmujący kredyt lub kredyty na te mieszkania, muszą pamiętać o grożącej im odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych oświadczeń. Odpowiednia klauzula znajdzie się w dokumentach, które będą musiały podpisać. Teraz zostaje nam tylko czekać.

Co dalej?

Mimo serii podwyżek stóp procentowych przez Radę Polityki Pieniężnej inflacja w Polsce ma się dobrze i nadal rośnie. Ekspert NBP przewidują, że jej szczyt – prawie 19% – jest przed nami. Politycy opozycji i związani z nimi ekonomiści ostrzegają, że inflacja może sięgnąć nawet 25%. W przyszłym roku czekają nas wybory parlamentarne, jest zatem więcej niż pewne, że o wsparcie i kolejne wakacje kredytowe zaapelują rolnicy i leasingobiorcy, o których dziś nikt nie mówi. A przecież ich raty także rosną.

Dlatego premier Mateusz Morawiecki powinien sięgnąć po rozwiązania zaproponowane przez

lewicowego premiera Hiszpanii Pedra Sáncheza, który zapowiedział ostatnio opodatkowanie sektora bankowego i dużych spółek energetycznych. Wyjątkowy podatek nałożony na największe hiszpańskie instytucje finansowe ma w latach 2022-2023 przynieść wpływy na poziomie 3 mld euro. A podatek od wyjątkowych wpływów firm sektora energetycznego, który obejmie spółki dostarczające energię elektryczną, gaz oraz paliwa płynne, ma przynieść 4 mld euro.

Podobne rozwiązania nie są obecnie niczym nadzwyczajnym w Europie. Konserwatywny rząd premiera Borisa Johnsona wprowadził podatek od nadmiernych zysków spółek energetycznych i naftowych. To tzw. *windfall tax*. Wpływy z niego mają być przeznaczone na sfinansowanie jednorazowych zasiłków dla ubogich Brytyjczyków. W tym bogatszym od nas kraju co dziesiąta rodzina zmuszona jest nie dojeżdżać z powodu wzrostu cen. Zimą spodziewane są na Wyspach problemy z ogrzewaniem mieszkań.

Także na Węgrzech nowe podatki objęły firmy energetyczne, banki, spółki telekomunikacyjne, linie lotnicze, sieci handlowe i firmy ubezpieczeniowe. Pozyskane środki zostaną przeznaczone na fundusz obronny i przeciwdziałanie wzrostowi cen energii, choć Budapeszt ma najniższe ceny gazu i benzyny w Unii Europejskiej ze względu na szczególne relacje z Rosją.

Gdy w Niemczech dziennik „Bild” ujawnił awaryjne plany władz miejskich Ludwigshafen, Neustadt, Frankenthal i Landau uruchomienia jesienią „wysp ciepła”, czyli hal, gdzie mieszkańcy, których nie stać na ogrzewanie, będą mogli się ogrzać, u naszych zachodnich sąsiadów zawrzało. W najbogatszym europejskim kraju z powodu zbyt wysokich cen surowców energetycznych w XXI w. sięgnięto po rozwiązania stosowane po raz ostatni w latach 20. XX w.! To się nie mieści Niemcom w głowie. Może powinni zbierać chrust?

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Ot tam siedzą prawnicy...

Co wiesz, to wiesz. Tekst sprzed prawie 200 lat, a jakże aktualny i dzisiaj! Zamknijmy oczy na chwilę i postuchajmy. Mickiewicz w „Pieśni filaretów” pisał tak:

*Ot tam siedzą prawnicy,
I dla nich puchar staw,
Dzisiaj trzeba prawicy.
A jutro trzeba praw.*

Czyż oczyma wyobraźni nie widzimy, jak siedzą Duda, Ziobro, Przyłębska, Pawłowicz, Piotrowicz, Piebiak, Warchoń, Czarnek... a ostatnio dosiadł się jeszcze sędzia dubler do kwadratu, prawdziwy kaskader Wyrembak Jarosław! Co za piękne grono! Nie dość, że wybitni prawnicy, to jeszcze pod każdym względem prawdziwi filareci. A kobiety w tym gronie! Jedna wspaniale gotuje, druga pięknie je (i w ogóle manieri ma arystokratyczne, a jaki język! Będzie on jeszcze przez lata przedmiotem zachwyty polonistów i psychologów klinicznych). A mężczyźni? Jakiż język ich zalety charakteru i intelektu opisze? Chciałoby się za Homerem powtórzyć błaganie do muzy: „Muzo, mężów wyśpiewaj”. Nie wiem, czy jakaś muza by się tego podjęła. Chyba redaktor Holecka z TVP.

Co prawda, pisząc o prawicy, Mickiewicz miał na myśli prawą rękę, nie formację polityczną, ale czyż i to pięknie się nie kojarzy? Trochę gorzej wypada przypomnienie, że „jutro trzeba praw”. No bo wychodzi na to, że dziś prawo jest bezużyteczne albo niestosowane. Jak to, przy takich prawnikach? I, co gorsza, wynika z tego, że jutro to prawo się zastosuje!

Opozycja słabo, bo słabo, ale czasem powołuje się na zupełnie inne prawnicze autorytety. Na takiego Monteskiusza na przykład! Za nim obsesyjnie domaga się przestrzegania trójpodziału władz, który sobie tenże Monteskiusz kiedyś wydumał. A dla PiS i jego ideologów (w tym prawników) ten, kto wygrał wybory, bierze wszystko: Sejm, rząd i sądy! W PRL też tak uważano i nawet nazywano to zasadą centralizmu socjalistycznego.

Mało tego. Monteskiusz w ogóle jawi się jako zaciekle wróg Zjednoczonej Prawicy i jej pomysłów reformatorskich. Zupełnie jakby działał na zamówienie Tuska i recenzował kolejne zaostrenie prawa karnego, głosił, że „surowość kar lepiej odpowiada despotyzmowi niż republice”. A jego (Monteskiusza, nie Tuska) uwaga, że „łatwo byłoby udowodnić, iż we wszystkich albo prawie

wszystkich państwach Europy kary zmniejszały się lub powiększały, w miarę jak się zbliżano albo oddalano od wolności”? Dla przypomnienia: wszystkie nowelizacje naszego Kodeksu karnego dokonywane za rządów PiS polegały na zaostrzaniu kar. Niestety, krok po kroku oddalaliśmy się od wolności, oddalaliśmy od republiki, zbliżaliśmy do despotyzmu.

Może Ziobro tego nie wie, nie rozumie. Studentem prawa był raczej marnym, a później już zajmował się polityką, nie czytaniem mądrych książek. Może wie i rozumie, ale ma to w nosie, bo jego cel jest inny. Nie realizacja dobra wspólnego, ale budowanie poparcia dla swojego obozu politycznego, nawet kosztem tegoż dobra wspólnego.

Faktem jest, że większość ludzi, zwłaszcza słabiej wykształconych, uważa, że surowe kary skutecznie powstrzymują przestępczość. Tego, że kryminologia i nauka prawa karnego od ponad 100 lat pokazują, że jest to pogląd błędny, że źródła przestępczości tkwią

Jutro trzeba będzie praw. I to jutro kiedyś nadejdzie.

nie w zbyt łagodnych karach, ale zupełnie gdzie indziej, po prostu nie wiedzą. Nagłaśnianie tego błędnego poglądu i schlebienie mu buduje poparcie dla obozu politycznego PiS, który kary zaostrza i obiecuje poprawę bezpieczeństwa. To zjawisko znane i przez naukę opisane jako populizm penalny. Ziobro i jego pomagierzy, a także ci, którzy mu na to pozwalają, są mistrzami tego populizmu. Działają przeciw dobru wspólnemu, niszczą prawo i praworządność, dewastują kulturę prawną.

Najbardziej boli to, że wśród tych populistów penalnych są osoby, które nie tylko ukończyły wydziały prawa na najlepszych polskich uniwersytetach, ale jeszcze zdobywały na tych uniwersytetach kolejne stopnie naukowe.

Jedno jest pewne. Jutro trzeba będzie praw. I to jutro kiedyś nadejdzie. Słusznie już dziś panikuje sędzia kaskader Wyrembak Jarosław. Wygląda na to, że jego instynkt i intuicja przewyższają wiedzę i inne filareckie cnoty.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Młodzi, wykształceni, stęsknieni

Trudno zacząć wszystko od nowa w obcym kraju.
Niektórzy uchodźcy z Ukrainy codziennie mierzą się z dylematem:
wracać czy zostać

Zuzanna Muszyńska

Przed wojną mieszkało w Polsce 1,5 mln Ukraińców i Ukrainek, którzy przyjechali głównie w celach zarobkowych. Od 24 lutego do końca czerwca br. funkcjonariusze Straży Granicznej odprawiali na przejściach z Ukrainy do Polski niemal 4,5 mln osób. Kim one są? Czy zamierzają tu zostać?

„Ukraińscy uchodźcy są młodymi kobietami z dziećmi, z wyższym wykształceniem, które w większości zamieszkiwały w miastach i pozytywnie oceniałą swoją sytuację finansową przed wybuchem wojny na Ukrainie. W Polsce zamieszkują w domach lub mieszkaniach, dobrze oceniają udzielaną im pomoc. Jedna trzecia pracuje zdalnie na Ukrainie. Większość z nich chciałaby pracować i uczyć się języka polskiego. Trzy czwarte ma problem ze zdrowiem psychicznym, około połowy ma duży poziom dystresu. Połowa z nich zaraz po zakończeniu wojny zamierza wrócić na Ukrainę do swoich domów”, wynika z badań przeprowadzonych przez Interdyscyplinarne Laboratorium Badania Wojny w Ukrainie.

W Kijowie miałam wszystko

Irena Khmelovska jest doktorem historii, włada kilkoma językami, w tym polskim. Przed wojną wiodła dostatnie życie. Zajmowała się popularyzacją skandynawistyki, pracowała jako przewodnik wycieczek po Kijowie i Ukrainie, prowadziła warsztaty gastronomiczne, pisała książkę popularnonaukową o wikingach, pierwszą o takiej tematyce w języku ukraińskim. – Cieszyło mnie przedstawianie ludziom tamtych czasów w ciekawy sposób, łączenie wiedzy i rozrywki – opowiada. – Moja praca

była cudowna. Mieliliśmy mieszkanie, działkę pod miastem, wyjeżdżaliśmy za granicę. Chodziłam do kosmetyczki, mogłam kupować kraftowe wina. W Kijowie miałam po prostu wszystko.

Irena w styczniu wróciła z Islandii, miała plany wyjazdowe na kwiecień. 24 lutego obudziły ją niepokojące dźwięki. Wzięła do ręki telefon, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nie mieściło się jej w głowie, że wybuchła wojna. – Na sobotę miałam zaplanowany warsztat z kuchni islandzkiej, wszystko czekało przygotowane, a tu przyjaciółka z Torunia pisze: „Przyjeżdżaj do nas!”. Byłam wcześniej w Polsce turystycznie, teraz miałam tam się znaleźć jako uchodźczyni? – mówi z przejęciem. Po południu zaczęli z mężem organizować wyjazd

się denerwowała, krzyczała. Po miesiącu kobiety, tym razem z kotami, przeprowadziły się do Rogowa pod Toruniem. W gospodarstwie pani Haliny mieszkało im się dobrze, ale Irena nie czuła się najlepiej z dala od miejskiego życia. Niczego nie mogła zaplanować bez pomocy innych osób. Musiała zarobić na siebie i mamę, co na wsi okazało się niełatwe. Miała szczęście – znalazła się w gronie 25 naukowców i naukowiec z Ukrainy, których zatrudniły władze toruńskiego UMK. Przez pierwszy miesiąc przygotowywała materiały do wykładów dotyczących wikingów, średniowiecznej Islandii i Rusi. Potem z pomocą sąsiadów dojeżdżała na zajęcia. – To było bardzo ciekawe doświadczenie. Miałam kilka zainteresowanych osób – wspomina.

Od wybuchu wojny wjechało do Polski z Ukrainy niemal 4,5 mln osób. 2,5 mln wróciło.

– przede wszystkim wózek inwalidzki dla mamy z niepełnosprawnością. Irena nie mogła spakować wiele. Była w drugim miesiącu ciąży, nie powinna dźwigać. Wyjechali następnego dnia wczesnym rankiem. Mąż dowiózł je na granicę wraz z dwójką przyjaciół i trzema kotami. Czekala tam Rosjanka mieszkająca w Warszawie, której samochodem przedostali się na polską stronę. – Przeżyła z nami w kolejce 26 godzin piekła – mówi Irena. – Co 20 minut przesuwaliśmy się o kilkadziesiąt metrów. Pilnie potrzebowaliśmy toalety. Mama nosi pampersy, nie mogłam jej przewinąć.

Droga z Kijowa trwała w sumie prawie dwie doby. Od granicy wiozła ich przyjaciółka z Torunia. Na miejscu czekało załatwione przez nią tymczasowe mieszkanie, koty trafiły do schroniska. Mama Ireny nigdy nie była za granicą, bardzo

Niestety, problemy piętrzyły się. Irena czuła się psychicznie i fizycznie coraz gorzej. – Dziecko w brzuszku rosło, brakowało rąk do pomocy przy mamie. Każdy robił, ile mógł, i jestem za to wszystkim bardzo wdzięczna, ale ludzie mają przecież swoje życie – mówi. Znalazła lekarzy specjalistów dla mamy i dla siebie. Kontynuowała współpracę z UMK. Mimo to zdecydowała się na powrót. – Dom to dom – podsumowuje. Po kosztownej podróży powrotnej (tłumy na przemyśskim dworcu, gigantyczne opóźnienie pociągu) pod koniec czerwca znalazła się w Winnicy, gdzie obecnie pracuje jej mąż. Irena może liczyć na jego wsparcie i jest to dla niej duża ulga. W mieście wyją syreny, ceny wszystkiego poszły w górę. Ale jest co jeść. Da się żyć. Irena planuje ukończenie swojej książki, zapisała się też na kursy menedżerskie. Raz na dwa, trzy



Irena Khmelovska zdecydowała się wrócić do Ukrainy.



Sofia, Tania, Irena i Jegor w Smerzynie.

tygodnie chciałyby jeździć do Kijowa, oprowadzać wycieczki.

14 lipca na Winnicę spadły rosyjskie rakiety. Irenie Khmelovskiej nic się nie stało, chociaż zdarzyło się to niedaleko jej miejsca, gdzie mieszka. Do Polski jednak nie chce wrócić

Ucałować polską ziemię

Galina Dedkow mieszkała w wiosce pomiędzy Irpieniem a Buczą w obwodzie kijowskim. O ucieczce z Ukrainy opowiada: – 23 lutego rozmawiałam z najlepszą przyjaciółką, która mieszka na Cyprze. Mówiliśmy o możliwości ataku Rosji na nasz kraj, ale to była luźna rozmowa. Nie przyszło nam do głowy, że nazajutrz zacznie się wojna. Poszliśmy spać, mąż, syn i ja. Ze snu wyrwał mnie dźwięk budzika. Pora wstać, szykować się do pracy – byłam zatrudniona jako specjalista ds. mediów społecznościowych – obudzić syna, zawieźć go do szkoły. Chwyciłam za telefon, a tam setki nieodebranych połączeń i wiadomość od brata: „Musicie wyjechać, teraz! Wojna!”. Dobrze pamiętam, jak się trzęsłam, zaczęłam się jękać, mówiąc coś do męża, tak się bałam. W przerażeniu włączyłam telewizor i od razu zaczęłam się pakować.

Mąż chciał odczekać jakiś czas, zobaczyć, co się stanie. Zostali więc w domu, przyklejeni do ekranów komórek i telewizora. Niebawem usłyszeli pierwsze wybuchy. Helikoptery wojskowe latały nisko nad osiedlem. Cały dom trząsł się w posadach. Za

każdym razem, kiedy rozlegał się wystrzał artylerii, zbiegali do piwnicy. Wybuchy słysząc było coraz bliżej. Rano wyłączono prąd, stracili dostęp do internetu. Bali się podejść do okien, nie mówiąc o wyjściu na zewnątrz. Po południu zorientowali się, że wojsko jest około pół kilometra od ich domu. Wtedy zapadła decyzja: uciekamy! Wsiedli do samochodu i ruszyli jak najszybciej, byle do głównej drogi. – To było jak film akcji – opisuje Galina – pędziliśmy, za nami odgłosy wybuchów i czarny dym. Na drodze panował duży ruch. Brakowało benzyny na stacjach, więc ludzie porzucali samochody i szli pieszo. A z nami jechał chomik, którego kupiliśmy tydzień przed wojną dla synka.

Dotarli do zachodniej Ukrainy, do rodziców Galiny. Tam też nie czuli się bezpiecznie. Wyły syreny, synek płakał. Wielu krewnych już zdecydowało się uciekać do Europy. – To nie było łatwe – opowiada Galina – ale nie chciałam, żeby mój syn żył w strachu. Wzięłam jego i rodziców do samochodu, pojechaliśmy na granicę. Nigdy nie byłam w Polsce. Czułam, że muszę ucałować tę ziemię. Wasze niebo było takie czyste, bezpieczne!

Wyczerpani ucieczką zasnęli w samochodzie. Rano dostali adres schroniska w Warszawie. Pojechali tam. Po jakimś czasie przydzielono im kwatery w Biskupinie. – I wtedy poznałam ciebie, na parkingu, w nocy. Znów byliśmy w potrzebie, w Biskupinie nie starczyło dla nas miejsc, ale ty pomogłaś nam znaleźć nocleg w Gąsawie.

Mieszkamy tu od czterech miesięcy. Jest wspaniale – cicho, spokojnie. Żyjemy normalnie, syn chodzi do szkoły, ja znalazłam pracę dzięki pomocy wolontariuszy. Najpierw byłam zatrudniona w magazynie, teraz pracuję w tartaku jako kierowniczką biura. Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc, którą od was otrzymaliśmy. Macie wielkie serca.

Dzieci tęsknią bardziej

Sofia Nosowa i Jegor Petrenko mają po 15 lat. Przyjaźnią się od dawna, tak jak ich mamy, Tania i Irena. Przyjechali do Polski z Dniepru. Zamieszkali w ośrodku harcerskim w Smerzynie, w połowie marca poszli do szkoły w Lubostroniu. W Ukrainie otrzymali świadectwa ukończenia dziewiątej klasy, w Polsce skończyli siódmą. We wrześniu pójdą do Technikum Menedżerskiego w Bydgoszczy na kierunek IT.

Jegor interesuje się programowaniem gier komputerowych, zna języki Java i Python. Jest koszykarzem, zdobył z drużyną nagrodę w juniorskich mistrzostwach Ukrainy. W Smerzynie zdarzyło mu się już grać o piątą rano – samotnie. Brakuje mu partnerów do kosza. Kolega, z którym grywał, właśnie wrócił do Ukrainy. Sofia brała lekcje programowania u wujka. Lubi rysować. Uczy się projektować witryny w języku Visual Studio Code.

– We wrześniu 2021 r. zapisaliśmy dzieci na kursy przygotowawcze w Inżynierskim Koleżu

► Rakietowo-Kosmicznym przy Dnieprzańskim Uniwersytecie Narodowym im. Ołesia Honczara. 5 lutego zaliczyły prace kontrolne, 24 zaczęła się wojna, więc przyjechaliśmy tutaj. Najpierw chcieliśmy, żeby dzieci kontynuowały naukę online, ale zdecydowaliśmy, że jednak pójdą do szkoły w Polsce, bo nie wiadomo, kiedy wrócimy na Ukrainę. To trudna decyzja. Tamtejszy koleż przygotowawczy cieszył się dobrą opinią. Technikum w Polsce jest wyzwaniem, dzieci muszą się starać podwójnie. Zobaczymy, jak im pójdzie – opowiada Tania. Irena dodaje, że europejskie wykształcenie otwiera dzieciom drzwi do świata.

Jegor marzy o skuterze, chciałby na niego sam zarobić. Liczą z Sofią, że uda im się popracować przy zbiorze owoców. W Smerzynie jest im bardzo dobrze. – Znajomi nas odwiedzają, spędzamy razem czas nad jeziorem – mówią. Od początku spotkali się z wielką serdecznością zarówno polskich koleżanek i kolegów, jak i rodziców oraz nauczycieli. Irena uzupełnia opowieść dzieci: – Przyjechaliśmy z Ukrainy na początku marca, przez Lwów, Warszawę, Kraków. Droga była stresująca, ale jak weszliśmy na polską ziemię, wszystko się zmieniło. Wolontariusze brali od nas walizki, dawali wodę, jedzenie, pomagali na każdym kroku. W Smerzynie również spotkały nas same dobre rzeczy. Teraz mija czwarty miesiąc naszego pobytu i ja czasem zapominam o wojnie.

Irena jest cukiernikiem, Tania psychologiem. W lipcu zaczęły pracę sezonową w ośrodku, będą pomagać w kuchni. Część Ukrainek musiała wyprowadzić się ze Smerzyna, zrobić miejsce harcerzom i kolonistom. Wrócić za miesiąc. – Zostaniemy w Polsce co najmniej do końca roku – szacuje Irena. W Ukrainie jest jej 72-letnia matka, która nie chciała wyjechać. Jegor byłby gotów wrócić i zamieszkać z babcią. – Niczego się nie boję – oświadcza. – Jestem tu dla mamy.

Tęsknota silniejsza niż strach

Zespół Interdyscyplinarnego Laboratorium Badania Wojny w Ukrainie,

w skład którego wchodzi także naukowcy ukraińscy, zbadał, z jakimi problemami borykają się uchodźcy w Polsce, dlaczego wybrali nasz kraj, uciekając przed wojną, jak oceniają polską pomoc i jak przebiega ich integracja.

Większość respondentów to kobiety (97%), średnia ich wieku to 36 lat. 76% ma wyższe wykształcenie. Trzy na cztery oceniają swój materialny poziom życia w Ukrainie przed wybuchem wojny jako dobry. Większość mieszkała w mieście (91%). Pochodzą z Ukrainy centralnej (46%),



Z rodziną Galiny na Torwarze był chomik, którego kupili synkowi tydzień przed wojną.

zachodniej (22%), południowej (19%) i wschodniej (13%).

Prawie połowa ankietowanych (48%) wcześniej nie była w Polsce. Dla większości uchodźców jest to kraj docelowy (92%), ponieważ mają tutaj rodzinę, znajomych (44%), Polska jest krajem bliskim pod względem kulturowym i językowym (42%). Część ankietowanych wybrała Polskę, gdyż słyszała o pomocy udzielanej Ukraińcom (20%). Dla innych ważnym argumentem było to, że Polska jest w NATO (15%).

Uchodźcy najczęściej sami wynajmują sobie mieszkania, domy, płacąc za nie (28%), ewentualnie mieszkają w lokalach, które ktoś im optaca (16%). Część zamieszkuje z polskimi rodzinami (17%) bądź u krewnych z Ukrainy, którzy wcześniej przyjechali do naszego kraju (12%).

Spośród badanych 18% pracuje w Polsce. Aż 71% ankietowanych zamierza taką pracę podjąć. 28% uchodźców pracuje zdalnie w Ukrainie.

Trzy czwarte uchodźców ma dzieci i aż 70% składało bądź zamierza składać wnioski o wypłatę świadczeń 500+. W ukraińskiej szkole w trybie zdalnym uczy się 45% uczniów, w polskiej – 46%. Zapisac dzieci do polskiej szkoły zamierza 45% ankietowanych. Ministerstwo Edukacji i Nauki podaje, że do placówek w naszym kraju zapisało się 200 tys. dzieci z Ukrainy (160 tys. do szkół, 40 tys. do przedszkoli).

Język polski rozumie, ale nim nie mówi, 34% badanych. Do braku znajomości języka przyznało się 18%.

Większość uchodźców zamierza uczyć się polskiego (81%), najczęściej samodzielnie.

Jako najważniejsze problemy, które towarzyszyły Ukraińcom w ucieczce przed wojną, wymieniane są rozłąka i opuszczenie bliskich, którzy zostali w Ukrainie (68%), obawa przed ostrzałem i bombardowaniem (62%), lęk o życie znajomych i rodziny (62%).

Straż Graniczna podaje, że od 24 lutego do końca czerwca Polskę opuściło w kierunku Ukrainy 2,5 mln osób. Pytani o plany na przyszłość, uchodźcy najczęściej odpowiadają, że wrócą do ojczyzny, kiedy tylko zakończy się wojna (41%). Część zamierza zostać w Polsce na stałe (17%), a pozostać na jakiś czas i zarobić przed powrotem do domu planuje 11%. Jak najszybciej wracać chce 7% ankietowanych. Tam jest ich dom, rodzina, kraj, język i kultura. Syntym i patriotyzm są głównymi czynnikami decydującymi o powrocie do Ukrainy. Czynniki wypychające z Polski to poczucie obcości, niedopasowanie do polskich realiów, problemy z pracą, wysokie koszty życia, trudności z wynajęciem mieszkania (najem mieszkań zdrożał o 30% w całej Polsce). Zamykane są punkty pomocy dla uchodźców. 1 lipca skończył się okres, w którym osobom ich goszczącym przysługuje zwrot kosztów pobytu (40 zł na osobę za dobę).

Trudno zacząć wszystko od nowa w obcym kraju. Niektórzy codziennie mierzą się z dylematem: wracać czy zostać. Inni są już w drodze.

Zuzanna Muszyńska

Siódma fala pandemii puka do drzwi

Nie ma dziś szczepionki, która radziłaby sobie z nowymi subwariantami omikrona

Marek Czarkowski

Po wakacjach spodziewana jest w Polsce kolejna, siódma już fala pandemii COVID-19. Wszystko wskazuje, że właśnie obserwujemy jej początek. W ostatnich tygodniach odnotowano szybki wzrost liczby zarażonych, do poziomu, jaki mieliśmy w kwietniu br.

Oficjalne dane są niepewne, gdyż rząd w połowie maja odwołał stan epidemii, co oznaczało zaprzestanie masowego testowania. Dziś osoba podejrzewana o COVID-19 jest kierowana na badanie testowe przez swojego lekarza rodzinnego. Nie znamy więc rzeczywistej skali zagrożenia.

Za nadciągającą siódmą falę pandemii odpowiedzialne są odkryte w lutym br. nowe mutacje SARS-CoV-2, oznaczone jako subwarianty omikron BA.4 i BA.5. W ocenie naukowców są one bardziej zaraźliwe niż poprzednie mutacje i łatwiej atakują osoby już zaszczepione.

Europejskie Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób obawia się, że odporność uzyskana dzięki szczepieniom może się okazać niewystarczająca, gdyż przeciwciała skuteczne wobec wcześniejszych mutacji koronawirusa nie radzą sobie tak dobrze z nowymi subwariantami.

Minister zdrowia Adam Niedzielski zapowiedział ostatnio, że rząd ponownie wprowadzi restrykcje, jeśli liczba chorych na COVID-19 w szpitalach przekroczy 5 tys. Oznaczać to będzie powrót maseczek i – miejmy nadzieję – powszechniejszego niż dziś testowania.

Według rządowych danych do Polski dostarczono dotychczas ponad 107 mln dawek szczepionek,

z czego do punktów szczepień trafiło prawie 56 mln. W magazynach jest ponad 25 mln dawek, a w trakcie realizacji są dostawy ponad 657 tys. Pozostałe szczepionki trafiły do innych krajów.

W kwietniu gruchnęła wieść, że rząd zamówił dostawę 67 mln dawek za 6 mld zł i chce się z tego, choć częściowo, wycofać. Negocjacje w tej sprawie miały być prowadzone z koncernem Pfizer. Czym się skończyły? Nie wiadomo.

Na razie premier Morawiecki nie ogłosił konieczności objęcia wszystkich Polaków czwartą dawką

Największe koncerny farmaceutyczne pracują nad nowymi szczepionkami. Mają być dostępne jesienią.

przypominającą. Mogą się nią zaszczepić osoby powyżej 80. roku życia oraz osoby powyżej 12. roku życia z zaburzoną odpornością. 11 lipca br. Europejskie Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC) oraz Europejska Agencja Leków (EMA) zaleciły podanie czwartej dawki szczepionki także osobom w wieku od 60 do 79 lat oraz osobom ze schorzeniami podwyższającymi ryzyko ciężkiego przebiegu covidu. Polski rząd powinien natychmiast podjąć taką samą decyzję.

Działania te można ocenić jako tymczasowe, gdyż nie ma dziś szczepionki, która radziłaby sobie z subwariantami omikrona BA.4 i BA.5. Nad nowymi szczepionkami pracują zespoły największych koncernów farmaceutycznych. Pod koniec maja AstraZeneca – powołując się na badania prowadzone w Oksfordzie – ogłosiła, że jej szczepionka, dopuszczona do użycia w Unii

Europejskiej i USA, zachowuje aktywność neutralizującą wobec wspomnianych mutacji.

Pod koniec czerwca także koncern Moderna – producent szczepionki Spikevax, wcześniej znanej pod nazwą COVID-19 Vaccine Moderna – ogłosił, powołując się na wyniki badań klinicznych II/III fazy, że jego dwuskładnikowa szczepionka mRNA wykazuje skuteczną odpowiedź przeciwciał na nowe subwarianty omikrona. Nie wiemy, kiedy uzyska ona akceptację odpowiednich organów i zacznie być powszechnie stosowana.

Wreszcie na początku lipca koncern Pfizer zapowiedział, że może przygotować zaktualizowaną szczepionkę przeciwko nowym mutacjom i skierować ją do dystrybucji już na początku października.

1 lipca zaś spółka Novavax, producent szczepionki Nuvaxovid, dopuszczonej do stosowania w krajach UE, lecz nie w USA, ogłosiła, że uważa ją za skuteczną przeciw subwariantom omikrona BA.4 i BA.5. 11 lipca spółka przekazała informację, że osiągnęła porozumienie z amerykańską administracją w sprawie zakupu 3,2 mln dawek szczepionki.

Niestety, rząd premiera Morawieckiego zapewne do ostatniej chwili będzie zwlekał z podjęciem koniecznych działań. W środku wakacji nie ma co zawracać Polakom głowy pandemią. Dlatego jesienią możemy mieć wielką falę zakażeń. Ale kto by się tym przejmował?

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl



Mateusz Mazzini

Sąd nad Ameryką

Debata o roli Sądu Najwyższego jest debatą o przyszłości amerykańskiej demokracji

Odrzucenie przez amerykański Sąd Najwyższy słynnego wyroku w sprawie *Roe v. Wade* z 1973 r. było strzelbą ze sztuki Czechowa. O tym, że wypali, przekonani byli właściwie wszyscy po obu stronach politycznego sporu. Kазus Jane Roe, która pół wieku temu zaskarżyła obowiązujący w jej rodzinnym Teksasie zakaz aborcji, był symbolem zwycięstwa kobiet w walce o ich prawa reprodukcyjne. Jednak po kwietniowym wycieku wstępnej decyzji sądu dotyczącej uznania prawa do aborcji za niechronione przez konstytucję nikt już nie miał złudzeń. Skład zdominowany w proporcji 6:3 przez światopoglądowych konserwatystów stosunkiem głosów 5:4 orzekł pod koniec czerwca tak, jak zapowiedział dwa miesiące wcześniej. I ożywił dyskusję o tym, kto i w jaki sposób ma prawo decydować o życiu – a czasem i śmierci – obywateli Stanów Zjednoczonych.

Od lipca decyzja o możliwości aborcji stała się kompetencją poszczególnych stanów. W aż 30 z nich aborcja już jest lub wkrótce będzie nielegalna.

Sąd Najwyższy ma w amerykańskim systemie władzę miejscami wręcz gigantyczną. Popatrzmy tylko na konsekwencje odrzucenia konstytucyjnej ochrony dla aborcji. Oznacza ono, że od lipca decyzja o możliwości przerywania ciąży stała się kompetencją poszczególnych stanów. I w aż 30 aborcja jest nielegalna już teraz lub przepisy ją delegalizujące wejdą w życie w najbliższych tygodniach. Co prawda, na szczeblach okręgowych – np. w Luizjanie czy Alabamie – toczą się jeszcze nieśmiałe batalie sądowe, by drańskie regulacje zawiesić albo chociaż odroczyć, ale los prawie 40% amerykańskich kobiet wydaje się już przesądzony. A to wszystko w wyniku decyzji dziewięciorga niewybieralnych urzędników państwowych.

Jak do tego doszło? Wbrew popularnej zwłaszcza w środowisku amerykańskiej prawicy interpretacji ta przepotężna dziś władza

Sądu Najwyższego nie wynika wcale wprost z konstytucji. Jak zgodnie zauważają Daphna Renan i Nikolas Bowie, profesorowie w szkole prawa na Uniwersytecie Harvarda, ustawa zasadnicza wprost składa prawo do interpretowania konstytucji w ręce narodu, a nie grupy sędziów. To właśnie, piszą Renan i Bowie w eseju na łamach magazynu „The Atlantic”, stanowiło od początku amerykańskiej republiki podstawę jej umowy społecznej. Że to ludzie, owo ikoniczne „We The People” (My, Naród), wybierając w demokratycznym głosowaniu swoich przedstawicieli, reprezentujących ich wolę, będą sprawować kontrolę nad interpretacją konstytucji. Z jednej strony, teoria harwardzkich

prawników jest więc ryzykowna, bo uchyla drzwi do potencjalnej niestabilności politycznej, zmiany legislacji wraz ze zmianą rządu, nawet co kadencję. Z drugiej jednak – doskonale wpasowuje się w amerykańskie myślenie o narodzie jako organizmie sprawującym władzę. W końcu państwo, pisał Jean-Jacques Rousseau, jest niczym innym jak wyrazem woli ludu. A sędziowie Sądu Najwyższego, wskazywani palcem przez prezydentów i co najwyżej przyklepywani przez Kongres, z wolą ludu nie mają nic wspólnego.

Sąd upolityczniony

Nie zawsze tak było. Do czasów wojny secesyjnej kompetencje sędziów były ograniczone, a oni sami rzadko znajdowali się na kursie politycznym z decyzjami federalnych ustawodawców. Zderzenie nastąpiło w chwili, w której Kongres stwierdził,

że konstytucja zawiera zapisy o uniwersalnych prawach wyborczych i obywatelskich dla wszystkich obywateli Stanów Zjednoczonych. Sąd Najwyższy miał zdanie przeciwne, ustawę Kongresu uznał za sprzeczną z konstytucją, tym samym blokując równouprawnienie rasowe na kolejne 120 lat. Od tego czasu sukcesywnie Sąd Najwyższy odbiera Kongresowi zdolność do decydowania o fundamentalnych prawach i aspektach życia codziennego obywateli USA. Proces ten nabrał dynamiki zwłaszcza w drugiej połowie XX w., kiedy sędziowie m.in. nie chcieli za pomocą konstytucji chronić uniwersalnych, federalnych praw pracowniczych czy zwiększyć przejrzystości wydatków korporacji na kampanie wyborcze. Zwłaszcza ta druga decyzja, *Citizens United v. FEC* z 2010 r., wydatnie przyczyniła się do oligarchizacji amerykańskiej polityki. Sąd Najwyższy bowiem pod płaszczykiem pierwszej poprawki do konstytucji i ochrony wolności słowa uznał, że nie można ograniczać indywidualnych datków na partie polityczne, nawet w trybie kampanijnym i nawet w przypadku największych w swoich sektorach przedsiębiorstw. Anulowanie *Roe v. Wade* jest więc tylko następnym rozdziałem dramatu pisanego od ponad stu lat.

Przez ostatnie kilkanaście lat sporo zaś mówi się o upolitycznieniu Sądu Najwyższego. Temat ten był szczególnie nagłaśniany w czasie kadencji Donalda Trumpa, który nigdy nie krył się z tym, że umieszczenie w sądach – wszystkich, nie tylko Najwyższym – jego politycznych nominatów jest jednym z najważniejszych celów jego prezydentury. Oczywiście wskazanie nowych sędziów SN było wisienką na torcie, ale na to nie do końca Trump miał wpływ, bo w uzupełnianiu składu działa zasada 1:1. Sędzia musi umrzeć bądź



Decyzja Sądu Najwyższego wywołała protesty, Waszyngton, 25 czerwca 2022 r.

dobrowolnie przejść na emeryturę, żeby prezydent mógł wskazać jego zastępcę lub zastępczynię. Trump miał dużo szczęścia, bo w ciągu czterech lat mógł to zrobić aż trzykrotnie. Wszyscy jego nominaci: Neil Gorsuch, Brett Kavanaugh i Amy Coney Barrett to osoby o poglądach konserwatywnych; Barrett w sprawach takich jak aborcja jest wręcz religijną fundamentalistką, znaną z agresywnych wypowiedzi także wobec mniejszości seksualnych. Razem z 274 sędziami, których Trump poupychał w sądach federalnych, stanowią teraz prawnicze zaplecze Partii Republikańskiej. A raczej samego Trumpa, prezydenta byłego i możliwe, że następnego.

Sąd konserwatywny

Upolitycznienie nie wyczerpuje jednak odpowiedzi na pytanie o hegemonię prawną i konserwatywny zwrot w Sądzie Najwyższym. Nierzadko bowiem decyzje o powołaniu do niego sędziów bywały kompletnie arbitralne, żeby nie powiedzieć przypadkowe. Tak było chociażby z Warrenem E. Burgerem, którego nominował Richard Nixon. To była historia niemal odwrotna do strategii Trumpa, bo Nixon Sądem Najwyższym niespecjalnie się interesował.

Do tego stopnia, że Burger był dopiero trzecim z kolei kandydatem na miejsce opuszczone przez sędziego Earla Warrena. Dwóch pierwszych zablokował Kongres. Jak opisuje to Susan Matthews, reporterka magazynu „Slate” i autorka nagradzanego podcastu Slow Burn, Nixonowi po dwóch przegranych głosowaniach kończyły się możliwości. Burgera wskazał jeden z jego doradców, kolega przyszłego sędziego jeszcze

Sąd Najwyższy sukcesywnie odbiera Kongresowi zdolność do decydowania o fundamentalnych prawach i aspektach życia codziennego obywateli USA.

z czasów uczelnianych. Nixon zaprosił Burgera na spotkanie w Gabinetcie Ovalnym, które ten wspominał później jako koszarne, bo przyleciał do Waszyngtonu porannym samolotem bez śniadania, a prezydent nie zaoferował nawet kawy. Ta rozmowa Nixonowi wystarczyła – po zaledwie 45 minutach, bez uprzedniego zaznajomienia się z dorobkiem prawnym kandydata, zdecydował się wskazać go do Sądu Najwyższego. Burger przez Kongres się prześliznął, bo w Waszyngtonie był postacią kompletnie nieznaną. W dodatku cała Ameryka miała dość trwającego już 361 dni wakatu.

Takich sytuacji było więcej, bo prezydenci długo nie wierzyli, że Sąd Najwyższy może zdominować prawne funkcjonowanie państwa. Oczywiście winnych takiego stanu rzeczy jest więcej. Należą do nich obie izby Kongresu i obie główne partie polityczne. W ostatnich latach praktycznie nie ma ponadpartyjnej współpracy, Senat jest regularnie paraliżowany tzw. filibusterem, czyli nieskończenie długimi przemowami

na sali obrad, które uniemożliwiają przeprowadzenie głosowania w danej sprawie. Z Kapitolu nie wychodzą żadne przełomowe ustawy, a prezydenci, świadomi legislacyjnej drogi przez mękę w Kongresie, próbują rządzić dekretemi. Boleśnie odczuwa to Joe Biden, którego ambitne pakiety ustaw infrastrukturalnych, podatkowych i ekologicznych ugrzęzły właśnie na skutek sporów partyjnych. A nawet wewnątrzpartyjnych, bo sukces demokratów w Senacie wisi na głosie Joego Manchina, senatora z Wirginii Zachodniej, głosującego zgodnie z interesem jego stanu, a nie partii czy całego kraju. ▶

► Słaba prezydentura i skostniały parlament sprawiają, że najsilniejszym ośrodkiem władzy niejako siłą rzeczy został Sąd Najwyższy. Tam o żadnym paraliżu nie ma mowy. Decyzje wydawane są szybko i sprawnie, nawet jeśli wzbudzają kontrowersje społeczne. Tak było w przypadku *Roe v. Wade*, ale też podanej do wiadomości publicznej tego samego dnia decyzji o silnej konstytucyjnej ochronie indywidualnego prawa do posiadania broni, ogłoszonej w samym środku jednego z największych w historii USA kryzysów związanych z masowymi strzelaninami. Z jednej strony, można stwierdzić, że to dobrze. Posługując się logiką repu-

Kongresowi. W przeciwnym razie szkodzi amerykańskiej demokracji. A tak właśnie dzieje się teraz.

Sąd Trumpa

Tracą na tym obywatele USA, uszczerbku doznaje pozycja kraju na arenie międzynarodowej. I nie chodzi tu tylko o wysyp krytycznych komentarzy po zdjęciu konstytucyjnej ochrony dla prawa do aborcji. Negatywnie o tej decyzji wypowiedziało się pół demokratycznego świata, nawet prezydent USA. Paul Poast, politolog z Uniwersytetu w Chicago, zauważa, że ostatnie działania Sądu Najwyższego podważają jakość

pokazuje to, że obecny Sąd Najwyższy jest po prostu lustrzanym odbiciem polityki poprzedniego prezydenta. Każdy kolejny przywódca USA, jeśli dopisze mu szczęście z wakacjami, będzie mógł postąpić tak samo. Biden być może takich zapędów nie ma, bo jest i człowiekiem, i politykiem znacznie bardziej koncyliacyjnym, ale w elektoracie demokratów słychać już coraz wyraźniejsze nawoływania do odbicia sądów.

Czy Sąd Najwyższy da się jeszcze spacyfikować? Nie bez reform. A te musiałyby wyjść z Kongresu. Renan i Bowie uważają, że obie izby powinny mieć znaczące kompetencje w kwestii interpretowania prawa federalnego, tak by ograniczyć liczbę spraw odsyłanych do Sądu Najwyższego bezpośrednio przez klasę polityczną. Innym często wymienianym sposobem jest poszerzenie składu sądu – do 11, a nawet 13 sędziów. Więcej sędziów nie oznacza jednak lepszego orzecznictwa, zwiększy się jedynie ryzyko naruszania niezależności tej instytucji. Może więc kadencyjność sędziów? Albo wybieranie ich w wyborach powszechnych. Tylko jakich – tak jak prezydenta, jednocześnie w całym kraju? A może niech każdy stan ma swojego sędziego? Od tego już jest Senat, wyrównuje reprezentację terytorialną. I też dla niektórych ma niewiele wspólnego z demokracją, bo daje wszystkim stanom po dwa głosy, nawet jeśli ich populacja potrafi się różnić kilkunastokrotnie.

Wszystko to są jednak mgliste wizje przyszłości. Większa reforma z Kongresu wyszłaby dopiero wtedy, gdyby Sąd Najwyższy naraził się obu partiom. Na to się nie zanosz, bo republikanie najpewniej znów ukłęką przed Donaldem Trumpem, jedynym kandydatem zdolnym odbić Białą Dom. A że Sąd Najwyższy jest emanacją Trumpa, nikt się na niego nie zamachnie. Pozostaje lekko naiwna wiara w środki zastępcze: dekrety prezydenckie, decyzje sędziów federalnych, spory na poziomie stanowym. I odliczanie, kiedy Sąd Najwyższy sam stanie przed sądem, tym złożonym z obywateli.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl

Donald Trump w ciągu czterech lat mógł wprowadzić do Sądu Najwyższego aż trzech swoich nominatów, wszystkich o poglądach konserwatywnych.

blikańskich „oryginalistów”, bo tak nazywa się radykałów literalnie interpretujących konstytucję w duchu czasów, gdy była pisana, Sąd Najwyższy po to istnieje, żeby opierać się wszelkim naciskom, w tym presji społecznej. Z drugiej jednak, sędziowie sami wyszli ze swojej roli. Nie tyle interpretują prawo, ile zaczynają je stanowić. Jeśli tak jest, to warto wrócić do argumentu profesorów Renan i Bowiego. Jeśli Sąd Najwyższy chce sprawować władzę wykonawczą, powinien liczyć się z opinią narodu. Jeśli woli pozostać bezstronnym arbitrem, nie powinien zabierać kompetencji

demokracji w Stanach Zjednoczonych. W jawny sposób stoją bowiem w sprzeczności nie tylko z nastrojami społecznymi, ale i ze stanowiskiem organów demokracji reprezentatywnej. Ani w Senacie, ani w Izbie Reprezentantów, ani w społeczeństwie zwolennicy zakazu aborcji nie mają większości. Dane Pew Research Center wskazują dobitnie, że jedyną grupą społeczną, która taki ruch jednoznacznie popiera, są biali członkowie Kościołów neoprotestanckich. Czyli nawet nie tyle elektorat republikański, ile tzw. baza osobista Donalda Trumpa. Ponad wszelką wątpliwość

SPRAWA ROE V. WADE

W czerwcu 1969 r. 21-letnia Norma McCorvey stwierdziła, że jest ponownie w ciąży; byłoby to jej trzecie dziecko (pierwsze wychowywała jej matka, drugie oddała do adopcji). W Dallas w Teksasie znajomi poradziła jej, żeby w celu uzyskania prawa do legalnej aborcji skłamała, że została zgwałcona. Jednak w Teksasie aborcja była dozwolona tylko w celu ratowania życia matki, więc zgody nie uzyskała. W końcu została skierowana do prawników Lindy Coffee i Sarah Weddington. Przed zakończeniem procesu urodziła dziecko, które oddała do adopcji. W marcu 1970 r. McCorvey, występująca pod pseudonimem Jane Roe, wraz ze swoim lekarzem i bezdzietną parą, złożyła do sądu okręgowego pozew o stwierdzenie, że przepisy stanu dotyczące aborcji są niezgodne z konstytucją. McCorvey pozwała prokuratora okręgowego z Dallas – Henry’ego Wade’a.

Kiedy sąd okręgowy odrzucił pozew, Roe, która z formalnego punktu widzenia występowała w imieniu wszystkich kobiet stanu Teksas, odwołała się do Sądu Najwyższego USA. Ten 22 stycznia 1973 r. stosunkiem głosów 7:2 wydał wyrok obalający antyaborcyjne prawa stanu Teksas, co dotyczyło też wszystkich stanów.

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Precz z medycyną?

Zgrup zawodowych nękanych przez PiS pierwsze miejsce zajmują z pewnością sędziowie, drugie prawdopodobnie nauczyciele, a trzecie chyba lekarze. Sędziowie – wiadomo: mają orzekać, jak chce PiS. Nauczyciele – wiadomo: mają uczyć, jak chce PiS. Ale lekarze?

Otóż oni mają leczyć, jak chce PiS. Tymczasem tak nie leczą! I to z kilku przyczyn. Po pierwsze: za dużo wiedzą. Po drugie: za dużo mają wątpliwości. Po trzecie: mają te swoje wskazania i przeciwwskazania. A przecież PiS samo wie. Wie bez lekarzy. Wie np., kiedy jest pandemia, a kiedy jej nie ma. Gdy trzeba – PiS pandemię odwołuje, bo np. idą wybory. A wtedy lekarze krzyczą, że pandemia przecież trwa. W dodatku to PiS wie, jak z pandemią walczyć, a nie Rada Medyczna przy premierze, która skarży się, że nie jest słuchana, i podaje się do dymisji. Doprawdy: jak PiS z lekarzami może w ogóle wytrzymać? No i problem aborcji. Lekarze powiadają, że terminacji ciąży nigdy z góry nie można wykluczać, a PiS wyciąga nauczanie Jana Pawła II. Mając do wyboru wiedzę medyczną i wiedzę papieską – co PiS wybierze? Zgadnij, koteczku.

PiS nie może lubić lekarzy. PiS gardzi medycyną, bo gardzi nauką: poczynając od historii, której przeciwstawia wiedzę ipeenowską, a kończąc na fizyce, której prawa obala pękającymi w katastrofie parówkami. PiS musi mieć własną naukę, więc tworzy Akademię Kopernikańską. PiS musi mieć własną medycynę, a tę już ma, bo powstała kiedyś „Deklaracja wiary lekarzy katolickich”. Czyli tylko lekarz katolicki jest prawdziwym lekarzem! Czy taki lekarz powie jak pewien ksiądz profesor: „Konsekrowane ręce kapłana nie przenoszą wirusa”?

PiS nie lubi lekarzy także dlatego, że ma znachorów. A dzisiejszy znachor to antyszczepionkowiec. Czyli zwykły, mądry i dobry człowiek, który ma tylko ten feler, że wie. Nie wiadomo, skąd wie, ale wie. Wie tak, jak PiS wie. A wiedzą antyszczepionkowca jest to, że szczepionki nie pomagają, lecz szkodzą. Cóż zaś dopiero szczepionki przeciw covidowi – „z abortowanych płodów”! PiS nie lubi lekarzy, lecz lubi antyszczepionkowców, i to z wzajemnością, bo oni zasilają jego elektorat. Kościół też lubi antyszczepionkowców, bo oni są wierni nauczaniu Jana Pawła II. „Nauka i medycyna w Polsce przegrały z polityką i propagandą”, twierdzi dr Paweł Grzesiowski. Mówiąc konkretniej: przegrały z PiS i polskim Kościołem rzymskokatolickim.

Mój ojciec był lekarzem i katolikiem, ale do głowy mu nie przychodziło, by miał być lekarzem katolickim.

Zresztą, gdy się pamięta, jaki stosunek miał niegdyś Kościół do sekcji zwłok, czy w ogóle do ciała ludzkiego, miano „lekarz katolicki” brzmi raczej przerażająco. Ja na szczęście stykałem się z lekarzami bez ideowego wyróżnika. Jeżeli ci lekarze do kogoś się odwoływali, to głównie do poganina – Greka Hipokratesa. I wielokrotnie uratowali mi życie. Nie w tym sensie, że mnie reanimowali, lecz w tym, że wykryli pewne schorzenia, wdrożyli leczenie, obłożyli lekarstwami i zażądali chodzenia na kontrolę. Gdyby nie to – pewnie bym już nie żył. Co zresztą jest dość oczywiste, bo każdy z nas, ludzi XXI w., żyje za długo. To znaczy: żyje zgodnie z biologią, która wyposażała nas w siły potrzebne do istnienia nawet znacznie dłuższego, ale niezgodnie z otaczającą nas naturą, która przed organizmem piętrzy tyle przeszkód i niespodzianek, że nie jest on w stanie wykorzystać wszystkich swych szans. Te przeszkody i niespodzianki usuwa nam codziennie wiedza medyczna. Czy zdajemy sobie sprawę, że w Polsce jeszcze w XVIII w. średnia długość życia ludzkiego nie sięgała nawet 30 lat?

PiS gardzi medycyną, bo gardzi nauką.

Nie przypominam sobie, by PiS za cokolwiek dziękowało lekarzom. Ich prognozy są kwestionowane, ich rady lekceważone, a na dodatek władza prawi im morały i oskarża, że za mało pracują. A nawet wytacza procesy – przykładem działania Zbigniewa Ziobry. Gdy zaś lekarz zaangażuje się politycznie... Przykładem prof. Tomasz Grodzki – polowanie na niego trwa, odkąd został marszałkiem Senatu. Nie chodzi oczywiście o bezkarność – chodzi o sprawiedliwość. Oraz o dobro nas, pacjentów. Bo ofiarami lekceważenia lekarzy są pacjenci. A pacjentem jest każdy – nikt nie jest zdrowy całe życie.

Ale w Polsce pisowskiej nie chroni się życia. W Polsce pisowskiej chroni się życie nienarodzone.

Są dwa poważne powody,

Dla których Polska mi zbrzydła:

Za dużo święconej wody,

Za mało zwykłego mydła.

Tak pisał przedwojenny satyryk Jerzy Paczkowski. Czy to za te słowa został kiedyś pobity przez bojówkę endecką?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Kulawa demokracja

Izrael zmierza do piątych wyborów w ciągu trzech lat

Jakub Katulski

Bardzo trudno znaleźć kogoś, kto w czerwcu zeszłego roku wróżył sukces zawiązywanej wówczas rządowej koalicji Jaira Lapida i Naftalego Bennetta. Po raz pierwszy w historii Izraela kraj miał poprowadzić rząd złożony z ugrupowań reprezentujących przeciwne prądy ideologiczne. Wszystko po to, by wysadzić z siodła Beniamina Netanjahu, który nieprzerwanie przez 12 lat zajmował stanowisko szefa rządu.

Na Bibim ciążyą bowiem poważne zarzuty korupcyjne i oskarżenia o nadużycie władzy. Jego proces wciąż trwa i trudno przewidzieć, jak się zakończy. Na niekorzyść byłego premiera zeznaje wielu świadków. Głośnym echem odbiły się zeznania Hadas Klein, byłej asystentki Arnona Milchana, izraelskiego przedsiębiorcy i założyciela amerykańskiej wytwórni filmowej Regency Enterprises, która zastąpiła produkcją takich hitów kinowych jak „Urodzeni mordercy” Olivera Stone’a czy „Zjawa” z Leonardem DiCaprio. Jak wyjawiała Klein, jednym z jej zadań było kupowanie drogich prezentów dla Bibiego i jego żony Sary, w tym wartych tysiące dolarów pudełek cygar czy butelek różowego szampana Dom Perignon. Na dowód przedstawiła faktury na zakup tych artykułów, podkreślając, że Milchan dla siebie nie kupował tak luksusowych dóbr w hurtowych ilościach.

Zeznania świadków nie wystarczyły jednak wymiarowi sprawiedliwości, by wydać wyrok na Netanjahu, mimo że będący w opozycji Bibi nie może teraz grać na zwłokę czy naciskać na sędziów i prokuratorów. W końcu Lapid i Bennett zapowiedzieli, że utworzą rząd, by temu zapobiec, a w konsekwencji pozbawić Netanjahu władzy, skazać go i pozbyć się na zawsze z krajowej polityki. Mimo oskarżeń Bibi nadal jest

najpopularniejszym politykiem w kraju, a jego partia Likud ma największą liczbę mandatów w Knesecie.

Pięta achillesowa

To właśnie fakt, że obecny rząd zbudowany został z małych w porównaniu z Likudem ugrupowań, był jego piętą achillesową. Na czele koalicji stanęły centroprawicowa partia Jesz Atid (Jest Przyszłość) Lapida i nacjonalistyczna Jamina (W Prawo) Naftalego Bennetta, który w ubiegłym roku objął stanowisko premiera, mimo że jego partia cieszyła się mniejszą popularnością. Obok nich w koalicji znalazły się centroprawicowa Kachol-Lawan (Niebiesko-Biali) byłego szefa sztabu generalnego Beniego Gancza i prawicowa Nowa Nadzieja Gideon Saara. Nie zabrakło także Jisrael Beitenu (Nasz Dom Izrael), nacjonalistycznej i antyklerykalnej partii Awigdora Liebermana, której elektorat w ogromnej części stanowił Żydzi z krajów byłego Związku Radzieckiego. Z przeciwnego biegu na polityki do koalicji weszły lewicowe Meretz i Partia Pracy, dawniej będąca niemal synonimem Izraela, to z niej i jej poprzedniczek wywodzili się bowiem politycy rządzący krajem od powstania państwa aż do końca lat 70. Wisienką na tym torcie okazała się islamistyczna partia Raam (Zjednoczona Lista Arabska) Mansura Abbasa, reprezentująca głównie interesy społeczności arabskiej, w tym zamieszkujących pustynię Negew Beduinów, przekonujących często, że są dyskryminowani w Izraelu. Po raz pierwszy w historii kraju do rządu weszło samodzielne ugrupowanie arabskie i jeśli z czegoś rząd Bennetta-Lapida ma zostać zapamiętany, to właśnie z odważnego kroku w kierunku włączenia Arabów do politycznego mainstreamu.

Włączenie partii arabskiej do koalicji obarczone było jednak ryzykiem.

Niemal od razu nacjonalistyczna opozycja złożona z Likudu i partii reprezentujących interesy ultraortodoksyjnych Żydów nazwała Raam i resztę rządu *tomchei terror*, czyli sympatykami terroryzmu, sugerując tym samym, że arabskie ugrupowania wspierają regularnie ostrzeliwujący Izrael palestyński Hamas.

W zmianie tej opinii nie pomógł z pewnością kryzys, który był wynikiem zamieszek i starć w Jerozolimie między Palestyńczykami a izraelską policją w czasie ramadanu. Zdaniem Palestyńczyków powodem niepokoju miała być próba naruszenia przez Izrael status quo Wzgórza Świątynnego, na którym znajdują się święte miejsca islamu – meczet Al-Aksa i Kupa na Skale, będąca jednym z symboli Jerozolimy.

Mało spektakularne sukcesy

Punktem zapalnym zamieszek było ogłoszenie przez żydowskich ekstremistów, że dokonają oni rytualnego ofiarowania kozy przed świętem Pesach właśnie na terenie Wzgórza Świątynnego, gdzie w starożytności znajdowały się dwie świątynie ludu Izraela. Choć 14 kwietnia aresztowano sześciu mężczyzn, którzy mieli taki zamiar, grupa Palestyńczyków postanowiła zabarykadować się w meczecie, skąd rzucano w policję kamieniami i petardami. W pierwszym dniu starć policjanci, którzy odpowiedzieli gumowymi kulami, granatami hukowymi i gazem łzawiącym, ranili ponad 200 Arabów, a jednego zabili. Kolejne dni powiększyły jedynie bilans strat, a oliwy do ognia dolewali izraelscy nacjonałści, którzy zapowiedzieli, że przez miasto w maju przejdzie Marsz Flagi dla uczczenia rocznicy przejścia przez Izrael z rąk jordańskich kontroli nad Jerozolimą Wschodnią w wyniku wojny sześciodniowej.

Raam zdecydowała się zawiesić swoje członkostwo w koalicji, już i tak



Po rozpadzie koalicji Naftali Bennett (nz. z prawej) zrezygnował z funkcji premiera, przekazał fotel Jairowi Lapidowi (nz. z lewej) i poddał pod głosowanie samorozwiązanie Knesetu.

mocno osłabionej odejściem z niej posłanki Idit Silman, co sprawiło, że gabinet Bennetta-Lapida stracił parlamentarną większość. W kolejnym miesiącu Abbas podjął decyzję o powrocie do rządu, jednak uspokoiło to sytuację tylko na trochę.

Rząd Bennetta i Lapida przez rok istnienia osiągnął także pewne sukcesy, choć z perspektywy zewnętrznego obserwatora raczej mało spektakularne. Koalicji udało się w ubiegłym roku za trzecim podejściem przegłosować budżet państwa, co dla poprzednich rządów było niewykonalne. Kiedy koalicję tworzyli Netanjahu i Beni Ganc, dziennikarze spekulowali, że to sam Bibi torpeduje plany budżetowe, by zgodnie z umową nie przekazać fotela premiera koalicyjnemu koledze, a tym samym przedłużyć swoje urzędowanie. Jeśli tak rzeczywiście było, to za swój błąd w kalkulacjach Netanjahu zapłacił wysoką cenę.

Kolejna szansa dla Netanjahu

Sukcesu w głosowaniu nad budżetem w tym roku nie udało się powtórzyć. Zagłosuje nad nim już najprawdopodobniej następny Kneset, wybrany w piątych w ciągu trzech lat wyborach. Koalicja bowiem, po licznych wcześniejszych kryzysach,

rozpadła się ostatecznie w czerwcu z powodu głosowania nad statusem żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu. Wchodzące w skład rządu partie lewicowe i arabska Raam zagłosowały wspólnie z opozycją. Ponowne głosowanie w tej sprawie przeprowadzi już nowy Kneset.

Osiedla mają specjalne miejsce w izraelskim ustawodawstwie. Zachodni Brzeg, podobnie jak Jerozolima Wschodnia, znalazł się pod izraelską kontrolą w 1967 r., po zwycięstwie w wojnie sześciodniowej. Od tego momentu izraelscy Żydzi stale budują nowe domy i miasta na tych terytoriach, choć w myśl porozumień z Oslo, kiedy zawarty zostanie trwały traktat pokojowy, na Zachodnim Brzegu ma powstać niepodległe państwo palestyńskie. Dzisiaj ten teren się kurczy i wydaje się, że niemal niemożliwe będzie utworzenie na Zachodnim Brzegu normalnie funkcjonującego państwa.

Do tego dochodzi kwestia obowiązujących przepisów prawa, która wywołuje liczne oskarżenia o stosowanie przez Izrael polityki apartheidu. Palestyńczycy podlegają bowiem prawu wojskowemu, jak ludność zamieszkująca terytoria okupowane, co potwierdzają choćby wyroki izraelskiego Sądu Najwyższego. Mieszkający tam Żydzi cieszą

się jednak pełnią praw i swobód nadawanych im przez cywilne przepisy Izraela. W czerwcu parlament głosował nad przedłużeniem czasu obowiązywania tych przepisów, bo ich ważność kończy się w tym roku. Izraelska opozycja zagłosowała jednak przeciwko, choć zdawałoby się, że nacjonalistyczne ugrupowania mające bliskie związki z ruchem osadniczym działają w ten sposób wbrew swoim interesom. Wygląda jednak na to, że Likud przede wszystkim zainteresowany jest powrotem do władzy.

Bennettowi nie pozostało nic innego, jak zrezygnować z funkcji premiera, przekazać fotel Jairowi Lapidowi i poddać pod głosowanie samorozwiązanie Knesetu, które zostało zatwierdzone 30 czerwca. Kraj więc zmierza w kierunku kolejnych już wyborów, które mogą jednak nie wyłonić jasnego zwycięzcy. Lider Jaminy przekazał także przewodnictwo partii swojej bliskiej współpracownicy Ajelet Szaked i zapowiedział, że nie będzie kandydował w wyborach zaplanowanych na 1 listopada.

Do czasu ich rozpisania i zbudowania koalicji szefem rządu będzie Jair Lapid. To stanowisko, o które walczył od lat i z pewnością nie odda go bez walki. Jego główny rywal jest jednak o wiele bardziej doświadczony w politycznych zmaganiach. Tyle że Netanjahu zraził do siebie wielu ludzi i wcale nie jest jasne, czy uda mu się odzyskać władzę, nawet jeśli Likud znowu zdobędzie najwięcej mandatów w Knesecie. Ta sytuacja po raz kolejny obnaża słabe strony izraelskiej demokracji, od lat niepotrafiącej wyłonić stabilnego rządu, zdolnego do prowadzenia kraju mimo licznych przeciwności. ■



Silna armia, której „nie ma”

Marcin Ogdowski

Gdy informacja o postrzeleniu byłego japońskiego premiera Shinzo Abego pojawiła się w agencjach prasowych, wielu specjalistów od Dalekiego Wschodu założyło, że zamach miał związek z polityką obronną państwa. A ściślej – z remilitaryzacją Japonii, do której doszło za rządów Abego. Część Japończyków nie akceptuje odwrotu od ideologii państwowej opartej na pacyfizmie – i w tym doszukiwano się motywacji zamachowca. Polityk zmarł w szpitalu 8 lipca, a jego zabójca, 41-letni Tetsuya Yamagami, przyznał, że

Kraj Kwitnącej Wiśni nigdy nie rozliczył się z wojennej przeszłości.

działał z pobudek osobistych. Matka Yamagamiego, skaptowana przez religijnych fanatyków, podarowała cały majątek Kościołowi Zjednoczeniom, szerzej znanemu jako sekta Moona. Zabójstwo Abego – rzekomo związanego z moonistami – było zatem aktem zemsty za wymuszenie finansowe. Nie ma pewności, czy ta wersja potwierdzi się w śledztwie, niemniej jasne jest, że zwolennicy uczynienia Japonii „normalnym państwem” stracili ważnego rzecznika. Były szef rządu z powodów zdrowotnych zrezygnował z aktywnej polityki latem 2020 r., nadal jednak udzielał się publicznie, wspierając inicjatywy Partii Liberalno-Demokratycznej. Także te zmierzające do zwiększenia roli polityczno-militarnej Japonii, „stosownie do jej potencjału gospodarczego i demograficznego”.

Kraj ten nigdy nie rozliczył się z wojennej przeszłości. Nie było publicznych przeprosin Chińczyków, Koreańczyków czy mieszkańców wysp Pacyfiku. Brutalne okupacje kosztowały życie milionów ludzi, lecz specyficzne japońskie poczucie honoru nie pozwala przyznać się do winy. W kulturze zachodniej taki gest nie jest niczym złym, ba, uchodzi

Japonia żegna się z pacyfizmem

wręcz za akt odwagi. W Japonii przynosi ujmę, stąd próżne oczekiwania na dalekowschodni odpowiednik niemieckiego rozliczenia się ze zbrodni popełnionych podczas II wojny światowej. Co więcej, o ile w Niemczech za niedopuszczalne uznano składanie hołdu żołnierzom z tamtego okresu, o tyle w Japonii jest to stały element politycznego rytuału. Wizyty w świątyni Yasukuni – poświęconej poległym japońskim żołnierzom – co rusz wywołują protesty Pekinu i Seulu. W chramie czci się pamięć wymienionych w specjalnej księdze 2,5 mln wojskowych, pośród których znajduje się ponad tysiąc zbrodniarzy wojennych. Jednocześnie w kraju obowiązuje konstytucja z 1946 r., której art. 9 mówi o wyrzeczeniu się prawa do wojny.

Pacyfistyczna nomenklatura

Z drugiej strony mamy rzeczywistość wyspiarskiego państwa, dla którego zabezpieczenie szlaków żeglugowych to sprawa życia i śmierci. Japońska strefa wyłączności gospodarczej obejmuje 4,5 mln km kw. (siódma pod względem wielkości na świecie, odpowiadająca 14-krotnej

najludniejszy kraj świata dąży do regionalnej hegemonii kosztem swoich sąsiadów.

To realia ostatnich trzech dekad – wcześniej zagrożenie dla Tokio stanowił przede wszystkim ZSRR. Amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa pozwoliły Japończykom na nieprawdopodobny rozwój gospodarczy, jednak związana z nimi obecność sił zbrojnych USA miała ograniczony wymiar. Dziś w Japonii stacjonuje 56 tys. Amerykanów, na utrzymanie których japońscy podatnicy wydają w ciągu najbliższych pięciu lat średnio 2,7 mld dol. rocznie. Ale to nie zagraniczni wojskowi decydują o jakości japońskiego potencjału odstraszania, lecz powołane do życia w 1954 r. Siły Samoobrony, będące obecnie piątą siłą militarną świata (według 2022 Military Strength Ranking portalu Global Firepower).

Formalnie nawet nie mówimy o żołnierzach, ale o umundurowanych cywilach. Lecz za pacyfistyczną nomenklaturą kryje się potęga nie tyle liczna (250 tys. ludzi), ile wyposażona w doskonały sprzęt i broń, których pozazdrościć mogą Japończykom przedstawiciele sił zbrojnych większości krajów świata. Najlicniejszy pozostaje komponent lądowy (150 tys. wojskowych), za to Morskie Siły Samoobrony (jap. Kaijō Jieitai) mają najbardziej imponujący arsenał. Składają się na niego cztery niszczyciele śmigłowcowe, osiem większych

Pojedynczy okręt klasy Maya ma siłę rażenia większą niż cała marynarka wojenna RP.

wielkości (Polski). Łączna długość wysp (z północy na południe) przekracza zaś 3 tys. km. Na północy Japonia graniczy z Rosją, z którą formalnie pozostaje w stanie wojny. Stosunkowo wąskie Morze Japońskie odgradza ją od Korei Północnej, a Morze Wschodniochińskie od Chin. Oba deklaratywnie komunistyczne kraje dysponują arsenałami jądrowymi i raketowymi, lecz o ile państwo Kimów nie rzuca otwartego wyzwania Japonii, o tyle

i 31 mniejszych niszczycieli rakietowych. Zastosowane nazewnictwo jest znamienne, w pierwszym przypadku mówimy bowiem o jednostkach będących w istocie lotniskowcami (których formalnie Japonia posiadać nie może). Przy tym dwa, typu Izumo, zostały dostosowane do przenoszenia samolotów F-35 (morskiej wersji B – krótkiego startu i pionowego lądowania). Z kolei wspomniane duże niszczyciele rakietowe – o wyporności 10 tys. ton i więcej – to de facto krążowniki, okręty o klasę wyżej. Wyposażone



w nowoczesne systemy kierowania walką oraz całą paletę wyrzutni, zdolne są nie tylko zwalczać cele morskie, ale też tworzyć przeciwnocny i przeciwrakietowy parasol chroniący flotę i macierzyste wyspy. Dość powiedzieć, że pojedynczy okręt klasy Maya ma siłę rażenia większą niż cała marynarka wojenna RP. Japońskich interesów strzeże też pokaźna flota podwodna, składająca się z 16 jednostek (niebawem będzie ich ponad 20).

Trend stały i rosnący

Japońskiego nieba chronią dwie setki ciężkich myśliwców F-15 i ponad 80 maszyn oznaczonych jako F-2. To lokalna odmiana F-16, nazywana z uwagi na lepsze parametry „szesnastką na sterydach”. Tokio zamówiło również ponad 150 najnowocześniejszych F-35, z których kilkanaście pełni już służbę. A zakupów będzie więcej.

Siły Samoobrony powołane do życia w 1954 r. są piątą siłą militarną świata.

Pod koniec kwietnia rząd premiera Fumio Kishidy przyjął dokument, na mocy którego w ciągu pięciu lat Japonia dwukrotnie zwiększy wydatki na obronność. Do 2% PKB, co oznacza docelowy budżet wojskowy w wysokości 111 mld dol. – trzeci najwyższy na świecie. Dodatkowe pieniądze mają pozwolić na zbudowanie „zdolności do kontrataku” – dać m.in. możliwość rażenia celów na dalekich dystansach i poprawić efektywność ochrony cyberprzestrzeni, Japończycy chcą także pozyskać nowe systemy bezzałogowe. W lutym tego roku Shinzō Abe zaapelował nawet o zainicjowanie dyskusji na temat rozmieszczenia w Japonii amerykańskiej broni nuklearnej. Miałoby to odbyć się w taki sposób jak

w przypadku europejskich państw NATO (gdzie pieczę nad głowicami sprawują Amerykanie), jednak pomysł nie zyskał akceptacji obecnego premiera. „Jest na to za wcześnie”, usłyszał jego poprzednik. U podstaw tej opinii leży przekonanie, że zmiana nastawienia do pacyfistycznej formuły państwa jest trendem stałym i rosnącym. Badanie przeprowadzone przez tokijskich naukowców tuż po rosyjskiej inwazji na Ukrainę pokazało, że 64% ankietowanych opowiada się za wzmocnieniem potencjału obronnego Japonii. To najwyższy wynik w historii sondaży, przeprowadzanej regularnie od 2003 r.

Fumio Kishida ostro sprzeciwił się rosyjskiej agresji na Ukrainę. Japonia objęła Federację Rosyjską sankcjami gospodarczymi, wydalila dyplomatów i wspiera militarnie Kijów. W odpowiedzi Moskwa jeszcze w marcu zorganizowała morsko-lądowe manewry wojskowe w akwenie spornych Wysp Kurylskich, ale Tokio nieszczególnie się przejęło tą demonstracją siły. W czerwcu szef japońskiego rządu pojawił się na madryckim szczycie NATO – czego dotąd nie praktykowano. Ba, po serii kontrolowanych przecieków w mediach spekulowano o możliwym przyjęciu Japonii (i Korei Południowej) do Sojuszu.

Skąd taka reakcja na odległą wojnę i późniejsze kroki? Japoński rząd wychodzi

z założenia, że agresywna polityka Rosji w Europie może zachęcić Chiny do podobnych działań w regionie Indo-Pacyfiku. Trzeba więc Chińczykom pokazać, że nie warto sięgać po rozwiązania siłowe. Czy presja na Pekin przybierze również postać częstszych patroli okrętów europejskich marynarek na Pacyfiku? Wspólnych japońsko-natowskich ćwiczeń? Czy Tokio przyłączy się do paktu AUKUS, zawartego we wrześniu 2021 r. przez USA, Wielką Brytanię i Australię? Twierdzącą odpowiedź na wszystkie te pytania nie podlega dyskusji. Japończycy są chętni i nie ustają w wysiłkach, by wnieść w te relacje jak największe wiano.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Kolejna „wojna” z Niemcami

Zdaniem Jarosława Kaczyńskiego
Polska to rosyjsko-niemieckie kondominium

Paweł Sergiejczyk

Rosyjska agresja na Ukrainę w zrozumiałym sposobie wzmożyła polską rusofobię, a w wielu kręgach – niezależnie od dotychczasowych podziałów politycznych – nakręciła antyrosyjską histerię do rozmiarów chyba niespotykanych za życia pokoleń mieszkających dziś w Polsce. Skutkiem tej histerii jest szpiegomania jak z najgorszych czasów stalinowskich – i to zjawisko występuje ponad politycznymi podziałami czy raczej wyostreza te podziały w sposób absurdalny: dla jednych „ruskim agentem” jest Tusk, dla drugich Kaczyński.

Trzeba sobie powiedzieć jasno: na polską rusofobię nic nie poradzimy, bo sama Rosja robi dziś wszystko, by stracić resztki sympatii w świecie. Może kiedyś – ale to już w epoce poputinowskiej – państwo rosyjskie zacznie się zmieniać na tyle, by znów zacząć tę sympatię odzyskiwać, jak w czasach Gorbaczowa i Jelcyna. Na razie jednak nic na to nie wskazuje. Z rusofobią musimy nauczyć się żyć. Co najwyżej można ją sprowadzać do w miarę rozsądnych rozmiarów, np. odrzucając chorobę szpiegomanii.

Wojna rosyjsko-ukraińska niestety ma znacznie gorsze skutki dla polskiej mentalności. Za najgorszy należy uznać wzrost niechęci, a niekiedy wręcz nienawiści do Niemiec. Polityka wschodnia rządu w Berlinie od wielu lat była przedmiotem dyskusji i krytyki w całym świecie zachodnim, lecz w Polsce nie ma żadnej dyskusji czy racjonalnej krytyki – jest walenie Niemców propagandową pałką po głowie. Przoduje w tym oczywiście PiS, któremu wojna za wschodnią granicą dała kolejną okazję do pouczenia krajów Zachodu, jak powinno się postępować. I o ile wcześniejsze okazje były raczej karykaturalne (np. zapowiedź „rechryścianizacji Europy”

przez Polskę), o tyle „pałka ukraińska” ma autentyczną moc propagandową, tym bardziej że używana jest przez obóz polityczny, który od ponad 30 lat konsekwentnie posługuje się retoryką antyrosyjską.

Zjednoczenie Zachodu

Jest to jednak również obóz, który od dawna korzysta z retoryki antyniemieckiej. Pamiętne słowa Jarosława Kaczyńskiego o Polsce jako „rosyjsko-niemieckim kondominium” stanowią najbardziej dobitne streszczenie myśli geopolitycznej Zjednoczonej Prawicy. Rzecz jasna, mówimy cały czas o przekazie skierowanym do własnych wyborców, bo kraj należący do Unii Europejskiej i NATO siłą rzeczy nie może stosować równorzędnej miary wobec Moskwy i Berlina. Niemcy są naszym najbliższym geograficznie sojusznikiem w strukturach zachodnich i najważniejszym partnerem gospodarczym – tym „oczywistym oczywistościom” nie mogą zaprzeczyć ani premier Morawiecki, ani prezes Kaczyński, ani

a członkami Unii Europejskiej, łącznie z Węgry, które przecież nie popierają Rosji, lecz prowadzą obtudną grę kartą własnego „niezaangażowania”. Różnice leżą w szczegółach, wynikających głównie z politycznych tradycji poszczególnych krajów, z mentalności poszczególnych narodów i z temperamentów poszczególnych przywódców. Zarzucanie kanclerzowi Niemiec i prezydentowi Francji, że nie postępują tak jak prezydent USA i premier Wielkiej Brytanii, wynika albo ze złej woli, albo z ignorancji, która w naszych sferach polityczno-medialnych jest dziś często skutkiem zwykłego nieuctwa.

Dlatego konieczne jest ciągłe przypominanie spraw zupełnie oczywistych: że Niemcy w 1945 r. poniosły największą klęskę w swoich dziejach, były krajem okupowanym przez zwycięzców II wojny światowej, a potem przez 40 lat podzielonym i znów zjednoczonym – na fundamentach liberalno-demokratycznych, z potępieniem faszyzmu, nacjonalizmu i militarizmu jako zasadą podstawową. Gwarantem utrzymania tych fundamentów

Najgorszym dla naszej mentalności skutkiem wojny rosyjsko-ukraińskiej jest wzrost niechęci, a niekiedy wręcz nienawiści do Niemiec.

nawet Antoni Macierewicz. Pisowscy władarze Polski muszą więc jeździć do Berlina i przyjmować w Warszawie swoich niemieckich odpowiedników, czego wobec rosyjskich władz nigdy robić nie musieli i konsekwentnie nie robili.

Najważniejszą zmianą w światowym układzie sił, jaka zaszła po 24 lutego br., jest ponowne zjednoczenie Zachodu. Wbrew licznym nadinterpretacjom, które słyszymy na co dzień, w postawie wobec Rosji nie ma dziś większych różnic pomiędzy krajami anglosaskimi

są amerykańskie bazy wojskowe na terenie Republiki Federalnej Niemiec (z wielką bazą Ramstein na czele), ale w jeszcze większym stopniu – trwająca od zakończenia wojny nieustanna „reedukacja” Niemców, którzy dzięki temu stali się najbardziej paacyfistycznym i liberalno-lewicowym społeczeństwem Europy albo i świata. Oskarżanie dziś Niemców o brak entuzjazmu dla wojny i zbyt małą pomoc dla walczącej Ukrainy świadczy zatem jedynie o nieznanym niemieckiego społeczeństwa i niezrozumieniu wartości, jakim ono hołduje.

Jeżeli Jarosław Kaczyński widzi w polityce poprzedniego i obecnego rządu w Berlinie kontynuację linii politycznej Bismarcka, to znaczy, że jest jak ci francuscy arystokraci z czasów restauracji Burbonów, którzy „niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli”. Czym innym był bowiem tak złowrogi dla Polaków „sojusz trzech cesarzy” (dwóch niemieckich i rosyjskiego) w XIX w., nie mówiąc już o układzie w Rapallo czy pakcie Ribbentrop-Mołotow, a zupełnie czym innym jest polityka dzisiejszych Niemiec, dzięki którym Polska i inne kraje Europy Środkowej mogły wejść do Unii Europejskiej i otrzymać ogromne środki na rozwój. Putinowska Rosja – tak samo jak komunistyczne Chiny – jest dla niemieckiego przemysłu istotnym partnerem gospodarczym, ale niczym ponadto. Natomiast Polska jest, obok Francji, najważniejszym sąsiadem i kluczowym politycznym sojusznikiem Berlina. Kto nie zauważa tej różnicy, ten żyje w świecie własnych wyobrażeń, a najczęściej obsesji.

Dziedzictwo endecji

Obsesji, które cechują zwłaszcza polską prawicę. To oczywiście przede wszystkim dziedzictwo tradycji endeckiej, która w XX w. zdominowała prawą stronę polskiej polityki. Wyznaczony w początkach zeszłego stulecia przez Romana Dmowskiego paradygmat zagrożenia niemieckiego, potwierdzony i umocniony przez doświadczenia II wojny światowej, po 1945 r. cały czas trzymał się mocno (również wskutek wykorzystywania go przez władze PRL), a po 1990 r. powrócił wraz z odrodzeniem się nurtu narodowo-katolickiego na scenie politycznej. I był eksponowany tym mocniej, im bardziej polska prawica uświadamiała sobie, że inne elementy dziedzictwa endecji – antysemityzm czy klerykalizm – nie mają już tej społecznej nośności, co przed wojną.

Atakowanie dzisiejszych Niemiec jest tym łatwiejsze, że w niemieckiej polityce dominują siły, które dla polskiej prawicy są ideologicznie wrogie lub przynajmniej zupełnie

nie przystają do naszych warunków. Bo nawet chadecja Helmuta Kohla i Angeli Merkel to zupełnie inny model centroprawicy – proeuropejskiej i nienacjonalistycznej – niż nasze ugrupowania prawicowe. Co prawda, sam Jarosław Kaczyński w początkach kariery politycznej wyraźnie chciał naśladować CDU (nieprzypadkowo jego pierwsza partia nosiła nazwę Porozumienie Centrum, nawiązującą do katolickiego stronnictwa Centrum, poprzednika CDU), ale gdy się okazało, że Niemcy chadecy wolą współpracę z innymi środowiskami, sięgnął po retorykę antyniemiecką, którą cały czas zaostrza.

Putinowska Rosja czy komunistyczne Chiny są dla Niemiec istotnym partnerem gospodarczym, ale niczym ponadto.

Jeśli nasza prawica nie miała liłości dla swojej niemieckiej odpowiedniczki, to cóż dopiero mówić o jej stosunku do niemieckiej lewicy. Powrót socjaldemokratów do władzy w Berlinie tylko nakręcił spiralę antyniemieckości w Polsce. I nie jest ważne, że kanclerz Olaf Scholz już kilka dni po napaści Rosji na Ukrainę wygłosił w Bundestagu bardzo ważne przemówienie, w gruncie rzeczy odcinające się od zbyt łagodnej wobec Rosji linii poprzednich rządów. Niemieckiej lewicy z zasady w Polsce się nie wierzy! I znów: niewiele ma to wspólnego z prawdą historyczną. Bo trudno o bardziej propolskich kanclerzy RFN niż Willy Brandt, który doprowadził do uznania granicy na Odrze i Nysie, oraz Helmut Schmidt, torujący gierkowskiej Polsce drogę na Zachód. Ale nawet kolejny socjaldemokratyczny kanclerz, Gerhard Schröder, dziś uosobienie płatnej kolaboracji z reżimem Putina, powinien być w Polsce pamiętany jako ten, który walczył przyczynił się do szybkiego przyjęcia Polski do Unii Europejskiej. Za co zresztą rządząca wtedy Polską lewica (przy wsparciu PiS i PO) szybko „się odwdzięczyła” bezwarunkowym poparciem dla amerykańskiej wojny w Iraku, wobec której Niemcy i Francja pozostały sceptyczne.

Charakterystyczne jest to, że antyniemieckim kampaniom polityczno-medialnym w naszym kraju nie towarzyszą antypolskie kampanie w Niemczech. To oczywiście kolejny dowód na to, że niemieckie elity są znacznie bardziej dojrzałe i dalekowzroczne niż polskie. Ale to również potwierdzenie najważniejszej „oczywistej oczywistości” dotyczącej naszego położenia w Europie i świecie: że Niemcy są tym krajem, któremu najbardziej na Polsce zależy. Nie tylko ze względu na mocne więzi gospodarcze (których przecież nie da się sprowadzić do pogardliwego stwierdzenia o Polsce jako „rynku zbytu dla niemieckich towarów”), ale

również z racji utrzymania stabilizacji politycznej i przyjaznego sąsiedztwa na wszystkich granicach RFN. III Rzeczpospolita ma wyjątkowe szczęście, że od zachodu graniczy z krajem tak przychylnym, poważnym i niemałostkowym. Tymczasem zamiast tę sytuację wykorzystywać, sami ją psujemy.

Droga PiS

Radosław Sikorski, gdy był jeszcze szefem polskiej dyplomacji, zastąpił powiedzeniem: „Mniej się obawiam niemieckiej siły niż niemieckiej bezczynności”. Za te słowa wylało się na niego sporo pomyj, ale przecież ci, którzy go wtedy atakowali, przyznają mu dzisiaj rację, żądając od Niemców większego zaangażowania w Ukrainie. To tylko potwierdza hipokryzję naszej prawicy i traktowanie przez nią Niemiec jak chłopca do bicia, zawsze i wszędzie, w każdych okolicznościach. A tym, czego naprawdę należy się obawiać, jest uleganie szantażowi emocjonalnemu prawicy. Widać to nawet u Donalda Tuska, który, dzień w dzień atakowany w TVP jako polityk uzależniony od Niemiec, coraz mocniej odcina się od Berlina, co przychodzi mu tym łatwiej, że nie rządzi tam już Angela Merkel, z którą ▶

► był zaprzeczony. Do krytyki władz niemieckich dołączają także politycy PSL i lewicy – tak jakby miało ich to uchronić przed medialną nagonką w telewizji Jacka Kurskiego. To bardzo niepokojąca tendencja, bo najgorszym, co może nas spotkać, jest narzucenie przez PiS „standardów” w kwestii stosunków polsko-niemieckich. Tymczasem trzeba jasno

głównie o Prusach, mimo że Austria przez długi czas była nawet bardziej antypolska) pomogły Rosji w rozbiorach Polski, potem zaś państwo Bismarcka i Wilhelma II prowadziło politykę wrogą wobec Polaków w Wielkopolsce, a w końcu hitlerowska III Rzesza napadła na II Rzeczpospolitą, rządząc ziemią polskimi przy użyciu terroru o nieznanej dotąd

Marię Józefę Habsburżankę (żonę Augusta III) – było właśnie Niemkami. Niestety, zbyt słabo znany jest dorobek tylu uczciwych historyków, którzy usiłowali się przebić z prawdą o relacjach polsko-niemieckich. Takich historyków jak Marian Kukiel (jego tekst „Jak to było naprawdę z Niemcami i z nami” ukazał się w londyńskich „Wiadomościach” już w 1966 r.), Jerzy Krasuski (autor m.in. świetnego opracowania „Polska-Niemcy. Stosunki polityczne od zarania po czasy najnowsze”), Marek Żybura (który napisał bogato ilustrowaną książkę „Niemcy w Polsce”), Norman Davies (autor tekstu „Tysiąc lat kameraderii polsko-niemieckiej” zamieszczonego w zbiorze „Europa między Wschodem a Zachodem”) czy Andrzej Romanowski (którego szkic „Polska – ojczyzna Niemców” ukazał się w jego najnowszym zbiorze „Pamięć gromadzi prochy”). Oby ci autorzy wytyczyli szlaki kolejnym, którzy mozolnie, ale skutecznie będą zmieniać świadomość naszej przeszłości i naszego położenia.

Paweł Siergiejczyk

Polska, obok Francji, to najważniejszy sąsiad i kluczowy polityczny sojusznik Berlina.

powiedzieć, że pisowskie „standardy” również w tej dziedzinie są głupie i szkodliwe dla Polski.

Aby budować normalne, zdrowe myślenie o naszych relacjach z zachodnim sąsiadem, trzeba zacząć od historii. W polskiej „duszy narodowej” tkwi cały czas stereotyp wrogości Niemców wobec Polaków, podczas gdy jest to prawda tylko w odniesieniu do fragmentu naszych dziejów. Chodzi o tragiczny okres lat 1772-1945, gdy dwa państwa niemieckie (choć pamięta się

skali. 173 lata trwał więc nasz polski dramat związany z zagrożeniem niemieckim. Na ponad 1050 lat naszej historii to niezbyt wiele, choć oczywiście zapomnieć o tych smutnych czasach nie możemy.

Możemy za to odwrócić proporcje i pokazać, że endecki stereotyp odwiecznej wrogości jest z gruntu fałszywy. Bo w dziejach o wiele więcej z Niemcami nas łączyło, niż dzieliło, począwszy od naszych królowych, z których kilkanaście – od pierwszej, Rychyzy (żony Mieszka II), po



Filharmonia
Narodowa

ABONAMENTY WRACAJĄ DO GRY!

**NOWY SEZON ARTYSTYCZNY
2022/2023**

Abonamenty dostępne w terminach:

25.07 – 3.09 (odnowienie)

5–10.09 (sprzedaż nowych)

filharmonia.pl



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Kupa wilka, mejle Dworczyka

Siadanie do pisania felietonu zawsze ma swoje dobre i złe strony. Ale podczas wakacyjnych wojaży są to inne dobre i złe strony. Oczywiście zrozumiałe jest pytanie, co ma piernik do wiatraka albo kupa wilka do mejli Dworczyka.

Zacznę od kupy wilka. Wśród kilku niezwyklej urody okolic w Polsce udało mi się w tym roku odwiedzić Puszcę Borecką, jedno z tych nielicznych i niezwyklej miejsc w naszym kraju, które są absolutnym skarbem przyrodniczym w skali europejskiej. Czy tak jest traktowana? Ze smutkiem wymieszanym z wściekłością opatuloną bezradnością trzeba sobie jasno powiedzieć, że oczywiście nie. Znikoma jej część objęta jest rzeczywistą ochroną (rezerwat), reszta iluzorycznymi formami zabezpieczenia, które pozostają tylko zapisami bez realnych konsekwencji. Ten felieton nie jest jednak poświęcony temu, jak nie potrafimy jako wspólnota państwowa zadbać o niezwykle, często w sporej części naturalne lasy, których już nigdzie indziej na naszym kontynencie nie ma. Winnych jest wiele instytucji, osób, praw, chociaż i tu niekwestionowanym liderem są Lasy Państwowe, z ich krótkowzroczną polityką doraźnych, szybkich zysków z wyrębu.

Kiedy wędrowałem przez tak niezwyklej las, to trafiając na kolejne autostrady demokracji wytyczone przez wjeżdżające tam harwestery, czułem, jakby po sercu przejeżdżał mi sztylet.

Michał Dworczyk jest kimś w rodzaju urzędowego harwestera, niszczy nasze wspólne dobro.

Harwestery, czyli oddziały drwali i pilarzy zakłete w jedną potężną, spaliniową maszynę, są golemem współczesnych lasów. Jak to szło? „Z jednego drzewa można zrobić milion zapalek, ale jedna zapalka może spalić milion drzew...”. Jeden harwester nie tylko ogałaca, odziera z gałęzi i ścina drzewa, ale też niszczy wszystko wokół siebie i pod sobą. Harwester jest bezkarnym, mechanicznym zbrodniarzem na usługach instytucji, która powinna dbać o lasy, nasze wspólne dobro. Jak opowiadał stary drwal Andrzejowi Sulejowi, przyrodnikowi i obrońcy Puszczy Boreckiej, w której żyje całe swoje życie, kiedyś, gdy drwalowi zwalającemu olbrzymi świerk w środku lasu zdarzyło się uszkodzić jakieś małe drzewko, zwierchnicy potrafili pozbawić go premii czy trzynastki. Jeden harwester niszczy tysiące takich drzewek i krzewów, demokuje poszycie. A jego dyspozytor i operator dostają premie.

Dobłą robotę wykonują w lesie bobry. Prowadzą gospodarkę wodną tak, jak nie potrafi prowadzić – albo częściej nie chce – człowiek ze swoimi instytucjami. Bobry, budując tamy, spiętrzając wodę, zalewając polacie lasu, ratują całe ich obszary przed

wyschnięciem. Zatrzymują i gromadzą wodę. Inaczej niż człowiek harwesterowy. Bobry w wodzie są całkowicie bezpieczne, nie mają tam naturalnych wrogów, swoje potrzeby załatwiają wyłącznie w wodzie (w hodowli trzeba je wpuszczać każdego dnia choćby do miski – inaczej nie są w stanie się wypróżnić). Bobry są mistrzami inżynierii leśno-wodnej. Nienawidzą ich leśnicy, drogowcy, rolnicy. Wilki nie nienawidzą bobrów, przepadają wręcz za nimi, czyli, uściślając, za ich mięsem. W ostatnich latach bobry stanowią znaczący procent diety polskich wilków. Na lądzie, na który w trakcie swoich prac muszą wychodzić, są wobec wilków bezbronne.

Na drodze przez środek Puszczy Boreckiej znaleźliśmy odchody wilka. Bardzo sierściaste. Pogrzebawszy patykami, odsłaniliśmy pod warstwą zszarzałej sierści taką barwną, brązowo-rudą, po prostu bobrzą. Pod spodem resztki kostek i – co bezspornie dowodziło, że posiłkiem wilka był bóbr – niestrawione drobiny łusek z bobrego ogona. Wilk i bóbr pospolu nie cieszą się sympatią leśników i myśliwych. Ale ich życie, cele, śmierci są dla nas jawne. Bobry budują i „naprawiają, chronią” las. Unikają wilków, ale niekiedy padają ich ofiarą. Wilki w lesie robią swoją robotę, nie potrzebują pomocy myśliwych.

Co ma do tego Michał Dworczyk? Bezpośrednio nic albo na razie nic. Dworczyk, co wiemy z jego ujawnianych mejli, jest kimś w rodzaju urzędowego harwestera, niszczy, nie bacząc na koszt zniszczeń, nasze wspólne dobro. Jest bardzo sprawny, pozbawiony skrupułów, robi swoje. Jest jak zaprogramowany operator harwestera, nie tkankę reguł państwa i jego instytucji w interesie swojej formacji politycznej. Mam zresztą podejrzenie, że to akurat przypadek, iż robi to dla PiS; równie sprawnie dogadywałby się z inną ekipą partyjną. Kiedy patrzę na bobry, wilki i Dworczyka, to wiem, że bobry i wilki, chociaż unikają naszego wzroku, nie mają nic do ukrycia. Istotą działalności takich polityków jak Michał Dworczyk, Mateusz Morawiecki, Julia Przyłębska, Jarosław Kaczyński i tysiące innych, rządowych i samorządowych, jest zaś nietransparentność jako reguła działania. Bobry i wilki, mimo że się kryją, nie łamią żadnych praw. Każdy ujawniony mejl Dworczyka jest niemal dowodem na gwałcenie reguł formalnych i niepisanych, zasad jasnego i uczciwego rządzenia państwem, co takim jak on urzędnikom powierzyliśmy.

Bobry za swoją godną podziwu działalność nie dostają nagród, często ryzykują życie. Czy Dworczyk et consortes poniosą jakąkolwiek odpowiedzialność? Śmiem wątpić. Nie są bobrami, choć lubią być niewidoczni. Na wilki też przychodzi kres.

Ile pożytku z analizy kupy jednego wilka? Nie wiem.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Rozmowa to moje paliwo

Agresja wobec ludzi kultury jest niewiarygodna. Ostatnie lata zaowocowały demonstracyjnym nieszanowaniem kultury

Rozmawia
Beata Dżon-Ozimek

I jak nie zacząć przy Andrzeju Pągowskim od koloru!

– Kolor ma znaczenie, ja zdecydowanie wolę kolory ciepłe. Był taki moment, że moim znakiem rozpoznawczym były czerwone spodnie, czerwone buty, ale to było wtedy, kiedy panowie w Polsce na kolorowe spodnie patrzyli spode łba i nie mieli odwagi. Nagle zaczęli nosić czerwone spodnie i wtedy przeszedłem na żółty. To kolor pomaga mi lepiej się czuć, wierzę, że trochę leczy, coś kolorowego daje energię. Nie mam garnituru, spodni z kancikiem, drapią mnie. Ale bywa, że zaczynam z tym źle się czuć, bo szanuję dress code, mam coraz więcej imprez wymagających garnituru, chociaż słyszę, że mnie wypada mieć czarny T-shirt i sportową czarną marynarkę.

Zawsze byłeś taki kolorowy, zadbany?

– Zawsze byłem kolorowy, czysto ubrany, pachnący, umyty i uczesany. Moja mama mi to wpoiliła. Pamiętam, jak jechaliśmy na kolonie, u nas w domu się nie przelewało, miałem białe spodnie i białe tenisówki. Jak je mama zobaczyła, powiedziała: synku, nie możesz jechać w takich tenisówkach, i wybieliła mi je pastą do zębów. Żona mojego profesora Waldemara Świerzego po latach powiedziała, że kiedyś jej mąż przyznał, że lubi mi robić korekty, bo ładnie pachnę. W jednym z wydawnictw sekretarka zapowiadała mnie pani dyrektor: ten pan z ładnym zapachem. Ja lubię takie rzeczy; jak widzisz, mam biżuterię, zawsze zazdrościłem kobietom kremów, kosmetyczki, nagle się



ANDRZEJ PĄGOWSKI

– grafik i plakacista

okazało, że są męskie salony, męskie kosmetyki, ale u mnie to się zaczęło bardzo wcześniej.

Pągowski herbu Pobóg.

– Tak, tata pochodził spod Poznania, z miejscowości Gołuch, gdzie teraz są tereny popegeerowskie, a kiedyś był majątek ojca. Bardzo tę pamięć kultywował, mnie to jakoś ominęło i kompletnie nie miało znaczenia, ale dla wielu osób z mojej rodziny ma. Może gdybym był z królewskiej rodziny, tobym to przeżywał. Na pewno dzięki temu, że ojciec był z takiej rodziny, kultywowało się tradycję, kulturę, czytało się, rozmawiało nie o dupie Maryni, ale o rzeczach ważnych. Tata od powrotu z obozu jenieckiego do czasów Gierka był strasznie gnębiony, dlatego tak go szanował, bo w tym czasie wrócił do zawodu, był radcą prawnym w PZU. Wcześniej jeździł

po Polsce i ewidencjonował szkody, łatwo nie było. Nigdy w życiu nie przeczytałem Trylogii – tata mi przeczytał. Do dziś pamiętam „Panie Wołodyjowski, larum grają!”, a my siedzieliśmy pod kołdrą przestraszeni, bo czytał tak, że skóra cierpła. Wiedzieliśmy, kto to Prus, Mickiewicz, Sienkiewicz, kto to Chopin. Ojciec był fanem sportowego, zdrowego trybu życia, szerokie bary i niski wzrost zawdzięczam jemu, bardzo wcześnie zapisał mnie do klubu sportowego. Chłopakowi, który ma 10-12 lat i podnosi ciężary, bary może urosną, ale nogi będzie miał krótkie (śmiesz).

Oglądaliście razem filmy?

– Pierwszy film widziałem z ojcem, to było „Rio Bravo”, męski film. Wychowałem się na Mokotowie, tam było kino garnizonowe, wyświetlano kreskówki Disneya, pamiętam też pierwszy film Beatlesów „Hard Day’s Night”. W tym kinie była scena i ekran, myśmy leżeli na scenie i patrzyli. Obok w klubie oficerskim, bo wokół były zabudowania garnizonowe, powstał DKF. Bardzo szybko jako dzieciaki wsiąkliśmy w oglądanie filmów, i to w filmy ambitne, nowa fala francuska, włoskie filmy, Bergman, oglądaliśmy z wypiekami. Wspaniałe dyskusje po filmach, prowadzący w mundurze potrafił nas wciągnąć, zaangażować. Może miłość, wyczuwanie filmu, to, że łatwo mi się wchodzi w plakat filmowy, zakiełkowały wtedy właśnie.

Czy wówczas zwracałeś uwagę na plakaty filmowe?

– Plakat zauważyłem bardzo wcześnie jako coś kolorowego, co bym chciał mieć. Koło mnie na rogu Racławickiej i Niepodległości był słup, między godz. 9 a 11 zjawiał się pan, który rozklejał plakaty.

Pamiętam dokładnie, to był plakat mojego profesora Waldemara Świerzego, „Budowniczy Solness”. Poprosiłem o niego, a pan mi na to: „A na piwko koleżka da?”. I zorientowałem się, że za 5 zł mogę mieć plakat i już później z tą pięciopięciową czekam. Zdobywałem plakaty Świerzego, Starowieyskiego, nie szanowałem ich specjalnie, ponieważ jeśli mi się podarły, naklejałem drugi, bardzo żałuję, dzisiaj niektóre byłyby bardzo cenne. Tu, na festiwalu, rozmawiamy o przeżywaniu, inspiracjach, myślę, że mnie jest o wiele łatwiej wyszukiwać pomysły, mając tak wielki bagaż doświadczeń, niż jak miałem dwadzieścia kilka lat.

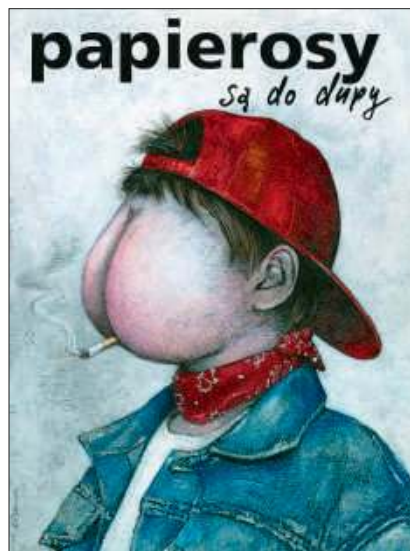
Twoje najbardziej zaskakujące zamówienie.

– Końcówka studiów, do pracowni malarskiej przyszła pani z sekretariatu, że jest do mnie telefon z Komitetu Centralnego, w latach 70. taki telefon paraliżował całą instytucję. Studiowałem w Poznaniu, nie było pytania, czy mogę, ale że mam się stawić w wydziale kultury, jutro. Wcześniej byłem na praktyce w Krajowej Agencji Wydawniczej, która dawała pracę, dostałem bardzo dobrą opinię, być może dlatego zwrócili się do mnie, ale nigdy tego nie rozszyfrowałem. Koledzy mnie pouczali: pamiętaj, jak coś będziesz podpisywał, czytaj, uważaj, wiadomo, jak to wyglądało.

Było czego się obawiać?

– „Panie Andrzeju”, żadnego towarzysza, miły człowiek mówi, że zanim zaczniemy rozmowę, to... i wyciąga z szuflady papiery. No, zaczyna się. Nie było słowa, że mam donosić na kolegów, tylko że zobowiązuję się dotrzymać tajemnicy państwowej pod wymienionymi rygorami. To podpisałem. A on mówi: „Mamy taką sprawę, wysyłamy Polaka w kos-

mos”. „Boże, czemu ja?”, pytam. Zaczął się śmiać: „Hermaszewski, nie pan”. Byłem totalnym debiutantem, ale miałem kilkanaście, może więcej plakatów na koncie. Nikt nie wiedział, skąd ten Pągowski się wziął, ale byli przekonani, że plakat Hermaszewskiego musi robić wybitny gwiazdor



polskiej szkoły plakatu, a tu młody chłopak z wąsami. To było rok przed jego lotem, zlecenie było dosyć dziwne, bo zrobiłem plakaty z trzema oddzielnymi kosmonautami. Pamiętam drukarnię na Żeraniu, każdy po 70 tys. nakładu, pamiętam te stopy, a potem był już tylko Hermaszewski. Po co były tamte pozostałe?

Przecież nie leciał sam!

– Potem był telefon z ambasady radzieckiej, że mają duże pretensje, bo towarzysz Klimuk leciał z Hermaszewskim, prosili, bym zrobił i jemu plakat. A plakat był tak skonstruowany, że w miejscu twarzy miałem dziurę i podkładałem te trzy buźki,

Cenzury jest pełno. Elementy żydowskie – nie, związane z Kościołem, z nagością – nie. Co się stało?

oni patrzyli do przodu. Dali mi zdjęcie Klimuka z jakiegoś dokumentu i w tym hełmofonie miał głowę lekko skrzywioną, co było dosyć żałosne. Ten plakat osiąga dziś kosmiczne sumy, właściwie go nie ma. Pamiętam wydrukowany, ale nigdy więcej go nie widziałem.

Twoje plakaty filmowe pojawiają się w filmach.

– Jeszcze kilka lat temu obecność np. plakatów w filmie nie była kontrolowalna, nie przestrzegano praw autorskich, ale teraz dostaję zapytanie i kupuję prawa. Do filmu „Killing Eve” HBO kupiło trzy plakaty, zanim film się pokazał. Ludzie pytają mnie w mediach społecznościowych, czy wiem, że moje plakaty są w filmie. Jeden z moich przyjaciół mówi, że to mój największy sukces, bo to Ameryka. Ludzie zbierający informacje dla scenarzystów, reżyserów, scenografów docierają do hasła „polska szkoła plakatu”, która na Zachodzie jest bardziej szanowana niż w Polsce, czyli jeżeli bohater jest z Polski, powinien mieć na ścianie plakat. Ilu jest twórców plakatów? Setki. To wielki sukces, bo ten, kto robi kwerendę i znajduje: Polak, polska szkoła plakatu, wybiera plakat Pągowskiego ▶

Andrzej Pągowski – rocznik 1953; absolwent PWSSP w Poznaniu (Wydział Plakatu, dyplom u prof. Waldemara Świerzego). Autor ok. 2 tys. plakatów filmowych, teatralnych, wydanych w Polsce i za granicą, m.in. do filmów Andrzeja Wajdy i Krzysztofa Kieślowskiego. Twórca ilustracji książkowych, prasowych, okładek płyt, scenografii teatralnych i telewizyjnych oraz murali. Aktualnie prezentuje projekt „Wajda na nowo”, nowe wersje plakatów do 60 filmów reżysera, niedawno do zobaczenia w Koninie podczas 68. Ogólnopolskiego Konkursu Filmów Amatorskich OKFA.

► jako najbardziej reprezentatywny. Ale może pokazali je dlatego, że to plakaty filmów znanych w Stanach, „Pracująca dziewczyna”, „Po godzinach”, trzeciego nie pamiętam, gdyby im pokazali „Konopielkę” czy nawet „Człowieka z żelaza”, to raczej nic by nie mówiło.

Zabierasz głos w kampaniach społecznych, tu dochodzi też twoja sprawność językowa.

– Kiedyś usłyszałem: „Pan się pięknie bawi mową polską, chce się pana słuchać”; zacząłem się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje. Lubię rozmawiać z ludźmi, a wychowałem się na tekstach Osieckiej, Młynarskiego, Kabaretu Starszych Panów, pisałem wiersze, opowiadania. Jeśli czujesz chemię ze słowem, to zaczynasz tego słowa używać. Hasła „Papierosy są do dupy” nie wymyśli facet, który nie kojarzy, jak to zrobić. Podobnie billboardu z hasłem „Służ do grania, nie do zabijania”, który uważam za swój największy sukces społeczny. Mało kto wie, że mam zasługę w tym, że dziś w Polsce nie można kupić kija bejsbolowego. Ta akcja i to hasło spowodowały dyskusję w parlamencie i zakaz sprzedaży kijów bejsbolowych, bo kiedyś można było wejść do sklepu, kupić go i na ulicy kogoś zabić, jak studenta w Chorzowie.

Dzisiaj cenzura jest kalkulacją, bo klient płaci za to, co jest dla niego bezpieczne.

A jak u ciebie z autocenzurą?

Była, bywa, jest?

– Jest teraz (śmiech). Właściwie to nie autocenzura, ale szacunek dla własnego czasu. Gdy była cenzura peerelowska, robiłem wszystko, żeby sobie z nią pograć. Jak mi zatrzymywali plakat, jak w przypadku „Misia”, „Imperium namiętności” czy „Kung-fu”, spodziewałem się takich konsekwencji. W przypadku „Misia” się udało, w „Imperium” zakryłem jedną pierś i poszło, dla „Kung-fu” zrobiłem nowy plakat. Teraz szkoda mi czasu na coś, co wiem, że zostanie odrzucone, bo jest gigantyczna cenzura. Śmieję się, że pomnik na

Mysiej na cześć śmierci cenzury w Polsce jest idiotyczny, bo jest jej pełno. To już nie jest cenzura instytucjonalna, ale np. słyszę: „Panie Andrzeju, już my pana znamy”, no więc elementy żydowskie – nie, związane z Kościołem, z nagością – nie. Co się stało?

No właśnie, co?

– Moje plakaty: „Mąż i żona” – pośladki, „Damy i huzary” – łono kobiece, „Łuk Erosa” – gigantyczny penis, „Imperium namiętności” – piersi kobiece, „Tabu” – łono kobiece, „Konopielka” – goły biust itd., wisiały na mieście, nikomu nie przeszkadzało, nie wywoływały obrazy społeczeństwa. Do tej cenzury dochodzą sytuacje, skojarzenia, na które bym nie wpadł. Robię butelkę, ważną w pewnym kontekście, a ktoś widzi alkoholizm, nie patrzy na konotację, rzuca swoje skojarzenie, to są najgorsze sytuacje. Zawsze uważam, że w sztuce, kulturze nie powinno być demokracji. Artysta jest predestynowany do tego, by coś głosić, nikt nie powinien wpływać na jego sztukę. Dziś to jest nagminne. Cenzura jest dzisiaj duża i o wiele silniejsza niż kiedyś, kiedyś była pretekstem, a dzisiaj jest kalkulacją, bo klient płaci za to, co jest dla niego bezpieczne.

Mówisz, że jesteś człowiekiem do wynajęcia.

– W tej roli wiem, jakie są moje obowiązki i czego się ode mnie żąda, Krzysiu Kieślowski mówił: „Możesz zaszkodzić lub pomóc”, mam świadomość, jestem odpowiedzialny, nigdy nie chcę zaszkodzić. W PRL chciałem zdenerwować cenzurę, ale nie chcę wyrządzać krzywdy swoim plakatem, aby komus nie sprzedał się film czy spektakl, powstały głupie skojarzenia, ale to jest moja decyzja. Plakatem na ulicy mogę niechcący komuś nadepnąć na odcisk, kogoś obrazić. Goły biust na plakacie może zobaczyć matka z małym dzieckiem, no dobrze, ale z drugiej strony w telewizji mamy suche pochwy, łupież, hemoroidy i potencję. To duża rola szkoły, dyskusji w domu, nagość nie powinna być tabu. Moja sztuka jest, jaka jest, ale dzisiaj coraz częściej zaczynam myśleć, że może te sutki kogoś obrażać, choć czasami mnie kusi...

Może się gubimy w różnych wymiarach wolności?

– To narastało, odkąd ludzie poculi, że mogą się wypowiadać, mają wolność wyboru, od momentu tzw. demokracji. Powiedzenie Jandzie „wyp...” jest dla mnie nie do przyjęcia, agresja wobec ludzi kultury jest niewiarygodna. Można się nie zgadzać z Jandą, można jej nie szanować, ale nie wolno tak mówić, nie ma wolności słowa w tym przypadku. Bo gdyby zabiła kogoś, byłaby

Artysta jest predestynowany, by coś głosić, nikt nie powinien wpływać na jego sztukę.

rozliczana z przestępstwa, ale ludzie nie szanują kultury, ponieważ ostatnie lata zaowocowały demonstracyjnym nieszanowaniem kultury. Im bardziej autorytety są poniżane i atakowane, tym łatwiej jest społeczeństwo obrażać, ale społeczeństwo w swej masie nie musi sobie zdawać sprawy z tego, że ten, kto te autorytety atakuje, robi to w konkretnym celu, zwykle ze strony politycznej. Jak masz autorytet, to go słuchasz, wyznacza ci kierunki, sposoby myślenia. Nie można żyć bez autorytetów.

Dostawałeś zlecenia polityczne?

– Tak, i odmawiałem. Kiedyś zasugerowano mi, bym nie odmawiał, chodziło o plakat na święto „Trybuny Ludu”. Rozmawiałem ze swoim profesorem, kiedyś też musiał zrobić plakat na święto 1 Maja, Starowieyski zrobił Lenina. Pojechałem do drukarni na Woli, tam drukowano „Trybunę”, zobaczyłem ramę pełną złożonych liter, puste miejsca z płytami zdjęć, fajna ta rama zecerska, pomyślałem, położę trzy goździki i sfotografuję to. Zrobiłem zdjęcie, projekt plakatu spodobał się i poszedł do cenzury. I totalna afeta! Katafalk dla przewodniczącego KC! A ja nie zauważyłem, że na zdjęciu jest Gierek i towarzysze, głowa Gierka wystawała znad goździka. Plakatu nie wydrukowano, ja miałem już zakaz w KAW. Dostałem propozycję stworzenia plakatu dla

polskiej armii. Miałem duży problem z tym, by namawiać młodych ludzi do wstępowania do wojska. Zastanawiałem się, ale uznałem, że są młodzi ludzie, którzy marzą o wojsku. W czasach stabilnych to fajna fucha, a dzisiaj pewnie boją się wojny.

Polityka cię nie dogoniła?

– Mechanizmy się powtarzają, polityka mnie mierzi, nie jest uczciwa, zawsze ma jakiś interes. Mam wielu przyjaciół polityków, ale ani oni ode mnie niczego nie chcą, ani ja od nich. Robiłem drugą kampanię prezydencką Aleksandrowi Kwaśniewskiemu, bo uważałem, że pierwszą kadencję miał genialną. Znam go od czasów „itd” jako młodego, bardzo inteligentnego działacza, przyjaźniliśmy się. Nigdy do niego nie mówiłem „Olku” za jego prezydentury, nigdy niczego nie zyskałem, nie chciałem, może dlatego ta znajomość przetrwała. We wszelkich badaniach ta para prezydencka jest najwyżej oceniana, daleko przed innymi.

Gdybyś miał zrobić komentarz do dzisiejszej sytuacji politycznej, sytuacji kobiet w Polsce?

– Jestem wielkim orędownikiem kobiet i większość kobiet, które mnie znają, przyjaźnią się ze mną, wie o tym. Śmieję się, że mam jakiś pierwiastek kobiecy, bo płaczę w kinie, noszę biżuterię, chodzę do kosmetyczek. Mam mało przyjaciół facetów, nie kręcą mnie Formuła 1, mecze ligi, z kobietami ciekawiej się rozmawia. Często, zwłaszcza ostatnio, mówię, że kobiety powinny przejąć władzę, bo żadna matka nie wyśle syna na wojnę, a ojcowie tak, mój chyba też nie miałby większego problemu, by powiedzieć w razie konfliktu: „Synu, bierzemy broń i idziemy”. Niestety, mój ojciec polował i strzelał do zwierzaków, lubił to, ja nie mam tego w sobie. Kobiety są dla mnie bardzo ważne.

Są bohaterkami twojej twórczości.

– Bardzo często „wykorzystuję” kobiety w swojej pracy, pojęcie „kobieta” jest bardzo pojemne – matka, piękność, kochanka, żona, córka, w facetach też jest wiele, ale to mniej poetyckie. Gdy zaczęła się wojna w Ukrainie, moja grafika



przedstawiała kobietę, widziałem te kobiety z dziećmi uciekające, przerażone. Kobieta jest bardzo ważna, zaczęliśmy rozmowę od mamy, która mi czyściła tenisówki pastą do zębów; wrażliwość, czystość, zamiłowanie do pięknych rzeczy zawdzięczam mamie. Za wcześniej zmarła, na pewno tu miałem problem. Kobiety mają przechlapane, ciąża, menstruacja, poniżanie, seksizm, lęk przed starzeniem się, ośmieszanie się tymi strasznymi ustami, policzkami to walka o to, żebyś mnie, facecie, nie zostawił. Widzę te sytuacje, a jak trzeba, to natychmiast wchodzę we wspieranie kobiet i ich praw.

Pracę kocham, ale nigdy jej nie wydzieram, to ona do mnie przychodzi.

A czy ktoś zamawiał nagrobek u Pągowskiego?

– Oczywiście! Dwa razy! Pierwszy – Maria Fołtyn. Niezrealizowany z różnych względów. A drugi – Jerzy Iwaszkiewicz, ukochany redaktor, chyba dla mamy; dał mi zupełnie wolną rękę. Rozrysowałem, a Jerzy, wyjątkowo czuły i miły facet, mówił, że kamieniarz krzyknął: „Wow, Pągowski!”. Nie wierzę w to, ale to miłe.

Cały czas coś robisz, choćby teraz ta wystawa „Wajda na nowo”, z którą się przemierzasz, ludzie się do ciebie garną.

– Ja nigdy nie popycham losu, jestem pazerny na pracę w tym sensie, że ją kocham, ale nigdy jej nie wydzieram, to ona do mnie przychodzi. Nawet ta sytuacja ze Smarzowskim i Bareją, zrobili tyle filmów, a mnie się trafiły „Miś” i „Kler”. Jeśli mogę marzyć, bo z tym zaczynają być kłopoty, to żeby jak najdłużej starczyło sił, zdrowia, chęć będzie zawsze. Jak zaczynają się najpiękniejsze miesiące słoneczne, wychodzę z samotni do ludzi, bo bardzo lubię rozmawiać i to jest moje paliwo.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl



Bożena M. Dołęgowska-Wysocka, założycielka Domowego Muzeum Wolnomularstwa.



MASOŃSKIE MUZEUM

Rozmawia Jerzy Domański

W Warszawie, na Nowym Świecie, założyła pani prywatne masońskie muzeum. Czy to normalne, zakładać we własnym mieszkaniu muzeum? I to masońskie?

– To prawda, dosyć to niecodzienne, ale od dawna goście, którzy do mnie przychodzili, rzucali, nieraz z przekąsem: „Ty mieszkasz jak w muzeum”. W końcu, gdy upłynęły równo trzy lata od śmierci mojego męża, znanego polskiego wolnomularza, brata Adama W. Wysockiego, pomyślałam: a dlaczego by nie? W każdym zakątku naszego mieszkania, w szafach, szufladach, pawlaczach, na półkach pochowane są masońskie utensylia, gazety, pisma, druki. Może – układałam sobie w głowie – pokazać co ważniejsze, ułożyć we właściwej kolejności, by nie zagubić lat pracy mojego męża – pomysłodawcy „Wolnomularza Polskiego”, który wydawaliśmy razem przez ćwierć wieku. Wspierały mnie w tym dziele nasza córka Aleksandra oraz siostry z mojej łóży. Co ważne, wspierali członkowie stowarzyszenia Instytut Sztuka Królewska w Polsce na czele z jego prezesem, bratem prof. Tadeuszem Cegielskim, naszym przyjacielem.

Co ciekawego dla przeciętnego zjadacza chleba jest w Domowym Muzeum Wolnomularstwa im. Adama W. Wysockiego?

– Myślę, że wszystkie utensylia, fartuszki, szarfy, odznaki masońskie, których Adam używał od momentu, gdy 30 lat temu (w 1992 r.) został uczniem, po sotuar najwyższego, 33. stopnia Rytu Szkockiego Dawnego i Uznanego – Suwerennego Wielkiego Inspektora Generalnego, który otrzymał niedługo przed śmiercią, w październiku 2018 r. W gablotach pokazane są poza tym egzemplarze „Wolnomularza Polskiego”, którego numer sygnałny ukazał się w 1993 r. i wywołał międzynarodową awanturę. Obawiano się, że takie pismo może ujawniać masońskie tajemnice i mieszać się do bieżącej polityki, czego masoni w Polsce unikali jak ognia. O kulisach tych sporów, które doszły do Paryża i podzieliły braci, mówię podczas oprowadzania. Przy okazji opowiadam także o historii rodziny mojego męża poprzez obrazy – od św. Jacka Odrowąża, protoplasty rodu, czy gen. Józefa Wysockiego, jednego z adiutantów gen. Józefa Bema w powstaniu węgierskim 1848 r. (Wiosna Ludów), po jego ojca Klemensa Wysockiego, legionistę II Brygady, odznaczonego Krzyżem

Kaniowskim i orderem Virtuti Militari, z którym dzielą grób na Powązkach Wojskowych.

Czy do muzeum można zajrzeć, choćby spacerując po Nowym Świecie?

– Nie, to nie jest placówka ogólnie otwarta. Odwiedzają mnie goście, którzy wcześniej ze mną się umówią – siostry i bracia z różnych łóz polskich, choć miałam już wizyty z łóz francuskich, niemieckich i belgijskich. Pokazuję pamiątki także sympatykom Sztuki Królewskiej, zainteresowanym wstąpieniem do wolnomularstwa. Niektórym trochę pomagam, by stosowne podanie wystali pod właściwy adres... Jestem w wolnomularstwie od prawie 30 lat i tych znajomości trochę się nabrało. Tutaj spotykamy się także w ramach Instytutu Sztuka Królewska w Polsce, choćby ostatnio, z okazji nowego wydania książki byłego Wielkiego Mistrza Wielkiego Wschodu Polski, brata prof. Andrzeja Nowickiego, „Filozofia masonerii”.

A gdyby któryś z naszych czytelników chciał odwiedzić pani muzeum?

– Nie ma sprawy. Oto mój mejl: bozena.wysocka@gu.com.pl. Można napisać do mnie, wymienić telefony, porozmawiać o masońskich „spiskach”, także przy kawie czy herbacie.



Pokój „portretowy”.



Fragment ekspozycji z fartuszkim mistrzowskim i legitymacją brata Adama W. Wysockiego.



Okładka ostatniego „Wolnomularza Polskiego”, jesień 2018 r.



Białe i czarne kule do tajnych głosowań.



Sotuar najwyższego, 33. stopnia Rytu Szkockiego Dawnego i Uznanego – Suwerennego Wielkiego Inspektora Generalnego.

FOT. KRZYSZTOF ZUCZOWSKI

Słuchaj, dziewczeczko

Bohaterka ballady Mickiewicza „Roman-tyczność” jest główną postacią nowej opery Zygmunta Krauzego „Noc kruków”. Autorka libretta i reżyser przenoszą akcję w czasy współczesne, ale nie wojenne, jak w parafrазie wiersza dokonanej przez Władysława Broniewskiego. Tutaj Jaśko, kochanek dziewczeczki, był motocyklistą i zginął zapewne w wypadku, a ona tęskni. Pojawiają się też inne ofiary, formalnie z poezji wieszczą, ale wizualnie z filmowych horrorów.

Bronisław Tumilowicz

Zygmunt Krauze, „Noc kruków”, tekst Małgorzata Sikorska-Miszcuk, reżyseria Waldemar Raźniak, dyrygent Dawid Runtz, Polska Opera Królewska, premiera 2 lipca 2022



Nic nie wiem na pewno

Utwór Andrew Bovella (ur. 1962), australijskiego dramaturga osiadłego w odległej Adelajdzie, należy do tzw. dramaturgii środka. Nie obiecuje wielkich odkryć egzystencjalnych czy filozoficznych. Bovell, wykorzystujący w sztuce własne wspomnienia, doświadczenia syna i rodzica, którego dzieci wyfrunęły z gniazda, dba o zbudowanie świata wyzistych relacji, które podlegają zakłóceniom pod presją silnych emocji. Zakotwiczone w pragnieniach, marzeniach i zaniechaniach znanych każdemu człowiekowi tworzą wybuchową mieszkankę. Może dlatego tak bliski widzom staje się ten dramat, przypominający samo życie.

W wystawienie tej sztuki wpisane jest ogromne ryzyko banału i nudnego naśladowania codzienności. Ale w przedstawieniu Iwony Kempy, która przyzwyczała publiczność do tego, że pracuje z tekstami zaczepnymi, drapieżnymi, ostrymi jak brzytwa, nic takiego nie następuje. Tekst, który tym razem



KURTyna W GÓRĘ

wzięta na warsztat, jest wprawdzie demonstracyjnie werystyczny, lecz udało się jej stworzyć obraz udręki życia, będącej udziałem właściwie wszystkich bohaterów sztuki, choć przede wszystkim Matki (kreacja Agaty Kuleszy). To ona dźwiga ciężar kłopotów i niedomagań rodzinnych.

Obraz spokojnej, prowincjonalnej rodziny w tym spektaklu wygląda jak teren zaminowany, po którym niezwykle trudno się poruszać, bo każdy krok grozi katastrofą. Udało się to reżyserce i całej obsadzie przekazać na wysokich obrotach emocjonalnych, dowodząc, że tradycyjne środki ekspresji wciąż mogą być użyteczne w teatrze. Publiczność to docenia, śledząc wydarzenia w skupieniu i poddając się emocjom. Prawie każdy ma jakieś niezapłacone rachunki emocjonalne w stosunkach z rodzicami albo dziećmi.

Tomasz Miłkowski

Andrew Bovell, „To wiem na pewno”, tłumaczenie Rubi Birden, reżyseria Iwona Kempa, Scena 20 Teatru Ateneum, premiera 24 maja 2022

28. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Heavy Metal Sextet – 40th anniversary summer tour 2022

Utytułowany, reaktywowany w 2010 r. zespół jazzowy o przewrotnej nazwie wystąpi na festiwalu w ramach letniego tournée. Obecnie HMS tworzą Mariusz Bogdanowicz (kontrabas), Janusz Kowalski (saksofon), Mirosław Sitkowski (perkusja) oraz muzycy młodszego pokolenia: Dominik Mietła (trąbka), Marcin Ślusarczyk (saksofon) i Tomasz Białowolski (instrumenty klawiszowe). Początkowo zespół sięgał do tradycji hardbopowej, po pewnym czasie rozszerzył stylistykę o wpływ fusion; do utworów ery „Kind of Blue” dołączył własne kompozycje. Janusz Kowalski jest absolwentem Berklee College of Music i mieszka w Bostonie, pozostali „heavymetalowcy” działają w Polsce. Więcej na: www.jazznastarowce.pl.

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 23 LIPCA, GODZ. 19

(ap)



Rozmawia
Przemysław Staciwa

Na Wimbledonie dominuje technika

Iga nie zdążyła się jeszcze zakolegować z trawą

Był pan przez pierwszy tydzień Wimbledonu w Londynie, śledził pan rozgrywki na kortach All England Lawn Tennis and Croquet Club. Jaki w tym roku był ten turniej z bliska?

– Uwielbiam Wimbledon. W tym roku nie towarzyszyłem jako trener konkretnemu zawodnikowi, tylko z ramienia Polskiego Związku Tenisowego miałem umówionych kilka spotkań biznesowych, które przy tej okazji są normą. Myślę, że niebawem poznamy efekty tych spotkań.

Zdradzmy coś więcej.

– Wkrótce zostanie podana informacja o nawiązaniu przez związek współpracy z jedną z największych firm menedżerskich na świecie. Poszerzy to jego współpracę z międzynarodowymi partnerami. Zaowocuje to m.in. tym, że słynna akademia Nicka Bollettieriego na Florydzie będzie w pewnych momentach udostępniana polskim zawodnikom za darmo. Jeśli na horyzoncie pojawi się ktoś młody, perspektywiczny, kontrakt zapewni mu prawidłową opiekę menedżerską, 12-, 14-letni mistrzowie Polski będą mogli pojechać na staże do USA, chodzi o wiele tego typu aspektów.

Czekamy zatem na dobre wiadomości. Wracając zaś do Wimbledonu – w tym roku najstarszy i najbardziej prestiżowy turniej zdecydował się przyłączyć do sankcji wobec Rosji i wykluczył z rozgrywek rosyjskich zawodników. Nie obyło się jednak bez zamieszania.

– Tak, moim zdaniem klub podjął bardzo słuszną decyzję, wykluczając rosyjskich tenisistów z turnieju. To bywa trudne i niesprawiedliwe, ale bardziej niesprawiedliwe jest to, że Ukraińcy nie mają gdzie trenować, że na ich domy spadają bomby, że umierają dzieci. Jednocześnie fatalnie zareagowały ITF (International Tennis Federation) i ATP (Association of Tennis Professionals), pozbawiając Wimbledon punktów i czyniąc go turniejem, w którym w tym sezonie gra

się o prestiż i pieniądze, a nie o miejsca rankingowe. Kompromitujące.

Prowadził pan rosyjskie zawodniczki, mówi pan biegle po rosyjsku, ma kontakty z tamtejszymi sportowcami i szkoleniowcami. Co w kulisach mówią o wojnie w Ukrainie? Bywają krytyczni wobec własnego państwa?

– Na pewno nie wszyscy są putinowscy, zdarzało mi się w prywatnych rozmowach słyszeć głosy jednoznacznie krytyczne wobec rosyjskiej inwazji. Jednak zdecydowana



TOMASZ IWAŃSKI

– główny trener Polskiego Związku Tenisowego

większość prezentuje poglądy bardzo antyukraińskie. Wielu zawodników rosyjskich – nie tylko z powodów osobistych, np. z obawy przed represjonowaniem rodziny – nie zajmuje jednoznacznego stanowiska antywojennego. Duża ich część celowo wkłada narodowe dresy z wielkimi napisami „Rosja”, ostentacyjnie kłócą się na turniejach z przedstawicielami innych nacji. Oni mają w genach propagandowe hasło „My, wielikaja Rossija”. I to jest straszne.

Jak zamieszanie z punktami na Wimbledonie wpłynie na ranking?

– To wprowadza ogromny chaos. Ale od początku. W teorii wszystkie turnieje wielkoszlemowe są własnością ITF, a ich organizacją zajmują się federacje krajowe podlegające prawu ITF. Wimbledon natomiast jest prywatnym klubem. Udostępnia bazę do organizacji turnieju, którego właścicielem jest ITF, ale robi to na swoich zasadach. ITF może co najwyżej zabrać turniejowi punkty, a Londyn może im powiedzieć, za przeproszeniem, pocałujcie nas w tyłek, i tak zrobimy turniej. Tyle że w tym roku żaden z zawodników, którzy rok temu wystąpili na londyńskiej trawie, nie obroni swoich punktów. Za wygraną w Wielkim Szlemie dostaje się 2 tys. pkt. Novak Djoković, który wygrał turniej i w ubiegłym roku, i w tym, z pierwszego miejsca w rankingu spadnie na siódme. Paradoksalnie po tym turnieju na pozycję lidera rankingu wysforuje się... wykluczony Rosjanin, Daniil Miedwediew, który rok temu odpadł po meczu z Hubertem Hurkaczem. Sam turniej nie stracił na szczęście ani grama ze swojej atrakcyjności; świat na organizacja, mnóstwo ludzi, fantastyczne korty. Najlepszy turniej na świecie.

Ale i on powoli się zmienia. Kiedyś nie do pomyślenia było cieszenie się na nim z błędów przeciwnika, np. z podwójnego błędu serwisowego, nawet gdy grał faworyt publiczności, Brytyjczyk. Dziś takie sytuacje się pojawiają.

– Cały czas uważam, że Wimbledon jest najbardziej tradycyjnym turniejem, z najlepszą, najbardziej znającą się na dyscyplinie publicznością, która do tego jest najmniej ▶

► szowinistyczna, gdy występuje jej reprezentant. Nie zmienia to faktu, że na całym świecie widać przejawy szowinizmu i Londyn również nie jest od nich całkowicie wolny. Ale jeśli ten szowinizm jest najbardziej widoczny na paryskim Roland Garros, to Wimbledon znajduje się na przeciwległym biegunie. Nie dramatyzowałbym akurat w przypadku tego turnieju, ale rzeczywiście w ujęciu całościowym dyscyplina nieco traci.

Pieniądze też chyba nie pomagają. Po meczach, zamiast w kuluarach, wywiady zaczęto przeprowadzać na korcie. Zapewne ma to generować większe przychody, wzbudzać medialne zainteresowanie itd. Tyle że niszczy to inną piękną tradycję Wimbledonu – wspólne zejście z kortu obu zawodników.

– No i znów... Coraz częściej łąpię się na mówieniu jak mój świętej pamięci ojciec: „Za moich czasów tego nie było”. Wiem, że pewne rzeczy są już nieodwracalne, część tego, co odeszło, to już kwestie kompletnie niezrozumiałe dla młodego pokolenia. Inna sprawa, że tak po prostu

Natura grania Igi Świątek jest przeciwna do tego, co jest efektywne na trawie. Trawa to dominacja techniki nad siłą. Domeną Igi jest fizyczność.

jest, świat się zmienia, staje się inny. Czy zmienia się w dobrym kierunku? Filozoficzne pytanie.

Na Wimbledonie mieliśmy sporą grupę Polek i Polaków. Jak ich pan ocenia?

– Bardzo dobre występy juniorów. Olaf Pieczkowski w półfinale debła juniorskiego przegrał w tie-breaku 12-10, to był bardzo wyrównany pojedynek na wysokim poziomie. Trzecia runda Martyna Pawelskiego, także w juniorach, świetne występy Mai Chwalińskiej, Kasi Kawy czy Magdy Fręch. Generalnie dobrze zaprezentowali się zawodnicy, którzy nie byli do tej pory w świetle fleszy.

Fani tenisa w Polsce największe nadzieje wiązali naturalnie z Igą Świątek i Hubertem Hurkaczem.

– Gdy zobaczyłem drabinkę turniejową męskich rozgrywek, byłem przekonany, że wynik meczu Huberta z Alekandrem Davidovichem Fokina



będzie otwarty, szanse 50-50. Fokina naprawdę umie grać na trawie, dla Huberta jest zawodnikiem niewygodnym. To było dla niego bardzo złe losowanie jak na pierwszą rundę. Trudne zarówno mentalnie, jak i stricte tenisowo. Sam mecz był dziwny. Hubert powinien go przegrać w trzech setach, ale odwrócił losy spotkania i wtedy, idąc na fali, powinien domknąć wynik i wygrać. Tego nie zrobił. I tylko o ten moment można mieć do niego uwagi, myślę, że

on sam je ma pod swoim adresem. Natomiast ja w żadnym wypadku nie traktowałbym przegranej Polaka w kategorii niespodzianki.

Co do Igi Świątek... Większość ludzi myśli, że podstawą gry na trawie jest to, aby jak najmocniej uderzyć piłkę. Iga świetnie potrafi mocno uderzać, dlatego tak genialne są jej wyniki na ziemi i wolniejszych kortach twardych. Szybkie korty twarde już nie należą do jej ulubionych, a trawa jest w tym względzie jeszcze bardziej

specyficzna. O dobrej grze na trawie decydują dwie rzeczy: umiejętność lekkiego poruszania się po korcie, które daje stabilność w momencie wyprowadzania uderzenia, oraz uderzanie piłki w sposób generujący określony kozioł po drugiej stronie. Można to zdefiniować tak: nie mocno, lecz szybko i stosunkowo płasko z dodatkiem bocznej bądź wstecznej rotacji. Iga natomiast stosuje dużo top spina, czyli coś przeciwnego. Jej natura grania jest przeciwna do tego, co jest efektywne na trawie. Trawa to dominacja techniki nad siłą. Domeną Igi jest fizyczność.

Będzie mieć problem w przyszłości z tą nawierzchnią?

zauważyć, że np. Agnieszka Radwańska grała w erze, w której o genialny wynik było znacznie trudniej. Dziś, gdy mówimy o tenisistkach technicznych, nie sportsmenkach atletkach, bo Iga jest sportsmenką atletką, to jedyną kobietą, która spełnia moje standardy gry technicznej, jest Ons Jabeur, bo Ashleigh Barty już nie ma. Barty była kompletną zawodniczką. To smutne, że większość zawodniczek ma tak okrojoną bazę uderzeń, że z ich repertuarem nie da się zastosować każdego rodzaju taktyki pod danego zawodnika.

Głośnym echem odbiły się pana słowa krytyki pod adresem Naomi Osaki.

Problemem męskiego tenisa jest narcyzm młodszych zawodników.

– Jeśli uda się jej w następnych latach wykorzystać świetną fizyczność i wprowadzić zmiany w sposobie grania, to wtedy będzie szansa. Ale – dodajmy – jest to problematyczne, sezon na trawie trwa tylko cztery tygodnie i zawodnik musi zdecydować, czy tego typu zmiany opłacają mu się w kontekście całego sezonu. Iga wygrała juniorski Wimbledon, ale tenis juniorów diametralnie różni się od tenisa profesjonalistów. Ona jest bardzo młoda i nie zdążyła się jeszcze prawdziwie zakolegować z trawą.

Niemal dziesięć lat temu stawiał pan tezę, że generalnie młoda generacja zawodników ustępuje pod względem techniki i różnorodności gry poprzednim mistrzom pokroju Patricka Raftera, Stefana Edberga, Pete'a Samprasa, Lleytona Hewitta, Juana Carlosa Ferrera, których reprezentuje dziś jeszcze Roger Federer. Jeszcze gorzej oceniał pan tenis kobiecy. Czy coś się zmieniło w tej kwestii?

– Poziom tenisa kobiecego cały czas spada. To jest nieprawdopodobne. Iga Świątek ma 21 lat, w każdej erze kobiecego tenisa byłaby w ścisłej czołówce, czyli na miejscach między 1 a 15. Czy jednak dominowałyby dziś tak bardzo, bijąc rekord zwycięstw Williams, gdyby poziom był wyższy? Śmiem wątpić. Iga zasługuje na wielkie uznanie i chwała jej za wyniki. Trzeba jednak

– Nie mam problemu z tym, że ktoś może czuć się źle psychicznie – że jest apatyczny, że zjada go stres, tak samo jak nie mam problemu z tym, że ktoś zмага się z kontuzją. Mam za to problem z tym, że Naomi Osaka domaga się w związku ze swoimi kłopotami specjalnego traktowania – np., by wypraszać dziennikarzy z jej konferencji prasowych, ustawiać godziny jej pojedynków wedle jej widzimisię itd. Nie rozumiem tego i nie ma na to mojej zgody. Mam też problem z tym, że jeśli np. Kamil

Tomasz Iwański – trener i menedżer tenisa. Prowadził utalentowanych juniorów, m.in. Mariusza Fyrstenberga i Marcina Matkowskiego. Współpracował z polskimi tenisistkami Magdaleną Grzybowską i Karoliną Jagieniak. Prowadził byłą trzecią rakię kobiecego rankingu – Nadię Pietrową. Współpracował m.in. z Jarosławem Szwedową, Galiną Woskobojewą czy Olgą Sawczuk. Konsultant Federacji Kazachstanu w latach 2009-2010. W latach 1988-1994 reprezentował Polskę w Pucharze Davisa, gdy kapitanem był m.in. Wojciech Fibak. W 1991 r. wygrał halowe mistrzostwa Polski, zdobył 23 medale w singlu, deblu i mikście. W rankingu ATP najwyżej sklasyfikowany na 376. miejscu w singlu (wygrał challenger) i 179. w deblu.

Majchrzak odmówiłby konferencji prasowej, organizatorzy nałożyliby na niego wysoką karę finansową. W przypadku Osaki jest inaczej. Nie zgadzam się, zawodnicy powinni być w takich sprawach równo traktowani.

Wracając do kwestii generacji tenisowej – jak dziś wypada męski tenis, obecni 20-latkowie na tle starszych kolegów?

– Myślę, że większość zawodników i trenerów w męskim tenisie zauważyła negatywne trendy, o których rozmawialiśmy dziesięć lat temu, i zaczęto temu przeciwdziałać. Następuje powolny odwrót od czysto siłowego treningu fizycznego. Jest wielu zawodników, np. Jannik Sinner, Carlos

Alcaraz, Alexander Zverev czy Stefanos Tsitsipas, którzy są kompletni technicznie. Według mnie problem męskiego tenisa nie polega dziś na braku rozwiązań technicznych. Jeżeli popatrzymy na czołówkę męskiego rankingu, to oni generalnie potrafią wszystko lub prawie wszystko. Problemem męskiego tenisa jest narcyzm młodszych zawodników i coś, co nazywam primabalerinizmem. Trudno o któryś z wielkiej trójki powiedzieć, że to rozpieszczony narcyz, mimo że są skoncentrowani na sobie. Oni są w pełni profesjonalistami, natomiast młoda generacja zмага się ze swego rodzaju pokoleniową zniewieściałością. Jest różnica między tą zniewieściałością a specyficzną rebelią. Nicka Kyrgiosa można nie lubić, nie trawić, ale on, podobnie jak Jerzy Janowicz, nie jest miękkim charakterologicznie i bez wyrazu osobowościowego.

Kyrgios jednak uległ Djokovićowi.

– Kyrgios nie był faworytem, ale według mnie znacznie więcej respektu czuje przed Federerem i Rafaellem Nadalem niż Djokovićem, dlatego widać było, że nie boi się Serba. Stawił mu silny opór, jednak mistrz zwyciężył.

Na koniec – czy Roger Federer wróci?

– Będzie grać, ale według mnie nie wygra już niczego wielkiego. Dziesięć lat temu mówiłem, że to, co może jeszcze wygrać, to Wimbledon, i miałem rację. Teraz chciałbym się mylić.

Przemysław Staciwa

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

Jak się zaczęła pańska przygoda z polskim fiatem 126p i skąd wziął się pomysł pojechania nim na Rajd Monte Carlo? W książeczce „Uwagi i rady Sobiesława Zasady” pisze pan, że jeździł wcześniej jeszcze mniejszym autem.

– Wcześniej prywatnie jeździłem już fiatem 126, a austriacki Steyr-Puch też był robiony na karoserii 126, tylko podwozie miał inne. Byłem zaangażowany w promocję naszego małego fiata. Chciałem pokazać wszystkim, którzy czekali na pierwszy w życiu samochód, że to dobry produkt. Że nie tylko nadaje się do jazdy po mieście, ale można nim odbywać dłuższe wycieczki, ba, podróżować po całej Europie. Stąd pomysł udziału w Rajdzie Monte Carlo w 1975 r. Ponieważ produkcja w kraju dopiero się zaczęła, patronowały tej wyprawie tzw. czynnik, zwłaszcza Tadeusz Wrzaszczyk, wcześniej dyrektor zjednoczenia, potem minister, w końcu wicepremier. Było też wsparcie medialne. Zaangażował się w nie Maciej Szczepański, redaktor naczelny katowickiej „Trybuny Robotniczej”, który właśnie został szefem telewizji. Wszystkim zależało, aby marzenia milionów ludzi o własnym samochodzie nabrały realnych kształtów. W tym czasie, tzn. w 1975 r., już ponad 500 tys. Polaków zrobiło przedpłaty na małego fiata i miało odebrać swoje auto w ciągu trzech najbliższych lat.

We wspomnianej książeczce podkreślał pan, że samochód spisywał się w rajdzie znakomicie. „Wsiedliśmy z Longinem Bielakiem, który dołączył do mnie w Zakopanem, pojechaliliśmy przez Czechosłowację, Węgry, Austrię, Włochy, Francję do Monako i po drodze nic się nie działo. Wróciliśmy do kraju i przez cały czas nie wyjmowaliśmy nawet śrubokręta, nic się nie psuło, nie zawiodło w podróży, która trwała siedem dni i liczyła 8 tys. km”. Czy tak pan to zapamiętał?

Maluchem wnuka do Turynu

SOBIESŁAW ZASADA:
**Chciałem pokazać wszystkim, którzy
czekali na pierwszy w życiu samochód,
że fiat 126p to dobry produkt**



Sobiesław Zasada – kierowca rajdowy, założyciel i główny udziałowiec Grupy Kapitałowej Sobiesław Zasada. Do dzisiaj pozostaje jedynym zawodnikiem nie tylko z Polski, ale ze wszystkich państw tzw. bloku wschodniego, który w sporcie rajdowym został kierowcą fabrycznym najlepszych firm samochodowych jak: Steyr-Puch, Porsche, BMW i Mercedes-Benz. Jest 11-krotnym rajdowym mistrzem Polski w klasyfikacji generalnej, zwycięzcą 148 rajdów samochodowych, zdobywcą pięciu złotych medali za wybitne osiągnięcia sportowe. Opublikował wiele książek z dziedziny motoryzacji.

– Właśnie tak. Chcieliśmy pokazać, że tym autem można przemierzać długie trasy nawet w dosyć trudnych warunkach drogowych. Rajd Monte Carlo to w końcu zimowy przejazd przez Alpy, jazda po śniegu, więc na miejscu zbiórki wszystkich ekip we francuskiej

miejsowości Chambery, u podnóża Alp, założono nam opony z kolcami. Udało się też uzyskać zgodę na jazdę trasą rajdu, ale nie w zawodach. Startowało ok. 300 samochodów, ale regulamin przewidywał, że kto po przejechaniu dowolnego odcinka spóźni się ponad 30 minut,



Longin Bielak i Sobiesław Zasada w 1975 r. pojechali fiatem 126p na Rajd Monte Carlo, a 9 lipca br. ruszyli z Bielska-Białej do Turynu.

odpada. W ten sposób do mety dojechało o 80 samochodów mniej niż wystartowało. My tylko jeden raz spóźniliśmy się dwie minuty, a więc samochód i załoga, choć nie klasyfikowani, spisali się lepiej niż wiele renomowanych marek prowadzonych przez fabrycznych zawodników.

Przekonał pan Polaków, że to dobry samochód i że warto za niego zapłacić tyle, ile wynosiła wówczas cena urzędowa?

– Myślę, że tak. Jeszcze 10 lat wcześniej w Polsce było zarejestrowanych 200 tys. aut osobowych. Potem nastąpił żywiołowy wzrost. Liczba fiatów z Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Bielsku szybko przekroczyła milion. Choć tak naprawdę szal motoryzacyjny zaczął się w latach 90. Dziś mamy zarejestrowanych 25 mln aut!

Prezes Automobilkлубu Polska Romuald Chałas opowiada, że gdy przed laty pracował w Carservisie, dziennie wydawał po 150 małych fiatów. Dzisiaj diler, który sprzedaje 100 aut na miesiąc, jest szczęśliwy.

– Ale w samej Warszawie jest dziś ponad setka dilerów. Rocznie sprzedaje się ogółem ponad



W sumie wyprodukowano niemal 4,7 mln małych fiatów.

MALUCH, KTÓRY ZMOTORYZOWAŁ POLSKĘ

W 1972 r. we Włoszech rozpoczęła się produkcja fiata 126. Był on następcą i rozwinięciem technicznym produkowanego od 1957 r. modelu 500 Nuova. Rok później, 6 czerwca 1973 r., ruszyła produkcja licencyjna w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Tychach.

W lutym 1973 r. bank PKO rozpoczął przyjmowanie przedpłat na zakup polskiego fiata 126p. Cenę samochodu wyznaczono na 69 tys. zł, a pierwsze egzemplarze miały trafić do posiadaczy przedpłat w 1977 r. lub wcześniej – drogą losowania. Średnia pensja w Polsce wynosiła wówczas 3-4 tys. zł.

Ostatni maluch wyjechał z FSM w Tychach 22 września 2000 r. Ten samochód praktycznie zmotoryzował Polskę. W sumie wyprodukowano 4 671 586 egzemplarzy.

Grupa właścicieli maluchów zrzeszona w klubie 126Hooligans zorganizowała z okazji 50-lecia premiery auta wielką wyprawę fiatami 126p z Bielska-Białej do Turynu. Załoga nr 1 to Sobiesław Zasada i Longin Bielak, którzy fiatem 126p jechali w Rajdzie Monte Carlo w 1975 r.

400 tys. aut nowych i ok. 1 mln używanych. Niestety, często używane samochody to złom, który niszczy środowisko.

Przejdźmy do pańskich wyczynów sportowych. Jest pan trzykrotnym mistrzem Europy w rajdach samochodowych i trzykrotnym wicemistrzem w tej dyscyplinie w czasach, gdy rozgrywki te miały rangę mistrzostw świata. Czy sport samochodowy też wymaga doskonałej kondycji fizycznej, długotrwałych treningów i szlifowania formy?

– Z pewnością tak. W moim przypadku sport pojawił się bardzo wcześnie, byłem w harcerskiej drużynie sportowej, a potem w latach 1949-1952 należałem do lekkoatletycznej kadry narodowej. Uważam,

► że sport rajdowy ma wiele z lekkiej atletyki. Wymaga doskonałej koordynacji ruchów i ergonomii. Takie doświadczenie z lekkoatletyki przeniosłem na samochód. Nie miałem tu żadnego trenera, nikt mnie nie uczył wyczynowej jazdy. Dobra kondycja fizyczna jest ogromnie

Teraz, 50 lat po rozpoczęciu produkcji fiata 126, szykują się uroczystości w fabryce Fiata w Turynie. I pan „maluchem” też się tam wybiera.

– Muszę przyznać, że swego czasu kupiłem dwa takie auta dla swoich wnuków. Jedno z nich nie

– Najważniejsza rada dotyczy dużej, często nadmiernej szybkości, która jest zawsze niebezpieczna. Tu ostrożność i brak brawury są konieczne. Ponadto ryzykowne za kierownicą są wszystkie nieplanowane ruchy, np. branie telefonu do ręki, odwracanie głowy do pasażerów itp. Przed tym bym ostrzegał. A ja sam stosuję zasadę, że nigdy nie mam pierwszeństwa przejazdu. Zawsze muszę uważać na innych.

To również zalecałbym kierowcom innych pojazdów, nawet uprzywilejowanych – karetok pogotowia, wozów straży pożarnej czy ekip rządowych. Nie wszyscy słyszą sygnały albo na czas się zorientują, że ktoś jedzie. Myślę, że wielu kierowców zbyt optymistycznie ocenia swoje umiejętności. Była ponoć ankieta wśród panów z pytaniem, w czym jestem lepszy, czy w kierowaniu autem, czy jako kochanek. Większość uważała się za mistrzów kierownicy.

Bronisław Tumilowicz

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

Maluch nadawał się nie tylko do jazdy po mieście. Można nim było odbywać dłuższe wycieczki, ba, podróżować po całej Europie.

ważna, także utrzymywanie właściwej wagi, bo otyłość jest przyczyną wielu chorób. Bywały takie rajdy, które trwały bez przerwy trzy dni i trzy noce. Np. w Rajdzie Polski zaliczanym do Mistrzostw Europy brali udział zawodnicy fabryczni z wielu krajów i nazwali ten wyścig piekłem na ziemi. A ja z żoną wzięliśmy udział w 12, z czego 10 ukończyliśmy i zwykle odnosiliśmy sukces. Cztery razy wygraliśmy, dwa razy zajęliśmy drugie miejsce, a trzy razy trzecie. W sumie dziewięć razy stawaliśmy na podium.

było prawie w ogóle używane, ma na liczniku 420 km. Trzeba było wymienić tylko oleje, smary i opony. Zadzwoiłem do mojego pilota z Rajdu Monte Carlo Longina Bielaka i zapytałem, czy będzie mi towarzyszył do Turynu. Tak. Spotkam się z nim w Bielsku. Nasza załoga będzie razem liczyła 188 lat, bo Longin jest ode mnie kilka lat starszy. W sumie pojedzie do Turynu 15 małych fiatów.

Wiele lat temu wydał pan książeczkę z radami dla kierowców. Jakie uwagi miałby dla nich dzisiaj?

DKMS
POKORAJMY NOWOTWÓRY KRWI

**BEZ WZGLĘDU
NA DYSTANS,
ŁĄCZĄ NAS GENY**

KUBA,
Dawca szpiku

ANIA,
Dawczyni szpiku

W Polsce co 40 minut ktoś dowiaduje się, że choruje na nowotwór krwi min. białaczkę.
TY TEŻ MOŻESZ POMÓC!

**ZOSTAŃ DAWCĄ SZPIKU
I ZAMÓW PAKIET
NA DKMS.PL**

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Zakopane z Łapickim pod rękę

Kilka dni bez informacji ze świata, nawet przegapiłem podanie się do dymisji Borisa Johnsona i wygraną Djokovicia w Wimbledonie. Więc kilka dni w Zakopanem, jak rok temu w roli jurora w konkursie Nagrody Literackiej Zakopanego. A też jako gość Zakopiańskiego Festiwalu Literackiego. Dobry czas. Ten sam hotel co rok temu, blisko Krupówek, a jednak na uboczu. Spotkania w tych samych miejscach. Więc rok jakby się sprasował. I stał się cienki jak kartka papieru. Krupówkami płynie jak zawsze rzeka ludzi, dwa nurty – w dół i w górę, ale w tym roku tej „ludzkiej wody” jakby trochę mniej. Już nie tylko słyszeć, ale też widać, jak zjada nas inflacja.

Miałem mieć spotkanie autorskie na placu Niepodległości na wolnym powietrzu, a tu ulewa, więc przenosiny do małej sali w kinie Sokół, gdzie więcej niż pół wieku temu widziałem film „Tom Jones”. Nic dziwnego, że zgubiła się publiczność. Mało kto wyszedł z domu w ulewę. To sen koszmar każdego autora, ma spotkanie autorskie, a na sali nikogo. Teraz było z 10 osób. To tylko mała katastrofa. Potem wiele spotkań już innych autorów na placu Niepodległości, przy dobrej pogodzie, ale ludzi też garstka, gdy obok na Krupówkach płynie rzeka kuracjuszy, których nic nie obchodzi literatura.

Te dni w Zakopanem były szaleństwem klimatycznym, wielkie ochłodzenie, bywało 10 stopni, zresztą na wycieczki w doliny i tak mnie nie ciągnęło, bo tłumy. Miałem za to do czytania dzienniki Andrzeja Łapickiego, aktora, reżysera, o których już pisałem tydzień temu. Lata 1984-2005. Wynotowuję sobie wszystkie jego uogólnienia na temat okropieństw Polski i Polaków. Wypełniłem tymi skargami cały zeszyt. Sam w swoich felietonach z lat 80. i 90. pisałem bardzo ostro o słabościach polskiego społeczeństwa. Paradoksalnie pisałem wtedy chyba bardziej krytycznie, niż piszę teraz, chociaż teraz zdaje się być więcej powodów. Po 1989 r. były różne rządy, jednak nie rządili nami prawicowi paranoicy. Ciekawe, co by teraz pisał Łapicki, nie starczyłoby mu gniewu, rozpaczy i słów.

Pewne rzeczy zapomniałem albo wyparłem. Łapicki przypomina mi, jakim szokiem dla nas było dojście do władzy SLD. Dla Łapickiego to był koniec świata, ja chyba nie zareagowałem aż tak mocno, chociaż na pewno nie byłem szczęśliwy. Już wtedy uważałem, że większym zagrożeniem niż postkomunizm jest dla nas postendecja. Podobnie myśleli choćby Giedroyc, do jego „Kultury” pisałem felietony, czy Miłosz. Zresztą ten postkomunizm

okazał się fikcją. A ludzie o peerelowskich korzeniach szybko i dobrze zakorzenili się w demokracji. Łapicki miał inną optykę – wierzący i w wielkim miłosnym związku z Kościołem, zasiadał w różnych radach przy prymasie, był z nim w przyjaźni, ciągle pieszczony przez biskupów. Dopiero pod koniec życia dostrzeże, ile jest mroku w polskim Kościele. A tak, to co chwila notuje: „Moim jedynym opiekunem i parasolem jest Kościół”. Co chwila też oświadcza, że Bogu dziękuje za swoje zdrowie czy za sukcesy, zdarza się, że nawet leży krzyżem w kościele. Zdumiewające. Nie miałem zbyt dobrego zdania o talencie aktorskim i reżyserskim Łapickiego ani o jego inteligencji. Byłem w błędzie, był inteligentny, dowcipny i to była jednak osobowość. Dziennik przypomina już zapomniane lęki, które były udziałem polskiej elity. Nagle

Krupówkami płynie rzeka ludzi, ale w tym roku tej „ludzkiej wody” jakby trochę mniej. Już nie tylko słyszeć, ale też widać, jak zjada nas inflacja.

przeistoczenie się miłości do Wałęsy w wielką do niego niechęć, w lęk, że wprowadzi dyktaturę. Jak bardzo to teraz wydaje się naiwne. Łapicki pisze: „Mam najwyższe obrzydzenie do takiej Polski, jaką nam proponuje Wałęsa z całą kliką. (W tej klicie byli wtedy bracia Kaczyńscy, jaka ironia historii – T.J.). A znowu sojusz z komuną też śmierdzący”. Piszę to w roku 1992. I co chwila w tym stylu: „Jest tak paskudnie, że w najgorszych snach nie można było sobie tego wyobrazić. Życ się nie chce”. Po wygranej SLD notuje: „Naród pijacków i kundli. Byłe kaszanka była tańsza”. Albo: „Skundlone społeczeństwo. Polska to wszystko hołota”, i tak w koło Macieju. Ratują go Kościół i przyjaźń z Guciem i Tadiem, czyli z Holoubkiem i Konwickim. To przyjaźń podszyta zazdrością i rywalizacją, a jednak to przyjaźń serdeczna. Ten dziennik jest szczery i autoironiczny, to jego wielka zaleta. Jak szczerość, to przyznawanie się do swojego narcyzmu, upajanie się własnymi sukcesami. Jego życie to jedno pasmo sukcesów, a jednak ciągle cierpi i męczy się ze sobą, podminowany przez wątpliwości i to, że się wygłupia, swój zawód widzi jako błazeński.

Powrót z Zakopanego do Krakowa samochodem urzędu miasta, a potem do stolicy pociągiem. Luksusowo i przyjemnie z Łapickim pod rękę, coraz mi bliższym.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Słowianie napłynęli ze wschodu

Nie ma wątpliwości, że najwcześniej, już w drugiej połowie V w., pojawili się na południowo-wschodnich rubieżach naszych ziem,

Agnieszka Krzemińska

Sporni

Pierwsza kultura wiązana przez archeologów z żywiołem słowiańskim pojawiła się w III w. i zwana jest kijowską. Trochę młodsza, też występująca na terenie dzisiejszej Ukrainy i wschodniej Rumunii, jest kultura pieńkowska, z kolei na Słowacji, w Czechach, Austrii, Polsce i południowych Niemczech wykształciła się kultura praska. Większość archeologów wskazuje, że kolebkę Słowiańszczyzny stanowi dorzecze środkowego i górnego Dniepru, ale są i tacy, którzy widzą ją w dolinie Prypecy. Niezależnie od tego, gdzie znajdował się matecznik Słowian,

Ruska w zakolu Sanu archeolodzy natknęli się na półziemiankę z tego najwcześniejszego etapu osadnictwa. Jej kwadratową konstrukcję naziemną (4 na 4 m) podtrzymywały cztery znajdujące się w narożnikach słupy, a w pozostałościach pieca ogrzewającego domostwo zachowały się skorupy typowych słowiańskich garnków.

Jordanes jako pierwszy wspomina w „Kronice” z VI w. o naddunajskich Słowianach, a Prokopiusz z Cezarei opisuje ich w „Historii wojen” jako zjadłych wojowników, którzy stają w szranki z wrogiem półnady i z podkasanymi portkami. Dane archeologiczne sugerują, że zasiedlanie Europy przez Słowian było rozłożone w czasie, falowe i całkowicie

to błędem jest zakładanie, że zmiana kultury materialnej od razu oznacza wymianę ludności – podkreśla prof. Przemysław Urbańczyk, archeolog zajmujący się początkami polskiej państwowości.

Coraz więcej badaczy zakłada, że Słowianie nie zajęli opuszczonych terytoriów, lecz połączyli się z tubylcami zamieszkującymi tereny ziem polskich od schyłku starożytności. Wśród nich byli Goci ze Skandynawii czy Wenedowie, o których wspomina Jordanes, identyfikowani przez autochtonistów z Prasłowianami.

Poznański antropolog prof. Janusz Piontek po porównaniu czaszek przedstawicieli kultur przeworskiej i wielbarskiej oraz tych, które zachowały się w grobach wczesnopiastowskich z XI-XII w., stwierdził – wbrew temu, co zakładają allochtoniści – że na przełomie starożytności i średniowiecza nie nastąpiła żadna wymiana ludności na ziemiach obecnej Polski.

– Jest to ustalenie ważne, z pewnością warto rozważenia – przekonuje poznański badacz początków polskiej państwowości prof. Michał Kara. – Z tym że tożsamość kulturowa nie musi być zawsze powiązana z konkretnym substratem biologicznym, czego najlepszym przykładem są Bułgarzy – zeslawizowani koczownicy ze stepów nadczarnomorskich. Ludzie czujący się Słowianami mogli mieć zróżnicowane geny, więc nie zdziwi mnie, gdy badania genetyków nie będą tak jednoznaczne, jak byśmy tego oczekiwali.

Inny archeolog, prof. Andrzej Buko z Uniwersytetu Warszawskiego, uważa, że kwestia genetycznego pochodzenia Słowian będzie prędzej czy później rozwiązana i na pewno okażą się oni „mieszkańcami”. Jest przekonany, że słowiańska kultura materialna zawitała na tereny ziem

Wystarczyło 200 lat, by Słowianie zajęli ziemie dzisiejszej Polski, Słowacji, Czech, ale też m.in. sporą część Bałkanów, Saksonię i fragment Bawarii.

pewne jest, że rozlali się po Europie, wykorzystując fakt, że w wyniku wielkiej wędrówki ludów doszło do częściowej depopulacji kontynentu. Niektórzy doszukują się datowanych na VI w. zabytków słowiańskich w Wielkopolsce – co potwierdzać ma koncepcję autochtoniczną – ale krakowski archeolog prof. Michał Parczewski, największy znawca etnogenezy Słowian, nie ma wątpliwości, że najwcześniej pojawili się oni na południowo-wschodnich rubieżach naszych ziem, i to już w drugiej połowie V w.

Słowianie napłynęli ze wschodu i najpierw osiedlili się nad Sanem, między Radymnem a Jarostawiem, gdzie założyli osiedla badane obecnie na trasie autostrady A4. Potem przesunęli się wzdłuż rzeki na zachód. W 2019 r. we wsi Jabłonica

oddolne. Imponująca jest niezwykła dynamika tego osadnictwa: wystarczyło 200 lat, by Słowianie zajęli nie tylko ziemie dzisiejszej Polski, Słowacji, Czech, lecz także sporą część Bałkanów, a na zachodzie Saksonię, część Bawarii, Brandenburgię i Meklemburgię.

Niezależnie od tego, jak daleko zaszli, odbiegali poziomem cywilizacyjnym od mieszkańców zachodniej Europy.

– Lepili przedziwnie paskudne garnki, mieszkali w półziemiankach, w całkowicie autarkicznych i egalitarnych osadach, w symbiozie z naturą. Podczas gdy wcześniej mieszkańcy naszych ziem mieli stałe kontakty z cesarstwem rzymskim, na co wskazują importy, po przyjeździe Słowian nie było już ani bogatych grobów, ani skarbów, ani broni. Mimo

dzisiejszej Polski z zewnątrz w VI w. W dodatku wcale nie uważa jej za siemieżną, tylko za kulturę „ludzi w drodze”, taką jak u większości pierwszych osadników zasiedlających nowe tereny.

– Stąd egalitaryzm, brak ozdób czy proste półziemianki. Przecież Anglosasi, którzy u siebie mieli eleganckie domy halowe, gdy podbijali wschodnie wybrzeża Anglii, mieszkali w półziemiankach, co było prostą decyzją ekonomiczną: ich budowa wymagała 150 roboczogodzin, a domu – 750. Nie gardziłbym też ich brzydkimi garnkami, bo miały jednocześnie wymienite właściwości technologiczne – mówi prof. Buko.

Nie wszyscy Słowianie byli identyczni, szybko zaczęli się różnicować w zależności od tego, kogo napotkali na swojej drodze; np. na Pomorzu nie ma półziemianek ani typowej ceramiki praskiej, za to znajdowane są naczynia typu Sukow-Dziedzice, noszące zarówno cechy ceramiki kultury przeworskiej, jak i praskiej. Tak samo charakterystyczne dla Słowian drewniano-ziemne grody nie pojawiły się od razu i nie występowały wszędzie.

Z lotu ptaka słowiańskie grody wyglądają podobnie: okrągłe lub owalne wały, często zarośnięte drzewami. W niektórych stoją rekonstrukcje słowiańskich chat, w wielu z nich jest w środku pusta przestrzeń, bo wnętrza drewniano-ziemnych wałów nie zawsze były zabudowane. Słowianie zaczęli wznosić grody w VIII w., najpierw na Połabiu (najstarsza data dendrochronologiczna to 715 r.) i w Czechach, jednak najwięcej powstało ich w ciągu kolejnych dwóch wieków. Według prof. Urbańczyka boom na budowę warownych osad nastąpił po tym, jak w 805 r. Karol Wielki rozbił terroryzujących Europę Awarów i trzeba się było przed nimi bronić. Ponieważ nie w każdym grodzie są ślady zabudowań mieszkalnych, badacze przypuszczają, że mogły służyć jako



targowiska, miejsca schronienia (refugia) lub zgromadzeń albo rodzaj manifestacji władzy plemion i rodów, które je wznosiły. Od IX w. pojawiają się też pierwsze ślady wskazujące na wykształcenie się słowiańskich elit – bogate groby komorowe z mieczami z Nadrenii i jedwabiami z Bizancjum.

Lepili przedziwnie paskudne garnki, mieszkali w półziemiankach, w symbiozie z naturą.

Utrzymywanie kontaktów z bardziej cywilizowanymi sąsiadami umożliwiło wykształcenie się aristokracji, która sięgnęła po władzę i stworzyła pierwsze państwa słowiańskie: Mojmirów na Morawach, Przemyslidów w Czechach oraz Piastów w Polsce. Według prof. Kary dla badań nad początkami państwa polskiego nie jest kwestią kluczową, czy była to ludność osadzona na ziemiach polskich już od późnej starożytności, czy przybyła w wyniku wędrówek ludów; istotne jest, że gdy na przełomie IX i X w. zaczął

się proces państwowotwórczy, miała już utrwalone tradycję poczucie związku z ziemią, na której mieszkała, i w tym sensie można ją nazwać autochtoniczną.

– Poza Rusią Kijowską, założoną przy walnym udziale Skandynawów, większość państw budują społeczności zasiedziały, miejscowe, ale wzorce, jak powinno ono funkcjonować, wszyscy czerpią z zewnątrz, bo w różnych okresach wczesnego średniowiecza po całej ówczesnej Europie „barbarzyńskiej” krążyły idee państwowotwórcze – podkreśla badacz.

Boom na grody

O początkach polskiej państwowości mówią legendy przytaczane przez kolejnych kronikarzy setki lat później. Jedni traktują je jako wskazówki historyczne, drudzy jako metafory. Większość historyków usiłowała wyciągać z nich informacje dotyczące konkretnych wydarzeń, jednak – jak zauważył mediewista prof. Jacek Banaszkiewicz – w przekazach tekstowych należy się doszukiwać raczej przesłanek kulturowych i ideowych, towarzyszących formowaniu się państwa Piastów. Trzeba też brać pod uwagę długo

pogardzane przez historyków źródła archeologiczne, które od momentu wprowadzenia metody radiowęglowej, a przede wszystkim dendrochronologii, zaczęły dostarczać bardziej precyzyjnych dat. Dzięki nim wiadomo, że proces powstawania grodów na granicy Wielkopolski i Kujaw był gwałtowny i co najmniej o sto lat późniejszy, niż przez lata zakładano.

Pierwsze grody budowali u nas słowiańscy przywódcy plemienni na Śląsku. Na przykład w Grodziszczu koło Świebodzina archeolodzy odkryli gród wzniesiony około ▶

► połowy IX w., potem rozbudowany w roku 951; wtedy to poszerzono go i wzmocniono konstrukcję wału kamiennym płaszczem, być może w obliczu zagrożenia ze strony rosnących w siłę Piastów. Do łączącego z działalnością Słowian boomu budowlanego na niemal pozbawionym grodów obszarze centralnej Wielkopolski doszło między latami 20. i 40. X w.

Kontakty z bardziej cywilizowanymi sąsiadami umożliwiły wykształcenie się arystokracji, która stworzyła pierwsze państwa słowiańskie.

W ciągu kilkunastu lat wybudowano tam skupisko osad otoczonych wałami, przy czym niektóre z nich, np. Gniezno, Poznań czy Giecz, miały podstawy wałów wzmocnione konstrukcją hakową, przez badaczy identyfikowaną właśnie z Piastami. Początki Poznania, Gniezna, Giecza czy Grzybowa są skromne: tamtejsze grodki nie były zasiedlone, służyły zapewne jako refugia, przede wszystkim jednak jako miejsca kultu, władzy i prestiżu wspólnoty.

Począwszy od lat 40. X w., grody zaczęto rozbudowywać i zasiedlać, a za czasów księcia Mieszka I – przekształcać w ośrodki władzy i administracji państwowej, z kościołami we wnętrzu warowni, położonymi w ich pobliżu cmentarzami oraz wiejskimi osadami otwartymi o charakterze służebno-produkcyjnym, których działalność utrzymywała mieszkańców grodów. Tak to się prezentuje, jeśli dokonamy generalizacji, tyle że stan rozpoznania wczesnopiastowskich grodów jest różny, nie mówiąc o tym, że cały czas toczą się dyskusje o precyzję ich datowania.

– Idea masowej budowy grodów – wyjaśnia profesor Kara – mogła zostać przejęta z Czech, bo w Kotlinie Praskiej zaistniała podobna sytuacja, jednak wzór dla Ostrowa Lednickiego, który był piastowską rezydencją, stanowiły rezydencje ottońskie, tzw. Pfalze. Były grody silniej powiązane z dynastią, jak założony w latach 60. IX w. Giecz czy zbudowany w pierwszej połowie dziesiątego stulecia Ostrów Lednicki, oraz grody

państwowe, w których Piastowie dzierżyli władzę za zgodą wspólnoty, jak Poznań czy zbudowane dopiero w latach 40. X w. Gniezno. Można w Gieczu, najstarszym w tej grupie grodów, upatrywać kolebki Piastów, ale ani archeologia, ani historia nie dają w tej kwestii zadowalającej odpowiedzi i możemy jedynie stwierdzić, że gród ten jest wyraźnie związany z najstarszą fazą budowy

piastowskiego państwa, czyli domeny patrymonialnej tego rodu.

Nie wszyscy badacze są jednak przekonani, że początków polskiej państwowości należy doszukiwać się w tzw. trójkącie gnieźnieńskim. Prof. Buko twierdzi, że pożoga w wielu grodach w połowie X w. wynikała z tego, że ojciec Mieszka I w latach 20. i 30. podbił Śląsk, by zdobyć niewolników, ale część ludzi przesiedlił w okolice Gniezna.

Idea masowej budowy grodów mogła zostać przejęta z Czech.

– To nie było wówczas miłe miejsce do mieszkania, więc Piastowie nie mogli stamtąd pochodzić – twierdzi naukowiec. – Moim zdaniem pochodzą z powstałego w drugiej połowie IX w. Kalisza, który w odróżnieniu od Gniezna, Poznania i Giecza nigdy nie został zniszczony i składał się z dwóch bardzo bogatych grodów. Piastowie wyruszyli do Gniezna, bo tam, na Górze Lecha, był ważny ośrodek kultowy, który chcieli przejąć.

Z tym pomysłem też nie wszyscy się zgadzają, choć rzeczywiście grody nie powstawały tylko na terenie Wielkopolski. Są badacze, którzy uważają, że równie prężnie rozwijała się Małopolska, a nawet że wszystko zaczęło się na Wawelu w połowie IX w. Mają

o tym świadczyć relikty kamiennej rotundy, która przypomina tę z morawskich Mikulčic, uważanych za stolicę Państwa Wielkomorawskiego. Ponieważ jednak nie da się ustalić dokładnej daty jej zbudowania, pomysł pozostaje hipotezą. Faktem jest, że w Małopolsce też budowano duże grody, zapewne wzorowane na tych z Velkej Moravy – pierwszego słowiańskiego tworu państwowego, utworzonego na terenie Moraw w 805 r. Jego twórca Mojmir w 831 r. przyjął chrzest, zapewniając sobie „wejście do Europy”, ale pomimo istnienia sieci grodów i całkiem sprawnej armii niedługo później, bo już w początkach X w., państwo zostało podbite przez Węgrów.

Ślady wielkomorawskich wpływów są u nas widoczne nie tylko w Małopolsce i na Śląsku, gdzie gród w Gilowie koło Niemczy otaczały wały oblicowane kamieniami, co było charakterystyczną cechą wielkomorawskiego budownictwa. Nie ma jednak żadnych dowodów, by na Śląsku, w Małopolsce, a tym bardziej na Mazowszu istniały jakiegokolwiek tendencje państwowotwórcze przed pojawieniem się Piastów. Dopiero Mieszko próbował scalić te trzy krainy, przyłączając je do Wielkopolski. Z najnowszych badań wynika, że na Mazowszu najstarsze ślady po Piastach – w postaci pozostałości budowli o typowej dla nich konstrukcji hakowej – pochodzą z Płońska i są datowane na lata 70. X w.

– Podobnie na południu, wzniesiony w tym samym czasie Sandomierz założyli przybysze z Wielkopolski, na co wskazuje typowa dla nich ceramika oraz badania izotopów strontu. Dzięki próbkom pobranym z zębów dziewięciu zmarłych leżących w najstarszych grobach na sandomierskim cmentarzu wiemy, że aż czterech z nich nie było tubylcami – mówi prof. Buko.



Fragmenty książki Agnieszki Krzemińskiej *Grody, garnki i uczeni. O archeologicznych tajemnicach ziem polskich*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Abecadło

Antoś uczy się pisać – i wzrusza mnie to co najmniej w równym stopniu jak jego pierwsze zmagania z mową. Z ciżby neologizmów i przejęczyń mozołnie wyłaniały się poprawne formy, co jest naturalną koleją rzeczy. Cieszyło mnie, że dziecko prawidłowo się rozwija, a zarazem smuciło, że kręte ścieżki dziecięcej intuicji już nie będą mi służyć jako inspiracja, już nie będą przekraczać reguł, a co za tym idzie mojej wyobraźni językowej. Błędy dziecięcej mowy wynikają czasem z kierowania się czystą logiką uproszczeń, jak w przypadku określeń czasu: np. cała przeszłość była dla Antka „wczoraj”, a przyszłość to zawsze „jutro”. Teraz zamiast lapsus linguae mam na pocieszenie lapsus calami. Najprostsze kurioza ortograficzne, typu „lef”, bombardują mój centralny ośrodek rozczulania. Budziłyby moją odrazę u dorosłego – co prawda odczuwam empatię wobec mas niewykształconych, ale to właśnie te wyedukowane kaleczą ortografią w sposób najbardziej obleśny, w dodatku czyniąc to z pretensjami do legalizacji wielokrotnie powtarzanych nieprawidłowości – jak np. opaczne używanie „także” zamiast „tak że”. Zanim dziecięce zmagania z ortografią

móc równie symbolicznie „zmartwychwstać”. Na przykład nie roić sobie pokoleniowej sztafety fascynacji i profesji, bo syn zamiast złapać bakcyla pasji, którą mu podsuwamy, może swoją odnaleźć przez zaprzeczenie. Jeśli był ciągnany po filharmoniach i jazz clubach w dzieciństwie, nie wyklucza to jego muzyczności i melomanii, ale musimy być gotowi na to, że jako dorośli będzie fanem popu lub „progresywnego disco polo”. Od zgrzytania zębami możemy dostać bruksizmu, ale umniejszać jego wyborów nie wolno pod żadnym pozorem. Mój pierwotny w dzieciństwie zobaczył najpiękniejsze jaskinie Europy, potem nie tylko nie został grotolazem, ale dobiegając trzydziestki, nie pamięta w ogóle, że kiedykolwiek zabraliśmy go na speleowakacje.

Miłość do dorosłego syna to inna para kaloszy; czasem piją, wygodne nie są wcale, ale zdjąć ich za nic w świecie nie zechcemy. Dlatego kiedy dziecię dojrzeje, nie jest od rzeczy, za przeproszeniem, sprawić sobie nowe dla zachowania równowagi między totalną deprecjacją i absolutną idealizacją. Ani na chwilę nie zapominając jednak, że to nie my mamy dzieci, ale one mają nas – owszem, umilają nam życie, ale my im to życie dajemy, a potem musimy je przy nim utrzymywać i dbać o jego komfort. Odważna zachęta prokreacyjna: „róbmy dzieci, od tego sami robimy się lepszymi ludźmi”, jest zatem dość bałamutna, bo nie każdy człowiek pocziwy na rodzica się nadaje. Jest to predyspozycja umysłowa, której nie dostajemy z urodzenia. Instynkt macierzyński to wymyślony konstrukt. Jeden z momentów czystej i niezapomnianej grozy przeżyłem kiedyś podczas rozmowy ze znajomą w ciąży zagrożonej, która zdawała się nie przejmować zupełnie swoim stanem. „Jak poronię, to sobie kupimy pieska”, odpowiedziała, wzruszając ramionami i nie był to bynajmniej akt głęboko melancholijnego sarkazmu. No właśnie, „bynajmniej” użyte niewłaściwie zupełnie mnie nie rozczula, a nawet brzydzi tak, że i dziecku bym nie darował, nawet jeśli puściłoby przeprosinowo genialną piosenkę Wojciecha Młynarskiego, który z tego wypaczenia językowego uczynił historię miłości niemożliwej.

w.kuczok@tygodnikprzeklad.pl

To nie my mamy dzieci, ale one mają nas.

staną się koszmarem szkolnych dyktand, obowiązuje wolnoamerykanka – zapis fonetyczny, czasem zawieszka na dwuznakach i moje ukochane pytanie „Tato, jak się to pisze...?”. Najbardziej skurczone ego rozrasta się wtedy podlane bezgraniczną ufnością potomka – dopóki trwa ten czas, w którym jesteśmy autorytetem, a nawet wyrocznią, rodzicielstwo podnosi nas na duchu, robi nam życie, nadaje, a raczej oddaje jego sens gdzieś tam kiedyś zagubiony.

Dorastające dzieci boleśnie się potem próbują odgrywać za tę wiarę w naszą nieomyślność, podważanie rodzicielskich autorytetów wprost buduje ich tożsamość, jeśli racja jest po stronie dorosłych, tym gorzej dla nich. Syn staje się podmiotem poprzez symboliczne ojcostwo, trzeba być na to przygotowanym, aby



Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku, Twitterze i Instagramie







Nie ma już dzikich plaż

Piaszczysta plaża działa jak gigantyczna pralka oczyszczająca wodę

Konrad Malec

Jeśli wierzyć w zapewnienia części mediów, to Polki i Polacy masowo wybierają wybrzeże Bałtyku jako kierunek wakacji. Tylko u nas są tak piękne i piaszczyste plaże. Skoro zaś gromadnie wybieramy bałtyckie piaski, warto, byśmy wiedzieli, kto w tym piasku mieszka.

Wały pomorskie

Niemal na całej długości polskiego wybrzeża mamy nadmorskie wydmy, a na Wybrzeżu Słowińskim jedyne, które wędrują. Ich ochrona jest jednym z zadań Słowińskiego Parku Narodowego. Dawniej wydmy nie były tak żwawe, ale w XVI w. ludzie pozbowali to miejsce drzew, inicjując tym samym ich wędrowkę. Inne wydmy naszego wybrzeża są bardziej stateczne, porośnięte charakterystycznymi, powyginanymi od nadmorskich wiatrów sosnami. Najczęściej tworzą one bór bażynowy. Nazwa pochodzi od bażyny czarnej, niewielkiej krzewinki o czarnych, jadalnych owocach. Niestety, musimy obejść się smakiem, to roślina chroniona, ale zwykle towarzyszą jej borówki i żurawiny, które przyniosą nam pociechę. Już pod koniec sierpnia bory bażynowe nabierają koloru – to czas kwitnienia wrzosów.

Miejscami mamy młodsze wydmy, na których sosny jeszcze się nie

zadomowiły. Je stabilizują trawy i turzyce, o wiele mówiących nazwach: piaskownica zwyczajna, wydmuchrzyca piaskowa czy turzyca piaskowa. Za sprawą zdolności do odbijania po zasypaniu piaskiem dają sobie radę w tym trudnym środowisku. Kępa zasypana piaskiem nie tylko odbije w górę, ale jeszcze rozłogami popęźnie na boki. W ten sposób powstaje sieć kłączy i korzeni, która zatrzymuje piasek. W takich miejscach możemy spotkać mistera flory wybrzeża – mikołajka nadmorskiego. Swoim palowym korzeniem jest w stanie przebić się przez niską wydmy i sięgnąć wody, a przy okazji zmagazynować jej nieco w tymże korzeniu. Twarde i cierniste liście chronią mikołajka

w którym nikt nie zerwie ani jednego kwiatu. Dodatkowo przy każdym rwaniu kwiatów chłopiec czuje ból. Okrutnym narodem jesteśmy, skoro ból dziecka nie robi na nas wrażenia. Co gorsza, wrażenia nie robią też przepisy – roślina podlega ochronie od 1946 r., a w Zatoce Gdańskiej (na podstawie zarządzenia policyjnego!) nawet od 1902 r.

Rośliny te często pojawiają się na plażach, dzięki czemu umacniają brzegi. W wilgotnych zagłębieniach na plaży niekiedy dostrzeżemy roślinę o głęboko wciętych, mięsistych liściach i małych, białych kwiatach o czterech płatkach. Tu rukwiel nadmorska. Nim Rosjanie napadli na Ukrainę, ilekroć odwiedzałem

Mierzący 8-16 mm zmieraczek plażowy, gdy jest zagrożony, podskakuje na wysokość nawet 30 cm i takąż odległość.

przed zjedzeniem, a jasna barwa liści odbija nadmiar promieni słonecznych. Uroda kwiatów, będących częstym motywem kaszubskich haftów, jest kłutwą tej rośliny. Przed wiekami była ona chłopcem, Mikołajkiem. Podobnie jak bohater książek Gosciniego, z ilustracjami Sempégo, był to psotny malec. Pewnego razu schował tekstyla królowej mórz, gdy ta zażywała kąpieli. Za karę Posejdon zmienił łobuziaka w roślinę o pięknych kwiatach. Chłopiec ma nią pozostać tak długo, aż zdarzy się rok,

naszych wschodnich sąsiadów, kupowałem spory zapas kiszonej kapusty morskiej, czyli właśnie rukwieli. Co ciekawe, roślina ta jest ceniona w kuchni każdego europejskiego narodu mającego dostęp do morza, tylko u nas się jej nie jada. Choć idzie nowe, coraz łatwiej dostać ją i w Polsce, niestety w małych opakowaniach.

W nielicznych miejscach naszego Bałtyku mamy piękne wybrzeża klifowe. Najbardziej znane są w Wołińskim Parku Narodowym. Już sam

widok kilkudziesięciometrowych stromizn podmywanych przez morze robi wrażenie. Po sąsiedztwie z Wolinem znajduje się Trzęsacz, z kościołem, z którego została tylko jedna ściana. Świątynię wybudowano u schyłku średniowiecza, 2 km od brzegu. Przyznam, że jeszcze większe wrażenie zrobił na mnie klif w Gdyni-Orłowie, z olbrzymimi głazami u podnóża i latającymi ponad nim bielikami. W przeciwieństwie do piaszczystych klifów wschodniego wybrzeża ten zbudowany jest z glin i iłów, a miejscami węgla brunatnego, w którym zakonserwowane są skamieniałe drzewa, prawdopodobnie sprzed 20 mln lat. Teren chroni rezerwat Kępa Redłowska.

Zalewowe łąki

Klify robią wrażenie, nie to co łąki zalewane przez morze. Płaskie to, zielsko rośnie, woda się wdziera, do tego nie ma jak upakować letników, by pieniądze zostawili. Tutejsi turyści w większości są wyposażeni w lornetki albo lupy. Ogółem takiego typu wybrzeża mamy niewiele: w północnej części Zalewu Szczecińskiego, gdzie Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Przyrody powołało społeczny rezerwat przyrody Karsiborska Kępa na wyspie o takiej nazwie. Poza tym łąkowe słonorośla są w ujściu Dźwiny i nad Zatoką Pucką. W tej ostatniej lokalizacji powołano kilka rezerwatów przyrody, jednym z nich – Beką – opiekuje się wspomniany OTOP. Tu spotkamy halofity – rośliny lubiące zasolone tereny. Ich przykładem może być mlecznik nadmorski o małych, acz uroczych kwiatach; przechowuje on w liściach wodę, jest więc sukulentem, podobnie jak kaktusy. Wprawdzie mlecznik wody ma pod dostatkiem, ale słonej, słodką musi oszczędzać. Podobnymi właściwościami cechuje się soliród zielny, tyle że on jest sukulentem lodygowym. Roślina ta jest ceniona w kuchni izraelskiej i francuskiej, z tej przyczyny zwana bywa morskim szparagiem lub morskim korniszonem. My jednak jej nie skosztujemy, bo podlega ochronie, podobnie jak inny przysmak ze słonorośli – świbka morska. Generalnie większość roślin

Jerzy Wiszniewski – światowej sławy zoolog i limnolog

Jerzy Wiszniewski był genialnym dzieckiem, w wieku 15 lat zdał maturę w elitarnym Gimnazjum Przyrodniczym im. Żółkiewskiego w Siedlcach. Po maturze udał się do Warszawy, by studiować biologię. Wiek był pewnym kłopotem w dostaniu się na studia, ale udało się tę trudność przezwyciężyć i w wieku 21 lat Wiszniewski zdobył tytuł magistra. W okresie międzywojennym dokonał wielu odkryć naukowych, zapewniających mu międzynarodowe uznanie, współpracował z licznymi placówkami naukowymi, zorganizował Poleską Stację Hydrobiologiczną w Pińsku (dzisiejsza Białoruś). Działalność na rzecz ochrony przyrody, przebiegała społecznie. Po wybuchu wojny ukrywał się przed NKWD, później przed gestapo. Często ciężko pracował fizycznie, mimo to nie zaprzestał pracy naukowej, uczestniczył także w tajnym nauczaniu. Zagrożony aresztowaniem przez Niemców wyjechał z Pińska do Warszawy, niemal całą jego walizkę wypełniały rękopisy prac naukowych. Jako porucznik AK uczestniczył w powstaniu warszawskim, poległ w wieku zaledwie 35 lat.

typowych dla tego siedliska jest zagrożona i podlega ochronie.

Wymieniam rośliny, a wspominałem o opiece OTOP nad Beką, ponieważ nie tylko rośliny znalazły tu swój raj. W rezerwacie mamy szansę na spotkanie z bąkiem, jedyną poligamiczną czapłą na świecie. Bąk znalazł się na Czerwonej liście ptaków Polski, opisującej gatunki zagrożone. Bąków w Polsce mamy nieco ponad 3 tys. samców (samice są trudne do wykrycia). Z kolei oharów, zamieszkujących w Bece, mamy ledwie 110 par! To jedno z nielicznych kaczek, u których obie płcie są jednakowo barwne, a do tego łęgi wyprowadzają w norach. Jeszcze mniej mamy ostrogojadów, ok. 20-35 par. I tak, nad Beką też je znajdziecie. Niestety, nie znajdziecie już rybitw białoczelnych, które gniazdowały na piaszczystych plażach rezerwatu. Letnicy je rozdeptali lub wypędzili. Bo to wypoczynek na piachu jest prawem (i towarem) ważniejszym

niż ochrona jakichś ptaszków czy robactwa. Nie znajdziemy także biegusów zmiennych czy batalionów, te pierwsze nam w Polsce wymarły, drugie są na skraju wymarcia.

Kidzina na plaży

Naturalna plaża to również usługi ekosystemowe. Piaszczysta plaża działa jak gigantyczna pralka oczyszczająca wodę. Kilka lat temu naukowcy z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego wyliczyli, ile litrów wody oczyszcza jedna z warszawskich plaż, o długości 250 m i szerokości 5 m. Następnie odnieśli to do kosztów działania oczyszczalni ścieków. Wyszło im, że plaża świadczy usługi ekosystemowe o wartości 277 zł rocznie (przed inflacją). A przecież bałtyckie plaże są nieporównanie dłuższe i szersze.

Jak to się dzieje, że plaże oczyszczają wodę? Nieustanne falowanie, rozbijanie się fal o brzeg i przelewanie przez piasek powoduje natlenianie wody. Nie znalazłem opracowań na ten temat, ale podejrzewam, że dzięki rozbijaniu się fal o brzeg proces oczyszczania wody przez plaże nadmorskie jest bardziej wydajny niż przez plaże rzeczne, pewnie zatem dla bałtyckich plaż podana wycena byłaby wyższa. Żyjące w piasku mikroorganizmy wychwytyują wszystko, czym mogą się posilić, w pierwszej kolejności pierwiastki biogenne. To one odpowiadają za zakwity glonów i powstawanie podmorskich stref beztlenowych. I to przez nie Bałtyk zmienił barwę z białej na zieloną. Wiele tych (i innych) substancji wychwytyują bakterie, grzyby i nieco większe organizmy, takie jak wrotki, bruchorzęski, nicienie, pierścienice, niesporczaki czy widłogonki, które zbiorczo nazywamy psammonem. Autorem tego określenia jest Jerzy Wiszniewski, światowej sławy zoolog i limnolog (więcej w ramce).

Morze wyrzuca też kępy wodorośli, patyki, muszle czy szczątki zwierzęce i wszechobecne śmieci. Zimą materia organiczna wyrzucana jest dalej, latem bliżej. Wzdłuż wałów utworzonych z odpadków jest dużo azotu z rozkładającej się materii organicznej. Jest również sporo wody, ▶

▶ choć słonej. Warunki te sprzyjają jednorocznym słonoroślom, takim jak wspomniana rukwiel nadmorska, ale też łoboda zdobna, nadbrzeżna i ośczipowata, maruna nadmorska czy solanka kolczasta. Takie siedlisko nazywamy kidziną, jest ono objęte systemem Natura 2000, więc jako kraj jesteśmy zobowiązani do jego ochrony. Kłopot w tym, że to siedlisko nietrwałe z natury, aczkolwiek pozostawione w spokoju samo łatwo się odnawia. Niestety, na polskich plażach to niemal niemożliwe. Zwykle po świcie pojawiają się służby komunalne i sprzątają dary morza,

podlegały ochronie, ale doktor nauk ekonomicznych Maciej Grabowski, pełniący funkcję ministra środowiska, zmniejszył im ochronę do częściowej. Zapewne po to, by łatwiej uzyskiwać zgodę na odstępowstwa od zakazów względem gatunków chronionych.

Foka rzadko widziana

Zmieraczki i inni lokatorzy kidziny muszą się mieć na baczności nie tylko przed ludzkimi wizjami idealnych plaż. Czyhają na nie bowiem ptaki. Najbardziej lubię bywać nad Bałtykiem jesienią, kiedy migrują ptaki.

a to nie tylko zwiększa naszą wiedzę o tej grupie zwierząt, ale i pozwala ją skuteczniej chronić.

Drzewiej nasze plaże były pełne fok. Tu odpoczywały i tu na świat przychodziło ich potomstwo. Dziś spotkanie z foką to nie lada rarytas. Foki powoli się odradzają, co skłoniło posłankę Dorotę Arciszewską-Mielewicz do nawoływania, by zacząć je tępić (2018 r.). Według posłanki foki zjadają ryby, stąd pustki w rybackich sieciach. Gdyby pani poseł miała choćby niewielkie pojęcie o ekologii, wiedziałaby, że niemożliwe jest przeżycie drapieżników przy braku ofiar. Zapewne wiedziałaby i to, że za ubogie połowy odpowiada przełowienie i zanieczyszczenie wód (Bałtyk jest jednym z najbardziej zanieczyszczonych i przełowionych mórz na świecie). Tymczasem bezpardonne tępienie fok w pewnym momencie zagroziło egzystencji wszystkich trzech ich gatunków, czyli foki szarej, obrączkowanej (nerpy) i pospolitej w Bałtyku.

Niestety, nasze umiłowanie swoistego rozumianego wypoczynku doprowadziło do zaniku dzikich plaż. Nawet na nielicznych odcinkach, gdzie brzeg chronią parki narodowe czy rezerваты, spotkamy ludzi. Na obszarach chronionych są legalne i dzikie kąpieliska. Jedne i drugie rozpetzają się.



Niektóre wydmy są porośnięte powyginanymi od nadmorskich wiatrów sosnami.

by plaże były piaszczyste i konkurencyjne względem miejsc wypoczynku nad Morzem Śródziemnym bądź Czarnym.

Kidzina to atrakcyjne miejsce dla wielu zwierząt, przede wszystkim bezkręgowców. Spotkamy tu całą plejadę owadów dorosłych i larw, wieloszczetów czy skorupiaków. Wśród tych ostatnich prawdziwą gwiazdą wszelkich tablic opisujących bałtycką przyrodę jest zmieraczek plażowy. To niewielki skorupiak, mierzący 8-16 mm. Mimo skromnych rozmiarów, gdy jest zagrożony, podskakuje na wysokość nawet 30 cm i także odległość! Nocami żywi się szczątkami roślin i zwierząt, dzień spędza w norkach głębokich na 10-30 cm. Niestety, na wiecznie ubijanej stopami ludzi plaży nie da się wykopać norki. Zresztą po co, skoro ludzie natychmiast sprzątają pożywienie? Zmieraczki do 2014 r.

Rukwiel morska jest ceniona w kuchni każdego europejskiego narodu mającego dostęp do morza, tylko u nas się jej nie jada.

W ubiegłym roku miałem przyjemność podziwiać kamuszniki, biegusy zmienne i krzywodziobe, kwokacze, łęczaki, siewki złote i wiele innych. Ptaki grupowały się tam, gdzie fale wyrzucały rozmaite szczątki i odpadki na brzeg. Nic dziwnego, tam też są ich ofiary. Robiąc na naszym wybrzeżu przystanek podczas migracji, ptaki intensywnie tankują przed dalszym, wyczerpującym lotem. Niektóre lecą wzdłuż wybrzeża, inne lądem, ale niemal wszystkie muszą przelecieć nad Mierzeją Wiślaną lub Helską. To właśnie wykorzystują ornitolodzy z Akcji Bałtyckiej, badając w tych miejscach przeloty i chwytając ptaki do obrączkowania. Dzięki temu co roku mamy nowe informacje o ptakach,

A może by tak, na wzór proponowanej ochrony przed działalnością ludzką 10% lasów, objąć ochroną 10% plaż? Z całkowitym zakazem wstępu, z wyjątkiem badań naukowych, zabiegów ochronnych i spraw związanych z bezpieczeństwem? Czy tak dużego państwa nie stać na tak skromny gest? Do niedawna ostoją dzikiej przyrody byłyby poligony wojskowe, ale ostatnimi czasy plaże są przenoszone do rezerwy i otwierane dla letników.

Skoro poznaliśmy już plażę, czas skoczyć do wody, na spotkanie z mieszkańcami jej powierzchni, toni, głębin i dna. Ale to bohaterowie kolejnego artykułu.

Konrad Malec

Zajrzyjmy do Berlina

O tym, że w Polsce będzie nowy ambasador, który zastąpi Arndta Freytaga von Loringhove, wiadomo było już w marcu. W kwietniu pisały o tym gazety. Tym nowym ambasadorem jest Thomas Bagger, zawodowy dyplomata, który wcześniej był szefem departamentu zagranicznego w kancelarii prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera.

Ale nie wyciągamy z tego pochopnych wniosków. Bagger w swojej karierze był w grupie bliskich współpracowników Klaus Kinkela (FDP) i Joschki Fischera (Zieloni), pisał im przemówienia. Był też szefem gabinetu ministra spraw zagranicznych, gdy tę funkcję sprawował Guido Westerwelle (FDP). No i przez kilka lat kierował w Auswärtiges Amt departamentem planowania polityki zagranicznej. Pracował także w ambasadzie Niemiec w Pradze i w Ankarze.

Jest to więc dyplomata doświadczony, mający świetne kontakty na szczytach niemieckiej władzy, i to praktycznie z każdym.

To go zresztą łączy z poprzednikiem – Arndt Freytag von Loringhoven przed objęciem placówki w Warszawie był m.in. ambasadorem w Czechach, a w latach 2007-2010 wicedyrektorem Federalnej Służby Wywiadowczej BND. Później zaś, od roku 2016, był zastępcą sekretarza generalnego NATO ds. wywiadu i bezpieczeństwa.

Na marginesie – obu ambasadorów łączy jeszcze jedno. Są synami generałów. Z tym że ten poprzedni jest synem adiutanta Adolfa Hitlera, a ten obecny – synem dowódcy wojsk lądowych i generalnego inspektora Bundeswehry. Widać więc w tym wszystkim pewną konsekwencję – Niemcy wysyłają do Warszawy ambasadorów od pokoleń znakomicie umocowanych w establishmentie.

O tym, że Warszawa jest istotna w polityce Niemiec, świadczy chociażby notatka w „Süddeutsche Zeitung” z 2 kwietnia br. Zaznaczono w niej, że „w tym roku do obsadzenia jest aż osiem stanowisk w ambasadorskiej karuzeli w ważnej politycznie i prestiżowej grupie zaszerogowania B9”. Te placówki to Waszyngton, Londyn, Pekin, Delhi, Tel Awiw, Warszawa, Madryt i Meksyk. I że o obsadzie tych stanowisk zdecydowało specjalne spotkanie przedstawicieli rządzącej koalicji. Dla porządku – ta grupa jest większa niż dziewięć państw, ale sam fakt, że Auswärtiges Amt zalicza do niej Polskę, jest znaczący.

Dodajmy do tego jeszcze jeden element. To spotkanie nie było dzieleniem łupów, tak jak my w Polsce do tego przywykliśmy. Do Tel Awiwu wysłano Steffena Seiberta, który przez ponad 11 lat był rzecznikiem Angeli Merkel. Z kolei w Waszyngtonie przedłużono mandat dotychczasowej ambasador Emily Haber na następny rok, mimo że skończyła 66 lat i w zasadzie mogłaby odejść na emeryturę, a w USA jest od roku 2018.

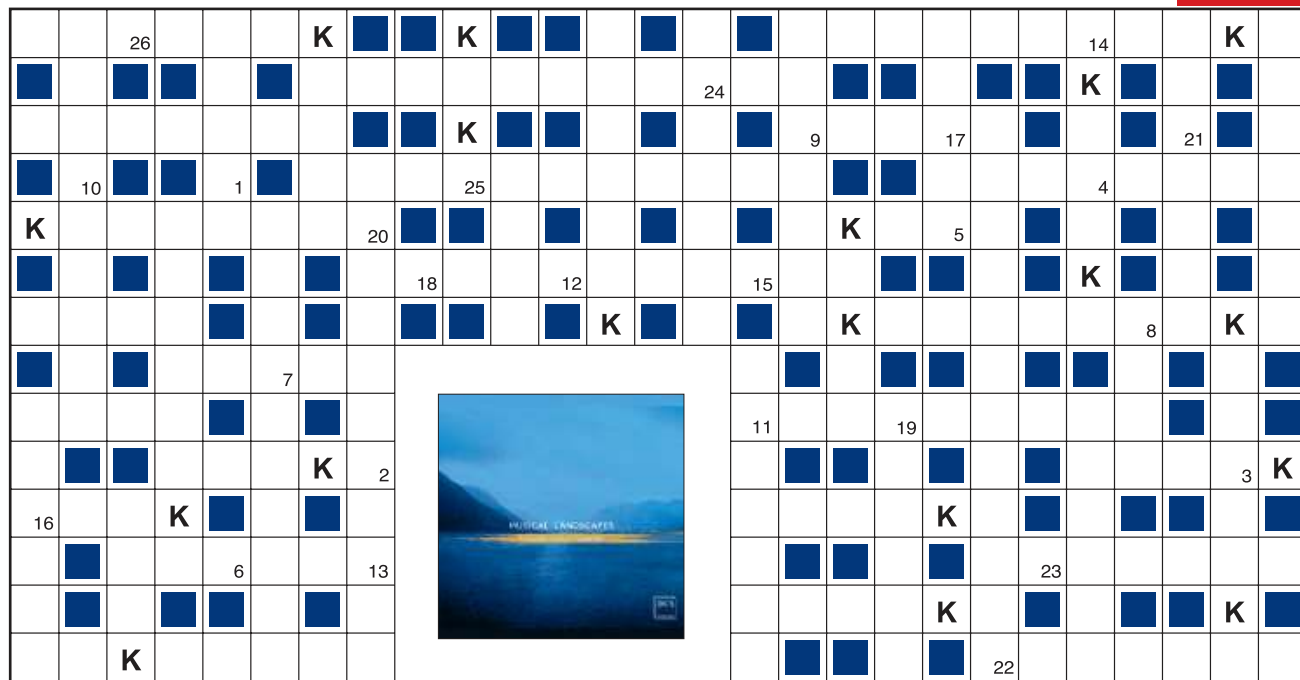
Arndt Freytag von Loringhoven mógłby więc uznać, że jego misja w Warszawie zakończyła się porażką – bo ambasadorem był tu niespełna dwa lata. Ale, oceniając na zimno, czy miał szansę na sukces? W jednym z ostatnich wywiadów odchodzący ambasador mówił: „Jakie intencje mają obecne władze w Warszawie? Czy chcą, aby Niemcy były silnym sojusznikiem Polski, czy też potrzebują nas w roli kozła ofiarnego dla rozgrywania własnych problemów wewnętrznych?”.

Nie trzeba być wielkim analitykiem, by wiedzieć, że dla PiS Niemcy zawsze będą tym złym. I że Thomas Bagger w tych sprawach, mimo dobrego inauguracyjnego wystąpienia, również nie będzie miał łatwo.

Attaché

Raj dla ornitologów. 350 budek dla ptaków otacza domek na drzewie – pokój nietypowego hotelu w szwedzkiej Laponii.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- zabita przez Balladynę
- przenośnie zwany kochankiem muz
- członek rodziny, krewny lub przyjaciel
- James, angielski żeglarz i odkrywca
- Mariana Mazzucato lub Elżbieta Mączyńska

- sprowadzanie towarów z zagranicy
- dawniej kara pozbawienia czci i praw obywatelskich
- miasto w RPA, nad Zatoką Stołową
- wirtuozom futbolu rzadko się zdarza

- sterczący szczątek spalonej kamienicy, drzewa
- zarys ujęty w punktach
- o starej łodzi
- „...pogodnych dni” Starogo Dobrego Małżeństwa
- Robert, polski piłkarz
- i drzewo, i bujda, i tandeta
- plonnik, prątniki i torfowce
- nieelegancki odgłos przy jedzeniu
- o siłaczku lub potężnym władcy
- przy niej jest ciężarna
- wariat, postrzeleniec
- leczone przez nefrologa

- grozi temu, kto mało pije w upał
- wznoszone podczas demonstracji
- jej symbolem drzewko Nicolasa Andry'ego
- podaje się za wnuczka lub policjanta
- obwódka, obramowanie pieczęci
- język ognia
- wątróbki, płucka, serca itd.
- „Ojczyzna...” – dawny program Jana Miodka
- metoda leczenia w onkologii
- za nią trzymany parasol
- efektowna obrona bramki
- wina, uczniów lub komplet numerów pisma
- szablonowy wzór
- duży do okręcenia szyi

- ciemnowłosa, lecz nie brunetka
- cyklon tropikalny
- i zwierzę, i nastrozona fryzura
- ta dziedzina telekomunikacji zanikła w dobie internetu
- kierunek rozwoju, prąd, tendencja
- drobne wióry
- targają niezdecydowanym
- wymieniany w długopisie
- ulubieniec babci i dziadka
- drzazga, metalowy kolec
- miasto z Krupówkami
- olimpijski zapalany i gaszony
- pierwsze danie obiadowe

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1074”. Do rozlosowania CD „Musical Landscapes. Cracow Guitar Quartet” ufundowane przez DUX. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 24 lipca 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1071” z nr. 27: Bogatego łatwo przekupić. Nagrody otrzymują: Grażyna Franczuk z Ełku, Krystyna Józwik z Legnicy, Bogumił Zalewski z Konstancina-Jeziorny.

PENETRACJE

Press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Attila Bátorfy z serwisu Atlatzso.hu mówił dla „Press” w 2019 r.: „W ciągu kolejnych dwóch lat już nie będzie żadnych niezależnych mediów na Węgrzech”. I dodawał, że nie może zrozumieć Unii Europejskiej, która Węgrom prosiła o pomoc w obronie wolności słowa odpowiadała: „To wasza wewnętrzna sprawa, my nie mamy instrumentów i legitymacji do tego, by mówić Orbánowi, jak ma regulować rynek medialny”. Jak wyregulował, wiemy. W Budapeszcie nie ma już osób, które miałyby ochotę rozmawiać o wolności słowa. Attila Bátorfy na prośbę o wywiad odpowiedział, że nie jest już dziennikarzem. Został naukowcem. Podał nam namiary na swoich trzech kolegów z uczelni, którzy mogliby udzielić wywiadu. Żaden nawet nie odpisał. To ważne memento dla Polaków. Tak właśnie może wyglądać sytuacja mediów w Polsce już po najbliższych wyborach.

ZDANIE

PROF. MARIA SZYSZKOWSKA,
FILOZOF

W Krakowie żył bardzo znany w czasach Polski Ludowej ks. prof. Kazimierz Kłósak, który był dziekanem Wydziału

Filozofii w Akademii Teologii Katolickiej, gdy ja tam studiowałam. On napisał m.in. dzieło „W poszukiwaniu Pierwszej Przyczyny”, gdzie stwierdza, że Bóg tchnie duszę w momencie, gdy człowiek się rodzi. Ja na każdym wykładzie, mówiąc o języku polskim, wykazuję nonsens terminu „dziecko nienarodzone”. Jest embrion, płód i potem dziecko. Tak samo jak nie ma „chleba nieupieczonego”. A przecież ten zwrot wprowadzono po to, by głęboko manipulować świadomością kobiet.

WO

MATEUSZ DAMIĘCKI,
AKTOR

Zawsze chciałem aktorsko wystąpić w kosmos. Tylko jakoś nikt nie chciał podjąć ryzyka, aby obsadzić mnie w roli zupełnie innej niż dotychczas. Aż do czasu „Furiozy”. Gdy jej reżyser Cyprian T. Olencki i producent Marcin Zarębski zaproponowali mi postać Goldeny, czyli kibola i gangstera, pomyślałem: czekałeś na to bardzo długo. Przychodziłem na zdjęcia i ogarniało mnie totalne skupienie. Żadnych tematów poza filmem, ani w rozmowie, ani w myśli. Kiedyś Tadeusz Łomnicki dziwił się, że aktorzy na próbach gadają bez sensu, zamiast próbować. Jego słowa powtarzało mi potem wielu nauczycieli, trenerów. Ale zrozumiałem ich dopiero na planie „Furiozy”.

Aby język giętki...

TOMASZ SEKIELSKI
O WYBIÓRCZEJ PAMIĘCI
KARD. DZIWISZA

Nic nie wie, nic nie widział, nic nie słyszał i niczego nie pamięta.

STEFAN CHWIN O WOJNIE

Żyjemy w terrorze patriotycznego wsparcia dla Ukrainy. Wystarczy, że ktoś piśnie coś niewłaściwego, od razu jest podejrzewany o wiadomą agencję.

PROF. JERZY HAUSNER
O MATEUSZU MORAWIECKIM

W moich oczach premier nie ma już żadnej wiarygodności jako ekonomista.

MAREK BOROWSKI
O TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM

Jest organem próżniaczym, marnującym pieniądze podatników.

WIESŁAW OCHMAN
O ZDROWIU ŚPIEWAKA OPEROWEGO

W Hamburgu na ulicy znakomity dyrygent Nello Santi zobaczył, że mimo chłodu jestem z gołą głową, i zabrał mnie do sklepu z kapeluszami. I tak odkryłem kapelusze typu borsalino.

MARYLA RODOWICZ
O WOJCIECHU GĄSOWSKIM

W czasie koncertów na Ukrainie w 1971 r. w każdym hotelu dostawałam apartament i miałam samowar. Wojtek przychodził, żeby w nim gotować jajka i parówki.

LEON TARASEWICZ O MALARSTWIE

W tym środowisku jest dużo zażyłości, ale artystów mało. W świadomości polskiego społeczeństwa sztuka właściwie nie istnieje.

MARIA DĘBSKA O KOBIECOŚCI

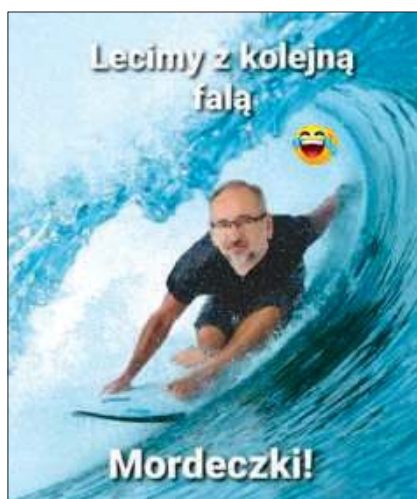
Wielokrotnie musiałam swoją kobiecą, seksualną energię chować. Pilnować, żeby nie dać jej dojść do głosu.

ARTUR ANDRUS O KALENDARZACH

Konieczność papierowy. Zauważyłem, że ktoś wpadł na pomysł drukowania kalendarzy 18-miesięcznych, i teraz tylko z takich korzystam.



Kosmici są wśród nas. Pająki, motyle, chrząszcze i gąsienice na fotografiach makro wyglądają niezmiernie.



Wino bez kary

Nowym hitem sprzedażowym jest szwedzka tabletka redukująca skutki spożywania alkoholu. Suplement diety Myrkl, jak tłumaczy producent, nie powstrzymuje przed upiciem się, ale pozwala uniknąć kaca, gdyż umożliwia rozłożenie etanolu na dwutlenek węgla i wodę, zanim dotrze on do wątroby. Ta nie wytwarza więc prawie wcale aldehydu octowego, odpowiedzialnego za przykre następstwa bachanaliów. Twórcy preparatu, który spotkał się z krytyką m.in. specjalistów od uzależnień, zastrzegają, że nie jest on kierowany do osób, które chcą mieć wymówkę do balangowania. Ma stanowić „pomoc dla umiarkowanie pijących, aby następnego dnia budzili się z najlepszym możliwym samopoczuciem”. Trzeba przyznać, że to dość trzeźwa strategia PR-owa.

Kanibala na etacie macie?

Inni szwedzcy nowatorzy zaferowali światu wegańskiego burgera, który według ich zapewnień doskonale odtwarza smak i konsystencję ludzkiego mięsa. Wyrób powstaje z soi, grzybów i białka pszenicy, a także tłuszczów roślinnych i „tajemniczej mieszanki przypraw”. Przedstawiciel firmy Oumph! Henrik Kerman ogłosił, że chce ona przekonać konsumentów, iż jej wegeprodukty są w stanie przekonująco udawać każdy mięsny pierwowzór. Boimy się pytać, skąd wytwórcy imitacji „ludziny” wiedzą, jak smakuje oryginał.

Coś o przekręcie na subkontynencie

We wsi Molipur w Indiach czterej mężczyźni zorganizowali tak przekonującą fałszywą ligę krykieta, że zdołali przekonać wielu Rosjan do obstawiania jej wyników. W inscenizowanych rozgrywkach za grosze występowali m.in. lokalni pracownicy sezonowi, przebrani za zawodników znanych indyjskich drużyn. Organizatorzy ustawionych meczów zadbali nie tylko o halogenowe oświetlenie i odgłosy imitujące publiczność, ale nawet o podróbkę słynnego komentatora sportowego. Lipna liga była przez dwa tygodnie transmitowana na YouTube, a za pośrednictwem komunikatora Telegram oszuści przyjmowali zakłady. Obstawiamy, że gdyby piłkarzy polskiej Ekstraklasy odgrywali przypadkowi statyści, wiele osób również nie zauważyłoby różnicy.

Przelew z jasnego nieba

W Chile producent wędlin, firma CIAL, omyłkowo przełał jednemu z pracowników 330-krotność jego miesięcznego wynagrodzenia. Mężczyzna zgłosił błąd i umówił się, że następnego dnia pójdzie do banku zwrócić nadpłatę, jednak zmienił zdanie, przestał odbierać telefony od pracodawcy i zniknął. Pobory za 27,5 roku bez konieczności chodzenia do roboty? Wychodzi na to, że choć bez pracy nie ma kofaczy, to pieczone gołąbki niektórym same lecą do gąbki.

Brzuch a szybki ruch

32-letnia mieszkanka USA w 34. tygodniu ciąży, by uniknąć zapłaćcenia kary, dowodziła, że jej nienarodzone dziecko należy traktować jako pasażera. Brandy Bottone poruszała się pasem szybkiego ruchu, co w Teksasie jest dozwolone jedynie dla pojazdów, w których znajdują się co najmniej dwie osoby. Po zatrzymaniu przez policjantów kobieta, wskazując swój brzuch, oznajmiła, że jedzie z córką. Mundurowych to nie przekonało i wlepili kierowczyni mandat na kwotę 275 dol. Ciekawe, czy Brandy pamięta o tym, by w kinie kupować dodatkowy bilet dla młodej.



Przeprowadzka do nowego domu. W Republice Malawi do rezerwatu Liwonde przetransportowano 250 słoń.

Na nielegalu w każdym calu

51-letni radomianin wykorzystał ukradziony przez siebie rower do kradzieży samochodu, który z kolei posłużył mu do kradzieży paliwa. Zaczęło się od tego, że na posesję w świętokrzyskiej gminie Sobków przyjechał roweryzta, porzucił jednoślad i ruszył zaparkowanym tam autem w kierunku Krakowa. Po drodze na jednej ze stacji zatankował za niemal 100 zł, po czym odjechał bez płacenia. Dobrze skoordynowana akcja policji pozwoliła szybko ująć ancymona, a niedługo później okazało się, że także bacykl został przez niego przywłaszczony. Jednego nie można facetowi odmówić: konsekwencji w realizacji modelu biznesowego.



FOT. A-MEM, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), WIOCHA.PL, EAST NEWS



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,
Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnaacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyński, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzyktorzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner
Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszkiw, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



CIAŁOBRAZY

Natalia Miedziak-Skonieczna ukończyła Wydział Sztuk Pięknych na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zaczynała od fotografii reportażowej, obecnie tworzy projekty z obszaru fotografii artystycznej. „Ciałobrazy” stanowią próbę udokumentowania dialogu, który ciało prowadzi z otoczeniem. Odśaniają naszą prawdziwą naturę i pokazują, że wszyscy jesteśmy częścią przyrody – jesteśmy ze sobą połączeni. Ciało nie ma tu indywidualnych cech, jest naturalne, rozluźnione i staje się wręcz rzeźbiarską gliną. Kobiety na fotografiach nie są profesjonalnymi modelkami, to często dziewczyny, które na hasło rzucone przez artystkę w internecie odważyły się wziąć udział w tym eksperymencie estetycznym.

Flow Art House, Fabryka Norblina
Warszawa, ul. Żelazna 51/53
do 30 sierpnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Kamuflaż



Kapusty



Dwadzieścia i trzy



Drzewczyny

• TEATR CAPITOL •

PRZEBOJOWE KOMEDIE ♦ GWIAZDORSKIE OBSADY ♦ PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI



Capitalne lato!



• klimatyzowane sale teatralne • orzeźwiające napoje •



Pinokio
czwartek, 21 lipca g.10:00



O co biega?
czwartek, 21 lipca g.19:00



A mi to rybka!
piątek, 22 lipca g.19:30



Kiedy kota nie ma...
sobota, 23 lipca g.19:00



Alibi od zaraz
sobota, 23 lipca g.19:30



Klimakterium I
niedziela, 24 lipca g.18:00



Kiedy kota nie ma...
czwartek, 28 lipca g.19:00



**Doktor Dolittle
i jego zwierzęta**
piątek, 29 lipca g.10:00



Kochane Pieniążki
piątek, 29 lipca g.19:00



O co biega?
sobota, 30 lipca g.19:00

GRAMY PRZEZ CAŁE LATO!

• KUP



• www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni



TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

NOWY FILM REŻYSERA
„DOBRCZE SIĘ KŁAMIE W MIŁYM TOWARZYSTWIE”



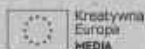
ALESSANDRO BORGHI

JASMINE TRINCA

SUPERBOHATEROWIE

Czy miłość może pokonać czas?

REŻYSERIA **PAOLO GENOVESE**



W KINACH OD 22 LIPCA